

Nadchodzące święta podkreślają, że Bóg stał się jednym z nas – mówi bp Adrian Put

STRONA 6-7

Bób z cebulką i pyszne śledzie. Święta u Górali Czadeckich w lubuskim Złotniku

STRONA 10-11

Ocaleliśmy mimo wszystko – słynna Zaz w rozmowie nie tylko o swojej nowej płycie

STRONA 42, 44

GAZETA LUBUSKA

magazyn na święta



www.gazetalubuska.pl



Wtorek-piątek, 23-26.12.2025
Nr 297 (22,597) • Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 0137-9518 • Nr indeksu 350-222

FOT. GETTY IMAGES

*W nadchodzące święta Bożego Narodzenia życzymy Wam ciepła, które koi
i dobra, które zostanie z Wami na długo*

Miłości, bliskości, wytchnienia

PO ŚWIĘTACH Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA LUBUSKA

● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK

● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK

● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA

● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskich

PIĄTEK

● PULS POLSKI: Reportaże i publicystyka
● FINAŁ AKCJI ŚWIĄTECZNE GWIAZDECZKI

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

PO CO NAM
DEMOKRACJA?

Zastanawiałem się, czego bym chciał jako obywatel, Polak. Pojawia mi się na pierwszym miejscu słowo „współpraca”. (...) Współpraca to jest umiejętność ludzi mądrych, głupi nie są do niej zdolni - tak do parlamentarzystów na spotkaniu oplatkowym w Sejmie przemówił kilka dni temu abp Adrian Galbas, metropolita warszawski. Sugestia niby prosta i oczywista, ale trudna dziś do przyjęcia, bo w polityce kotłuje się niemal każdego dnia. Kto z kim ma zgodnie i dla ogólnego dobra współpracować? Prezydent z premierem? Koalicja rządząca z opozycją? Episkopat z Ministerstwem Edukacji Narodowej?

Rozejrzyjmy się wokół. Europejska demokracja, dla której fundamentem jest współpraca głównych sił politycznych, znalazła się w opałach, bo Amerykanie wzięli kurs na autokrację, by skutecznie przeciwstawić się Chińczykom i Rosjanom. Musimy się zmierzyć z diagnozą, że Zachód przegrywa ze Wschodem, dla którego indywidualizm i prawa człowieka to dziwaczne koncepcje, utrudniające zarządzanie państwem i międzynarodową rywalizację. Z różnych stron pada wezwanie, by przemyśleć demokrację, bo inaczej system się załamie, po władzę sięgną nacjonaliści i rozwalą Unię Europejską. Karol Fjałowski, jeden z bystrzejszych komentatorów na You Tube, rysuje analogię pomiędzy sytuacją Europy i Rzeczypospolitej przed rozbiorami, gdy wewnętrzne konflikty doprowadziły do destrukcji państwa. Wówczas nasze terytorium podzielili między siebie trzej sąsiedzi, a teraz grozi nam, że karty w Europie będą rozdawać Amerykanie, Chińczycy i Rosjanie.

Co to jednak znaczy: przemyśleć demokrację? W starożytnych Atenach, a potem w republikańskim Rzymie decyzje podejmowali wolni obywatele, przy czym kobiety i niewolnicy nie mieli głosu, zaś w krytycznych momentach władzę oddawano dyktatorom. Monarchia oświecona padła, gdy bezlitośnie wykorzystywany lud odważył się na rewolucję pod hasłami: wolność, równość, braterstwo. W amerykańskiej konstytucji zapisano prawo każdego do poszukiwania szczęścia. Piękne idee są potrzebne, ale popadnięcie w bezkrytyczny idealizm prowadzi na manowce.

Wciąż warto zastanawiać się, jak z Polski uczynić silniejszą i lepiej zarządzane państwo. Nie lekceważmy wezwań do współpracy, dopóki nie jest za późno.

”

Przez lata różne polskie rządy nie były skuteczne w tym, żeby uzyskać ekshumacje i przywrócić godność ofiarom zbrodni wołyńskiej

Barbara Oliwiecka (Polska 2050)

Magia świąt w pełnej krasie:
wieś lśni tysiącami iluminacjiRed
redakcja@gazetalubuska.pl

Od niedzieli małe Popowo między Skwierzyną a Międzyrzeczem zabłysło jak Las Vegas. Przyjeżdżajcie, podziwiajcie i... szanujcie zasady.

Odwiedziliśmy rozświetloną wioskę już w sobotę wieczorem, by sprawdzić, jak postępują przygotowania do tegorocznego show. Musimy przyznać, że lubuskie „Las Vegas” prezentowało się fantastycznie. Domy i posesje są udekorowane setkami tysięcy światełek, a pomysłowość niektórych gospodarzy naprawdę przechodzi ludzkie pojęcie.

Wspaniałe wrażenie robią m.in. stajenki ze świętą rodziną, które można zauważyć w kilku miejscach.

Co ciekawe, wielu Lubuszan podobnie jak „GL” postanowiło odwiedzić małe Popowo dzień przed oficjalnym „rozbłyśnięciem”. Efekt? Już w sobotę było tutaj kilkadziesiąt samochodów i kilkuset ciekawskich robiących zdjęcia.

To jednak tylko wstęp do tego, co będzie się zapewne dziać przez nadchodzący świąteczny okres. (zwłaszcza że w wielu miejscach jeszcze trwa montaż lampek).

Od razu podpowiadamy: jeśli zamierzacie wpaść do Popowa w odwiedziny, zabierzcie ze sobą portfel z drobniakami. Tu i ówdzie widać skarbonki (na lampki i prąd), zauważyliśmy też dzieciaki sprzedające pierniki i magnesy.

W imieniu mieszkańców Popowa przypominamy kilka pro-



FOT. TOMASZ RUSEK

stych zasad, których należy przestrzegać, podczas wizyty we wsi.

- nie parkuj na zakazach, chodnikach, cudzych posesjach,
- nie dotykaj lampek i innych ozdób,
- nie wchodź na posesję, na których nie ma zachęty, na tych otwartych dla zwiedzających są karteczki w stylu „można wchodzić”,
- nie niszczyć i nie zrywaj lampek,
- jadąc autem uważaj na pieszych, będą ich tutaj tłumy,
- spacerując, nie pakuj się na ulicę bez ostrzeżenia i upewnienia się, że nic nie jedzie,
- nie śmieć; zabierz swoje śmieci ze sobą albo wyrzuć do kosza.



FOT. TOMASZ RUSEK



FOT. TOMASZ RUSEK



FOT. TOMASZ RUSEK

Kadra w nietypowej roli

Eliza Gniewek-Juszczak
Zielona Góra

Nauczyciele ze Starego Kisielina, co roku robią coś niezwykłego dla swoich uczniów. - To nasz prezent dla dzieci - mówią. Za każdym razem scenariusz jest inny.

„Kłopoty prezentowe. Elf na zwolnieniu lekarskim” to opowieść, która nie tylko bawi, ale także uczy - taki cel mają coroczne przedstawienia przygotowywane przez kadrę Zespołu Edukacyjnego nr 7 dla swoich uczniów.

- Elfy chorują. Pojawiają się kłopoty z pakowaniem prezentów. Potem jest audyt. Przychodzi ekolożka. Wszystko to burzy porządek w pracowni św. Mikołaja - mówi o treści przedstawienia Martyna Siwińska, wicedyrektor Zespołu Edukacyjnego nr 7 w Zielonej Górze Starym Kisielinie.

- Finał jest taki, że przy wzajemnej pomocy, zaangażowaniu wszystkich, jesteśmy w stanie pokonać wszelkie trudności, jakie się pojawiają, dokończyć zadania, które mamy. To jest taka



FOT. JACEK KATOS

Co roku wszyscy dopytują, kiedy spektakl się będzie, a potem dobrze się bawią, uczniowie i nauczyciele

rada, że w życiu codziennym musimy się wspierać, pomagać sobie i wówczas żadne trudności nie staną nam na drodze, a jeśli się pojawią, to jesteśmy w stanie je razem pokonać - wyjaśnia.

Nauczyciele z ZE nr 7 szykują świąteczne przedstawienie dla dzieci od wielu lat.

- Przy współpracy z filią Zielonogórskiego Ośrodka Kultury mamy możliwość występowania dla dzieci. To idea, która sprawia uczniom ogromną radość, a przy okazji też nam. W tym roku sami nauczyciele dopytywali, kiedy robimy przedstawienie. Wszyscy pod-

eksycytowani, pełni energii czekali na spektakl, który niesie dzieciom tyle radości - mówi wicedyrektorka.

Martyna Siwińska na scenie jest elfem. Inni nauczyciele też mają wciąż nowe role.

- Możemy się wcielić w różne postacie, np. ja jako na-

uczyciel gram sekretarkę, nasza pani pedagog gra Mikołaja, jedna nauczycielka gra inspektora BHP, druga kierowcę. Każda z nas wciela się w inną rolę niż odgrywamy na co dzień. Dobrze się czujemy na scenie. To jest nasz prezent dla dzieci. Dajemy z siebie wszystko, jednocześnie też dobrze się bawiąc, więc chyba dużo sami zyskujemy - zapewnia Justyna Skorodecka, nauczyciel edukacji wczesnoszkolnej i historii.

Nauczycielka wyjaśnia, że najpierw trwają poszukiwania szablonu scenariusza i dostosowanie go do potrzeb kadry.

- Staramy się, aby nigdy nie grać dwa razy tego samego spektaklu. Choć gramy te przedstawienia już od wielu lat, jest to dla nas świetna zabawa. Cieszymy się, że możemy dać uczniom kawałek serca. Dostajemy od nich informację zwrotną, że było warto, bo oni też na to czekają - zdradza.

- To jest czas, kiedy wychodzimy z naszych nauczycielskich ról. Między nami jest bardzo fajnie. Pomagamy sobie nawzajem przygotować stroje. Dzieci mają z tego olbrzymią ra-

dość, zwłaszcza maluszki, które przychodzą z przedszkola i klas 1-3. To nam daje motywację do przygotowania w kolejnym roku - dodaje Donata Karwan, psycholog i pedagog.

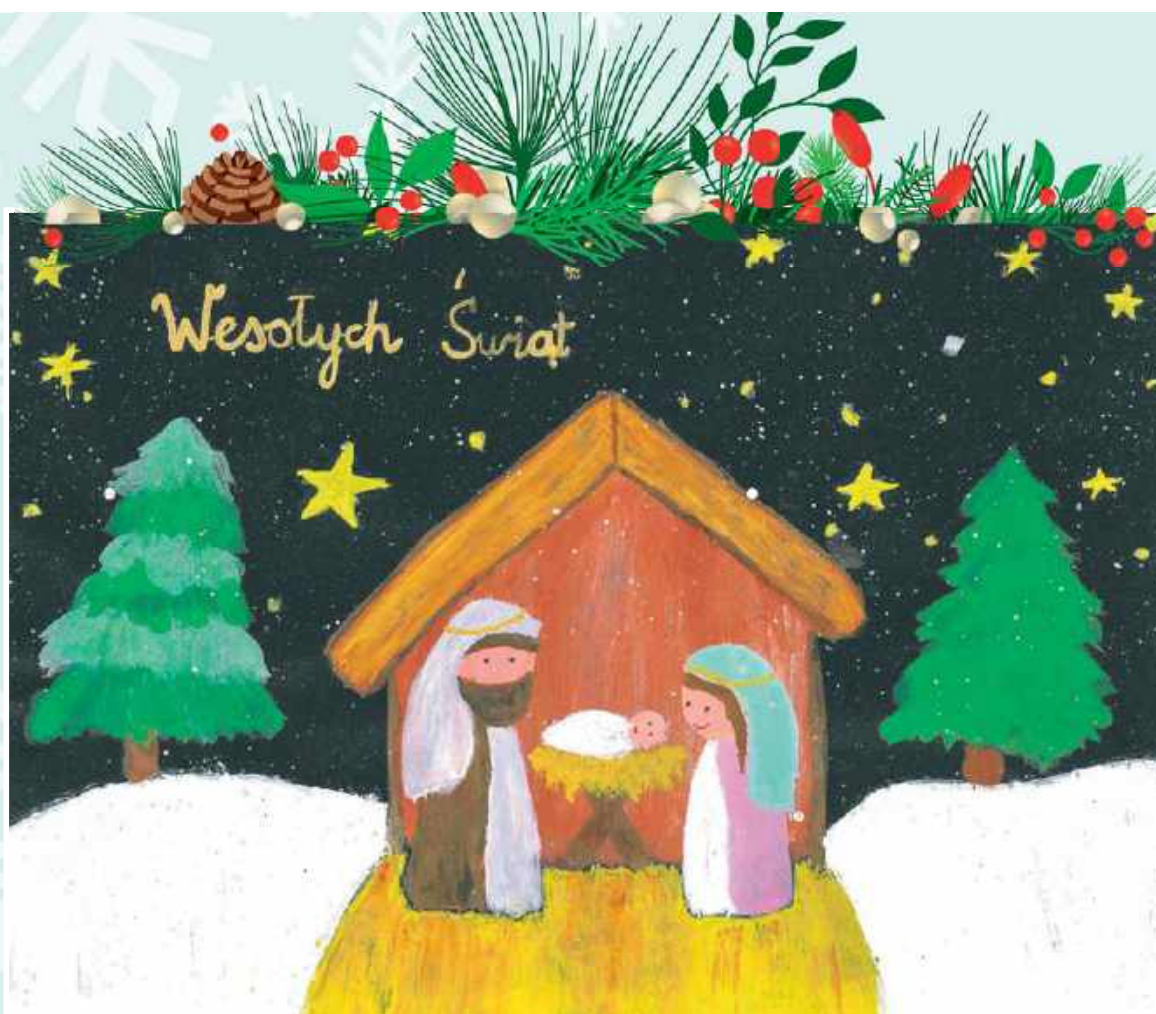
Przygotowania trwały kilka tygodni. W szkole nie ma środków na stroje, ale aktorzy przynoszą, co mają i co się nada.

- Jesteśmy w pełni zorganizowani. Mamy super zespół. Każdy przynosi co ma, co się nada i tak tworzymy coś z niczego - śmieje się M. Siwińska. - Z reguły to dzieci występują dla rodziców, nauczycieli i zaproszonych gości. A tu my, dorośli wcielamy się w śmieszne role i pokazujemy im świat w zabawny sposób, również z treścią, ale robimy to dla nich. Jest to dla nas bardzo ważne. Ta radość daje nam siłę i energię - zapewnia.

Przygotowania trwały kilka tygodni. W szkole nie ma środków na stroje, ale aktorzy przynoszą, co mają i co się nada.

REKLAMA

0011436087



Autor: Amelia Gołębiewska, lat 7, SP nr 1 w Lubsku
- 1 miejsce w konkursie na kartkę świąteczną Wojewody Lubuskiego



Szanowni Państwo, Drodzy Lubuszanie,
czas Świąt Bożego Narodzenia
to szczególny moment zadumy, radości i bliskości,
który napędza nasze serca światłem,
spokojem oraz nadzieją.

Zapach choinki, blask świątecznych świateł i słowa
kolęd tworzą atmosferę, w której rodzi się cisza
sprzyjająca refleksji oraz wdzięczności za to, co w życiu
najpiękniejsze oraz najbardziej wartościowe.

W tych dniach życzę Państwu chwil przepełnionych
życzliwością, obfitujących w uśmiechy najbliższych,
serdeczne rozmowy w ciepłe domowego ogniska,
a także spotkań, które tworzą piękne wspomnienia
i umacniają więzi na długie lata.

Życzę, aby każdy dzień nadchodzącego roku niósł
zdrowie, szczęście, pomyślność i siłę do realizacji
zamierzeń, jak również odwagę do spełniania planów
i marzeń.

Wesołych Świąt i pomyślnego Nowego Roku 2026!

Marek Cebula
Wojewoda Lubuski

Ile pieniędzy ma Lubuskie do wydania w 2026 roku?

Eliza Gniewek-Juszczak
egniewek@gazetalubuska.pl

Miliard złotych dochodów, o 121 milionów złotych więcej wydatków. Na inwestycje zaplanowano 416 milionów. Koalicja rządząca przekazuje, że to budżet prorozwojowy. Zdaniem radnych PiS to jest on kryzysowy z nadmiernym zadłużeniem, bez dbałości o pracowników.

Częściej niż słowo inwestycje na budżetowej sesji sejmiku można było usłyszeć „szop prac”, odmieniany przez przypadki. Dla przewodniczącego koalicyjnego klubu PSL-Polska 2050 Marka Halasza to, że walka z inwazją tego gatunku w regionie znalazła się w budżecie, to sukces klubu. Ale dla radnych Prawa i Sprawiedliwości, stało się to okazją do zarzutu, że dla PSL-u ważniejsze są zwierzęta niż człowiek. Wicemarszałek Grzegorz Potęga mówił o problemie z tym gatunkiem w Brandenburgii i konieczności podejmowania działań w Lubuskiem, dla radnych PiS było to potwierdzeniem niemieckości szopów pracy.

- Chcemy powalczyć o to, aby wstrzymać inwazję szopa pracza, bo wiemy, że rolnicy mają duże problemy z tym gatunkiem - zapewniał Marek Halasz.

Radnych PiS nie przekonało inwestowanie w budowę Lubuskiego Centrum Onkologii czy budowę Centrum Zdrowia Psychicznego Dzieci Młodzieży w Zielonej Górze. Radna Elżbieta Płonka przypomniała o długich kolejkach do specjalistów, zwłaszcza na zabiegi onkologiczne i do ortopedów. O tym, że jest to budżet kryzysowy z nadmiernym zadłużeniem, mówiła przewodnicząca klubu PiS Małgorzata Gośniewska-Kola. Radni Jacek Kurzepa i Bogusław Motowidełko wskazywali na brak dbałości o pracowników urzędu marszałkowskiego i jednostek organizacyjnych.

Głosów koalicji w zupełności wystarczyło, dzięki czemu budżet został przyjęty. Dochody to prawie 1,1 miliarda złotych. Wydatki są nieco większe 1,2 mld zł, to daje deficyt w wysokości 121 mln zł.

SPÓR PIENIĄDZE WAŻNIEJSZE NIŻ DZIECI? RODZICE NIE CHCĄ LIKWIDACJI SZKOŁY

Plany gminy w ogniu krytyki

Magdalena Marszałek
Gmina Torzym

W gminie narasta jeden z największych społecznych konfliktów ostatnich lat. Zapowiadana przez samorząd gruntowna reorganizacja systemu oświaty wywołała falę oburzenia wśród rodziców, nauczycieli i mieszkańców mniejszych miejscowości.

Szczególnie głośno emocje wybrzmiewają w Gądkowie Wielkim. To właśnie tam, zdaniem rodziców, konsekwencje zmian będą najbardziej dotkliwe.

- W naszej miejscowości działa Zespół Edukacyjny, w skład którego wchodzi szkoła podstawowa oraz przedszkole. Do szkoły uczęszcza ponad trzydziestu uczniów w siedmiu klasach, natomiast do przedszkola siedmiu dzieci. Dla władz są to liczby, które nie pozwalają na dalsze funkcjonowanie placówki w obecnym kształcie - mówią rodzice.

Właśnie dlatego placówka została wskazana jako jednostka przeznaczona do likwidacji w ramach planowanej reorganizacji. Zdaniem rodziców decyzja ta oparta jest wyłącznie na kalkulacji ekonomicznej.

- Szkoła to nie jest firma, która ma przynosić zysk. Przez kilkadziesiąt lat funkcjonowania naszej placówki nikomu to nie przeszkadzało i nikomu nie przyszło na myśl, żeby ją zlikwidować. Dlaczego teraz nagle liczby są ważniejsze niż dzieci? - pytają.

Policzek dla całej wsi

Dla rodziców z Gądkowa Wielkiego plan likwidacji szkoły i przedszkola jest ciosem wymierzonym w całą społeczność. Placówka działała od wielu lat i przez ten czas była czymś znacznie więcej niż tylko miejscem nauki. Była centrum życia społecznego, miejscem spotkań, uroczystości i wydarzeń kulturalnych.

- Zamknięcie szkoły to symboliczny wyrok na wieś. Bez szkoły nie będzie młodych rodzin, nie będzie dzieci, nie będzie przyszłości - podkreślają.



Zapowiadana reorganizacja systemu oświaty wywołała falę oburzenia

Jednym z najczęściej powtarzanych argumentów przeciwników zmian jest konieczność dowożenia dzieci do Torzymia lub innych miejscowości, ale rodzice podnoszą także kwestię warunków lokalowych w szkołach zbiorczych. Ich zdaniem nie oferują one takiej przestrzeni rekreacyjnej, zieleni i zaplecza sportowego jak szkoła w ich miejscowości.

Zmiany będą w całej gminie

Mimo że największe kontrowersje dotyczą szkoły i przedszkola w Gądkowie Wielkim, samorząd planuje znacznie szersze zmiany w całej strukturze. W Boczowie planowana jest likwidacja przedszkola jako samodzielnej jednostki organizacyjnej. Placówka nie zniknie jednak z mapy miejscowości. Dzieci nadal będą uczęszczać do tego samego budynku, a zajęcia będą odbywać się tak jak do tej pory. Zmiana ma mieć charakter administracyjny: przedszkole zostanie włączone w strukturę Szkoły Podstawowej w Boczowie.

Reorganizacja dotknie również Walewic. Tamtejsza szkoła podstawowa ma zostać przekształcona w filię Szkoły Podstawowej w Torzymiu. W Walewicach pozostaną najmłodsze klasy wraz z oddziałem przed-

szkolnym, które nadal będą uczyć się w tej samej lokalizacji.

Kolejnym elementem planu jest likwidacja oddziału zamieszczonego przedszkola w Torzymiu, funkcjonującego w Przelsicach. Jedenaścioro dzieci uczęszczających obecnie do tej placówki ma zostać przeniesionych do głównego przedszkola w Torzymiu.

Gmina: Nie ma innego wyjścia

Lokalne władze podkreślają, że gmina znajduje się w głębokim kryzysie demograficznym. W ubiegłym roku urodziło się zaledwie trzydzieścioro czworo dzieci. To niemal o sześćdziesiąt procent mniej niż dekadę wcześniej. Prognozy są jeszcze bardziej niepokojące: liczba uczniów w najbliższych latach ma spaść o kolejne trzydzieści procent.

Za spadkiem liczby dzieci idą dramatyczne konsekwencje finansowe. W tym roku wydatki bieżące na oświatę w gminie mają wynieść ponad dwadzieścia milionów złotych, podczas gdy subwencja oświatowa pokryje jedynie dwaście. Najbardziej kosztowną placówką okazuje się właśnie Zespół Edukacyjny w Gądkowie Wielkim, gdzie roczny koszt utrzymania jednego

ucznia przekracza 65 tysięcy złotych. W Torzymiu to około 24 tysiące - wylicza Ewelina Niwald-Brzuśnian, burmistrz Miasta i Gminy Torzym.

Zdaniem samorządu to właśnie spadek liczby urodzeń, malejąca subwencja oświatowa i rosnące koszty utrzymania placówek sprawiają, że obecny system jest nie do utrzymania. Dodatkowym argumentem władz są wyniki zewnętrznego audytu, który jednoznacznie wskazuje na konieczność restrukturyzacji.

- Obecny system funkcjonowania placówek oświatowych generuje koszty przekraczające możliwości finansowe gminy, brak zmian doprowadzi do dalszego, znaczącego pogorszenia sytuacji finansowej, co może zostać uznane za działanie na szkodę przyszłych pokoleń oraz narazić na zarzut niegospodarności. Chcemy jednak podkreślić, że planowane zmiany nie wpłyną negatywnie na jakość kształcenia, a gmina ma ustawowy obowiązek zapewnienia dzieciom bezpiecznego dowozu do wskazanych szkół i przedszkoli - argumentuje burmistrz.

Co będzie dalej?

Na tym etapie rada miejska i burmistrz mogą jedynie przyjmować uchwały intencyjne. Pro-

jekty są już przygotowane, a radni pochylą się nad nimi podczas najbliższej sesji, którą zaplanowano na 30 grudnia. Ostateczna decyzja należeć będzie do kuratora oświaty, który oceni, czy proponowane zmiany są zgodne z prawem i nie naruszają dobra uczniów. Tymczasem rodzice z Gądkowa Wielkiego zapowiadają walkę o szkołę do samego końca i nie ograniczają się już wyłącznie do lokalnych protestów. Sprawa wyraźnie wychodzi poza granice gminy. Oficjalne pisma i protesty zostały skierowane do kuratorium oświaty, ministerstwa edukacji, a także do prezydenta kraju.

- Nie pozwolimy na likwidację naszej placówki. To nie jest decyzja o budynku. To decyzja o przyszłości naszych dzieci i naszej miejscowości. Skoro nikt nie chce nas słuchać na miejscu, będziemy szukać pomocy wszędzie, gdzie to możliwe - mówią wprost.

Jedno jest pewne: spór o szkoły w gminie Torzym to coś więcej niż lokalny konflikt. To symbol szerszego problemu, z jakim mierzą się dziś dziesiątki samorządów w kraju - jak pogodzić twarde realia demograficzne i finansowe z potrzebami mieszkańców i troską o lokalne wspólnoty.

AKCJA CHARYTATYWNA



0211435259

Superbohaterowie PGE. Dla Ciebie.

Wilhelm Masarczyk
Starszy Mistrz Remontów Maszyn i Urządzeń Energetycznych
PGE GiEK Oddział Elektrownia Rybnik



BÓG STAŁ SIĘ JEDNYM Z NAS

- Święta Narodzenia Pańskiego to są święta, które bardzo mocno podkreślają, że Bóg wcielił się, że stał się człowiekiem. Jeden jedyny raz we wszechświecie coś takiego zaistniało, że Bóg stał się jednym z nas - mówi bp Adrian Put, biskup pomocniczy diecezji zielonogórsko-gorzowskiej.

Jarosław Milkowski

Dlaczego Boże Narodzenie obchodzimy akurat 25 grudnia?

Bo Uroczystość Zwiastowania Pańskiego obchodzimy 25 marca, czyli po dziewięciu miesiącach od poczęcia Pana Jezusa obchodzimy Święto Narodzenia Pańskiego. 25 grudnia to oczywiście data umowna, bo my dokładnej daty narodzenia Pana Jezusa nie znamy. Chodzi tylko o pewien porządek w kalendarzu liturgicznym. W jednym roku przeżywamy bowiem wszystkie tajemnice zbawienia i życia Pana Jezusa - Jego narodzenia, Jego ofiarowania w świątyni, rozpoczęcia misji pu-

blicznej, śmierci oraz zmartwychwstania. Jest jeszcze jeden ważny aspekt tej daty: to dzień przesilenia zimowego. Według kalendarza rzymskiego wypadło ono 25 grudnia, dziś wiemy, że jest to około 22 grudnia. Od tej chwili dzień zaczyna się wydłużać, a ilość światła słonecznego stopniowo rośnie. Narodzenie Pana Jezusa od początku określano jako przyjście światła rozpraszającego ciemności. Znajduje to odzwierciedlenie w Kantyku Zachariasza: „z wysoka Wschodzące Słońce nas nawiedzi, aby oświecić tych, którzy żyją w mroku i cieniu śmierci”.

Z tego powodu najkrótszy dzień w roku doskonale się nadawał, niosąc ze sobą głęboką symbolikę. Zwróćmy uwagę, że rok liturgiczny jest ściśle powiązany z cyklem natury. Tak jak Wielkanoc obchodzona jest wiosną, po pierwszej pełni księżyca następującej po równonocy wiosennej, tak również Boże Narodzenie zostało związane z momentem, od którego światła dnia zaczyna przybywać.

W ewangeliiach nie ma wielu opisów narodzenia Jezusa. Mateusz pisze o zwiastowaniu i zaraz przeskakuje do mędrców. Łukasz ma opis

najdłuższy, ale Marek i Jan wcale nie poruszają wątku narodzin.

Pod tym względem teksty biblijne nie odstają za bardzo od innych tekstów starożytnych, gdzie rachuba czasu i fakty były potraktowane luźno. Z punktu widzenia rodzącej się wspólnoty wiary, istotniejsze były inne wydarzenia. Dla pierwszych chrześcijan istotne było to, że Pan zmartwychwstał.

A miejsce narodzin jest znane czy też umowne?

Gdybyśmy się mieli trzymać reżimu nauk historycznych, to nie mamy miejsca, w którym jest napis: „Tu się urodziłem. Jezus”. Mamy jednak tradycję miejsca, która sięga samych początków wspólnoty chrześcijan w Jerozolimie. I to ona wskazuje Betlejem jako miejsce narodzin Chrystusa. Gdy Jerozolima została zdobyta w czasie drugiego powstania żydowskiego (132-135 r.), to zrównano ją z ziemią, zakopano i na tym placu zbudowano zupełnie nowe miasto Aelia Capitolina. Tym samym to wszystko, co związane było z Panem Jezusem, zostało ukryte pod ziemią. Po zdobyciu Jerozolimy żydów z miasta wypędzono, ale chrześcijanie, którzy pozostali, przechowywali w pamięci miejsce, w którym narodził się Chrystus. O samym miejscu wspominają w swoich pismach także św. Justyn Męczennik i Orygenes (II-III wiek). Cesarz Hadrian, w miejscu, które wcześniej było czczone przez chrześcijan, w 135 roku wzniósł sanktuarium dedykowane Adonisowi. Źródła datowane na okres od I do V wieku wspominają o gaju poświęco-

nym bóstwu grecko-rzymskiemu. Miał zostać założony wokół Groty Narodzenia jako sposób na „zatarcie pamięci” o wcześniejszym kulcie. W czasach chrześcijańskich w tym miejscu wzniesiono Bazylikę Narodzenia Pańskiego.

Świętowanie narodzin Jezusa zaczynamy w świątyni Pasterką.

Przy okazji świąt Bożego Narodzenia w ogóle to mamy kilka mszy świętych. Jest msza wigilijna, która powinna być odprawiana do północy. Msza pasterska, czyli Pasterka, odprawiana jest natomiast o północy. Robi się to na pamiątkę przybycia pasterzy do groty betlejemskiej i aniołofanii - czyli objawienia anielskiego. Ta msza święta ma nie tylko swoje teksty, ale też zwyczaje, o których wspomina „Dyrektorium o pobożności ludowej”. Jest w nim mowa o tym, że podczas Pasterki wnosi się do Kościoła figurkę Dzieciątka Jezus. Kolejne msze Narodzenia Pańskiego są 25 grudnia. Tego dnia jest msza o świcie i msza święta w dzień. Oczywiście, wystarczy być na jednej z tych kilku mszy, nie ma obowiązku być na każdej.

Pasterze przyszli do Jezusa od razu po Jego narodzeniu czy jednak trochę później?

Zakładamy, że to była jednak pierwsza noc. Józef przecież nie wziął Maryi w dziewiątym miesiącu ciąży na osiołka i nie wybierał się zupełnie w ciemno. W Biblii jest podkreślone, że „pochodził z domu i z rodu Dawida”. Zakładamy więc, że kierował się do konkretnego domu, gdzie mieszkała jakaś jego rodzina. Gdy spojrzymy w tekst ewan-

gelii, Maryja rodzi w grocie, ale już magowie przyszli pokłonić się do domu. Pasterze musieli więc przyjść od razu. Zastali świętą Rodzinę jeszcze w grocie.

Skąd wzięła się tradycja dwunastu potraw na wigilijnym stole? Niedawno byłem w Gorzowie na Wigilii Kultu i Narodów, gdzie górale bukowinscy opowiadali, że oni - w nawiązaniu do liczby sakramentów świętych - mają siedem potraw.

Dwanaście potraw jest na pamiątkę dwunastu apostołów, tudzież dwunastu pokoleń Izraela, które oczekiwały Zbawiciela. Święta Narodzenia Pańskiego to są święta, które bardzo mocno podkreślają, że Bóg wcielił się, że stał się człowiekiem. To, co wyróżnia chrześcijaństwo ze wszystkich religii, to to, że On, będąc prawdziwym Bogiem, stał się prawdziwym człowiekiem. On nie stał się, jak w starożytnej Grecji, herosem, półbogiem. Jeden jedyny raz we wszechświecie coś takiego zaistniało i tylko ta religia o tym mówi, że Bóg stał się jednym z nas. Patrząc na ziemską twarz Pana Jezusa, możemy przez Jego ludzką naturę czegoś dowiedzieć się o Bogu, którego nie widzimy. Święta Bożego Narodzenia mają całą tę symbolikę - naszą ludzką, materialną - która pozwala nam odkryć to, co jest niewidzialne.

Kiedy zaczęto obchodzić święta Bożego Narodzenia?

Zacznijmy od tego, że kalendarz liturgiczny zrodził się, obok list, na których spisywano daty śmierci męczenników, także z katechumenatu, czyli prowadzenia ludzi dorosłych do wiary. Tych nowo na-

REKLAMA

0011454839

DN.II.7740.3.4.2025

Wyciąg z ogłoszenia o przetargach ZARZĄD WOJEWÓDZTWA LUBUSKIEGO informuje,

że na elektronicznej tablicy ogłoszeń Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego w Zielonej Górze (parter), na stronie internetowej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego www.lubuskie.pl oraz na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego www.bip.lubuskie.pl zostały umieszczone treści ogłoszeń przetargowych, na sprzedaż nieruchomości stanowiących własność Województwa Lubuskiego:

Kolejny (trzeci) przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nw. nieruchomości gruntowej zabudowanej wraz z zadrzewieniem:

Położenie nieruchomości	Numer ewidencyjny działki	Powierzchnia działki (ha)	Numer księgi wieczystej	Cena wywoławcza nieruchomości (zł)	Wysokość wadium (zł)	Godzina przetargu
Cibórz Obręb 0004 Międzyzylesie gmina Skąpe	333/75	0,5760	ZG1S/00055294/6	174 400,00	8 720,00	10:00

Drugi przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nw. nieruchomości gruntowej zabudowanej:

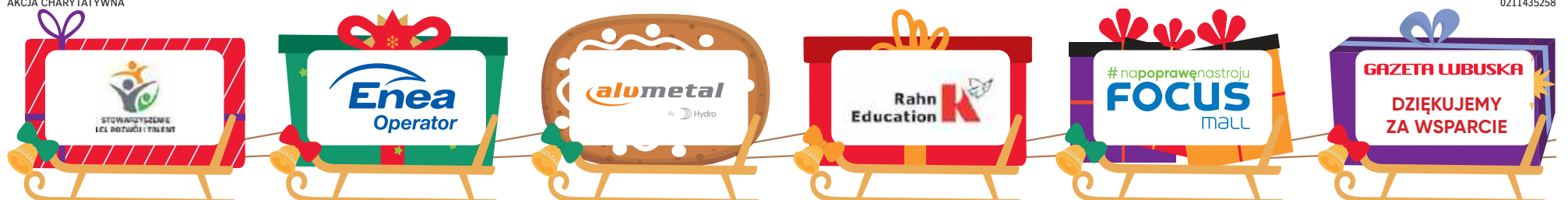
Położenie nieruchomości	Numer ewidencyjny działki	Powierzchnia działki (ha)	Numer księgi wieczystej	Cena wywoławcza nieruchomości (zł)	Wysokość wadium (zł)	Godzina przetargu
Torzyn, obręb 0073 Torzyn	732/27	0,1385	GW1U/00015666/1	94 400,00	9 440,00	10:30

Przetargi odbędą się w dniu 29.01.2026 roku w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Lubuskiego w Zielonej Górze, przy ul. Podgórznej 7, w sali nr 108.

Szczegółowych informacji w sprawie nieruchomości przeznaczonych do sprzedaży w drodze przetargu można uzyskać w Wydziale Zarządzania Mieniem Województwa Departamentu Geodezji, Gospodarki Nieruchomościami i Planowania Przestrzennego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego w Zielonej Górze lub pod numerem telefonu **68 45 65 471/343**.

AKCJA CHARYTATYWNA

0211435258





FOT. BŁAŻEJ FABERSKI

wróconych wprowadzano w życie wiary, omawiając z nimi poszczególne etapy życia Pana Jezusa. Rozważano Słowo Boże, głoszone katechezy, sprawowano błogosławieństwa, odprawiano egzorcyzmy. Modlono się także: „Wspominamy Twoje narodzenie”, „Wspominamy

Twoje ofiarowanie w świątyni”, „Wspominamy Twoje ukrzyżowanie”, „Wspominamy Twoje zmartwychwstanie”. Z tych modlitw i zwyczajów - już pod koniec II wieku - zaczął wytworzać się kalendarz liturgiczny. Sama uroczystość Narodzenia Pańskiego pojawiła się w kalendarzu li-

turgicznym w IV wieku. Jest ona wtórna do innej uroczystości, czyli Objawienia Pańskiego (6 stycznia). Pierwotnie to ona bowiem była ważniejszą uroczystością. Bo to, że Jezus się narodził to jedno, ale ważne jest także to, że się objawił światu. Uroczystości Objawienia Pańskiego i Narodzin

Pańskich rozdzielono na Zachodzie pod koniec IV wieku.

Kiedy właściwie kończy się okres Narodzenia Pańskiego? Bo przecież kolędy śpiewa się w Kościele do 2 lutego...

Okres Bożego Narodzenia kończy się w Niedzielę Chrztu Pańskiego (teraz będzie to 11

stycznia - dop. red.). Później w kalendarzu liturgicznym jest już okres zwykły. Zwyczaj śpiewania kolęd, pozostawiania żłóbka, trzymania choinki aż do 2 lutego jest pięknym zwyczajem u nas w Polsce.

Tegoroczne święta przypadają niemal na sam koniec Roku Jubileuszowego, który w Kościele jest co dwadzieścia pięć lat.

W diecezjach Rok Jubileuszowy kończy się w katedrze. I w Niedzielę Świętej Rodziny, czyli 28 grudnia, będzie uroczystość zamknięcia roku świętego w katedrze gorzowskiej. Przewodniczyć jej będzie biskup Tadeusz Lityński. Zaproszeni na to wydarzenie są przedstawiciele kościołów jubileuszowych w naszej diecezji. Natomiast zakończenie całego Roku Świętego w całym Kościele nastąpi w Rzymie 6 stycznia.

Kończący się powoli rok zakończył też obchody 900-lecia diecezji lubuskiej. Co z tego jubileuszu zostanie nam na przyszłość?

Województwo lubuskie nie ma innej dawnej historii, tak długiej i tak ugruntowanej jak historia Kościoła. Był ksiązę Mieszko Lubuski, ale po jego dwuletnich rządach ślad się zatarł. Była kasztelania lubuska, ale ona nie nadała temu regionowi tak dużego znaczenia

znaczenia. Jedynym, co na tym naszym pograniczu łączy Polaków oraz Niemców i co do dzisiaj pozostawiło bardzo duże świadectwo kultury materialnej i niematerialnej, jest właśnie diecezja lubuska. Jeśli my w regionie lubuskim chcemy odwoływać się do historii dawnej, to mamy tylko i wyłącznie diecezję lubuską.

A jaki ślad po tym jubileuszu zostanie? W Ośnie stanął pomnik, w Międzyrzeczu - odsłonięto płytę upamiętniającą diecezję. W Górzycy natomiast chcą w przyszłym roku świętować 750-lecie praw biskupich. Mamy nadzieję, że przy tej okazji przy kościele w Górzycy pojawi się kolumna z figurą Matki Bożej z Górzycy. Dzięki badaniom dr Bożeny Grabowskiej znamy jej hipotetyczny wygląd. Chcemy więc odtworzyć ten wizerunek.

Najlepszą sytuacją byłoby, gdyby na przykład w Gorzowie można było zorganizować muzeum diecezjalne. Można byłoby w nim wyeksponować choćby jedyny po polskiej stronie mszał lubuski. Diecezja lubuska jest ciekawym przykładem diecezji polskiej, która stała się diecezją niemiecką, ale zachowała kalendarz polski, zachowała polskie sanktuaria i wspominano w niej polskich świętych. To pokazuje, że dwa narody mogły funkcjonować w jednym Kościele.

REKLAMA

0011454062



Z okazji Świąt Bożego Narodzenia składamy Państwu najserdeczniejsze życzenia zdrowia, spokoju i radości.

Niech ten wyjątkowy czas wypełni Wasze domy ciepłem, uśmiechem i życzliwością, a nadchodzący 2026 rok przyniesie pomyślność i spełnienie marzeń.

Anna Synowiec
Przewodnicząca Sejmiku
Województwa Lubuskiego
wraz z Radnymi

Sebastian Ciemnoczołowski
Marszałek
Województwa Lubuskiego
wraz z Zarządem

Kartka inspirowana pracą Filipa Muniaka, kl. III SP nr 3 w Nowej Soli, która została wyróżniona w konkursie Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego na kartkę świąteczną.

Święta Bożego Narodzenia zaczęto obchodzić 25 grudnia dopiero w IV w. (pierwsza wzmianka pochodzi z 354 r.). W tym dniu obchodzono w Rzymie święto Niezwyciężonego Słońca i narodzin Mitry - perskiego boga, którego kult był bardzo popularny w cesarstwie. Był to więc bardzo dobry moment, by obwieścić narodziny Jezusa. W wielu kulturach półkuli zachodniej okres przesilenia zimowego był okazją do świętowania - rzymianie obchodzili w tym czasie także Saturnalia, plemiona germańskie miały święto Jul, a Słowianie Szczodre Gody. Echa tych ostatnich obrzędów po-brzmiewały, a raczej wypełniały czas Bożego Narodzenia na polskiej wsi jeszcze całkiem niedawno, co skrzętnie podkreślały całe rzesze etnografów.

„W naszym świętowaniu zachowały się też starsze niż chrześcijaństwo zwyczaje i obrzędy. Przechowywała je zwłaszcza tradycja ludowa. Praktyki i zaklęcia magiczne i elementy dawnych pogańskich świąt spłoty się tu z elementami chrześcijańskimi” - pisze Barbara Ogrodowska „Polskich obrzędach i zwyczajach dorocznych”. Pozostałości tych zabiegów, wróżb i obrzędów starsi Czytelnicy pamiętają ze swojego dzieciństwa. Wiele z nich było obecnych na polskiej wsi jeszcze długo po II Wojnie Światowej. Nie zniknęły nagle, ale blakły, zacie-

WIECZERZA Z DUCHAMI

Wigilia bez choinki? Za to z zaproszeniem dla dzikich zwierząt, odwiedzinami dusz przodków i baczny obserwowaniem swojego cienia? Nie, to nie egzotyczne zwyczaje dzikich plemion, a wiejskie świętowanie naszych pradziadków i prababek. Boże Narodzenie sto lat temu.

Michał Olszański

rał się ich sens, a w końcu przestały być praktykowane. Niektóre pozostały, ale z nowymi znaczeniami (np. dodatkowy talerz dla wędrowca). Poszczególne zachowania mogły się różnić w zależności od regionu, ale wiele z nich było bardzo podobnych.

Dzień czarownic

„Chwila wesela i uciechy wielkiej, pełnej radości dla czarownic była wigilia św. Łucji; w nocy tej najwięcej czarami się zatrudniały i gdzie mogły, tam psoty wyra-

biały, dlatego tej nocy żaden gospodarz, żadna gospodyni nie układała się do spokojnego snu...” - pisał Adam Fiszer w opracowaniu „Czarownice w dolinie nowotarskiej” z 1927 r. Na Lubelszczyźnie tego dnia kobiety nie wychodziły z domu po zapadnięciu zmroku, pilnowano także małych dzieci. W stajniach i oborach wykładano ciemne i poświęcone zioła.

Czarownice były elementem wiejskiego świata. Mogły czynić uroki, spowodować że krowy

przestawały dawać mleko, zwierzęta chorowały, mogły być też przyczyną wielu innych nieszczęść. Na Podkarpaciu wiara w ich istnienie przetrwała bardzo długo. We wsi Niebylec, o kobiecie, która zmarła w 1976 r., okoliczni mieszkańcy jeszcze długo opowiadali, że była złośliwą czarownicą.

W wielu rejonach właśnie w dniu św. Łucji (13 grudnia) zaczęto przygotowywać się do Świąt. Zwracano uwagę, jaka pogoda jest w poszczególnych



Pajaki

dniah, aż do Wigilii - taka miała być w kolejnych miesiącach. Gdzieś tam wsiadywano sól do miseczek zrobionych z rozkrojonej cebuli. Jeśli pojawiła się woda, ten miesiąc miał być deszczowy (w niektórych rejonach wróżono w ten sposób pomiędzy Wigilią a świętem Trzech Króli). Wróżono też z gałązek wiśni wkładanych do wody - jeśli się rozwinęły, zapowiadały dobry rok.

Wracając do czarownic - jeśli w dniu św. Łucji zaczęło się robić

stołek i tak rozplanowało pracę, że skończyło się w Wigilię, to gdy stanęło się na nim na pastercie, można było zobaczyć czarownicę - okazywało się, że stały odwrócone tyłem do ołtarza.

Wigilia

„Tego dnia świętowali nie tylko ludzie, ale cała natura. Zmarli odwiedzali domostwa, na wieczerzę zapraszano wilka, ptaki, mróz, anioły, apostołów, św. Mikołaja, a nawet węże. Zwierzęta przepowiadały przy-

REKLAMA

0011447534

Eksperti w reedukacji żywieniowej

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia składam Państwu wyrazy szacunku oraz serdeczne życzenia spokojnych, pełnych ciepła chwil. Niech Nowy Rok obfituje w sukcesy zawodowe, satysfakcję z podjętych działań oraz nieustającą pomysłowość.

Zdrowe Świąta

z pomocą dietetyka

Umów się już dziś!

Centra Dietetyczne Naturhouse

Zielona Góra **tel. 883 950 093**

Nowa Sól **tel. 883 950 090**

Żagań **tel. 883 950 980**

REKLAMA

0011454138

SPECJALISTYCZNY OŚRODEK WSPARCIA POKRZYWDZONYCH

CENTRUM POMOCY DZIECIOM

W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM
WŁAŚCIWY DLA WOJEWÓDZTWA LUBUSKIEGO

**UDZIELA SPECJALISTYCZNEJ POMOCY DZIECIOM
POKRZYWDZONYM PRZESTĘPSTWEM ORAZ ICH RODZINOM**

CPD

Gorzów Wlkp.

ZAKRES ŚWIADCZONEJ POMOCY:

POMOC PSYCHOLOGICZNA: konsultacje psychologiczne, psychoterapia indywidualna, psychoterapia grupowa, warsztaty psychoedukacyjne;

POMOC PRAWNA: poradnictwo prawne, reprezentacja prawna;

POMOC SOCJALNA: pomoc/wsparcie w: uzyskaniu świadczeń finansowych, znalezieniu mieszkania, znalezieniu pracy, załatwieniu spraw urzędowych;

MEDIACJE RODZINNE pomoc w rozwiązywaniu konfliktów rodzinnych;

DZIAŁALNOŚĆ PROFILAKTYCZNA: warsztaty, szkolenia i kampanie informacyjne;

DZIAŁALNOŚĆ EDUKACYJNA: indywidualne wsparcie pedagogiczne;

POMOC MEDYCZNA: badania lekarskie, opieka pediatryczna i psychiatryczna.

KONTAKT Z NAMI:

Specjalistyczny Ośrodek
Wsparcia Pokrzywdzonych
Centrum Pomocy Dzieciom
ul. Słoneczna 63
66-400 Gorzów Wlkp.

tel.: +48 572 929 223
e-mail: cpd.gorzow@bratkrystyn.pl
www.centrumpomocydzieciom.pl

SPINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI,
KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

szłość i przemawiały ludzkim głosem” – pisze Andrzej Karczmarszewski w „Ludowych obrzędach dorocznych w Polsce południowo-wschodniej”.

Do wszystkiego co się tego dnia wydarzyło, przywiązywano znaczenie. Przestrzegano zakazów i wykonywano czynności, które pozwalały uniknąć wydarzeń niepomyślnych lub prowokowały korzystne.

Bardzo niedobrze, jeśli pierwszą osobą, która przyszła tego dnia do domu, była kobieta – wróżyło to chorobę, niepowodzenie w gospodarstwie, a nawet śmierć.

Wstawano bardzo wcześnie. Gospodynie starały się nawet na chwilę nie usiąść, co miało sprawić, że będą „skrzętne”. Nie wolno się było kłócić.

Unikano praktyk powodujących „ubywanie”. Nie pożyczano niczego. Ważne było, żeby niczego nie stłuc ani nie zniszczyć, gdyż wtedy w domu będzie przez cały rok ubywało. Były też praktyki mające spowodować „przybywanie” – gospodarze podkradali sobie różne przedmioty, które po świętach zwracali. Szeroko praktykowanym zwyczajem były połowy (na Mazurach i Pomorzu) oraz polowanie/kłusownictwo. Obfity łup zapowiadał dobry rok. Na Podkarpaciu starano się pożyczyć coś od żyda, bo to przynosiło powodzenie. Nie można było rozlać wody – w domu będą pchły. Ile

razy kichniesz – tyle razy będziesz chory, itd.

Ponieważ tego dnia do domu przybywały dusze zmarłych, siadając trzeba było delikatnie omieść ławę, albo zdmuchnąć z niej duszę. Kobiety uważały, by nie chlustać pomyjami. W wielu rejonach panował tego dnia zakaz szycia, motania i przędzenia.

W Wigilię obserwowano również pogodę. Rozgwieżdżone niebo zapowiadało, że kury się będą dobrze nosiły, a mgła – obfitość mleka.

Gdy zbliżała się pora wieczory, czyli pośnika lub postnika, na podłodze rozścielano słomę, żeby było jak w Betlejem. Gdzieniedzie później spano na tej słomie, pozostawiając łóżka czy ławy dla dusz.

Pośnik

„Stawianie snopów zboża po rogach izby, w której zasiadają do uczyty wigilijnej, dotąd napotykane u ludu, było kiedyś zwyczajem we wszystkich warstwach powszechnym” czytamy w Encyklopedii Staropolskiej Glogera. Czasem był to jeden snop niewymłóconego zboża – zwany Dziadem”, rzadziej „Królem” czy „Diduchem”. Często pierwszy zebrany w żniwa. Pod obrus kładziono siano, czasem też ziarna zbóż. Stawiano talerz dla dusz i w wielu domach odkładano na niego łyżkę każdej potrawy.

Pod stołem umieszczano żelaza (siekiere, sierp), dla odstraszania złych mocy (czasem tłumaczono: „aby roli nie psuły”), w niektórych domach obwiązywano sznurami lub łańcuchami nogi stołu, „aby chleb trzymał się domu”. Gdzieniedzie nie jedzono na stole, a na odwróconej dieży (dla pomyślności).

Do wieczory musiała zasiąść parzysta liczba osób (liczono też dzieci „w drodze”), bo nieparzysta zwiastowała nieszczęście, a nawet śmierć jednego z domowników. Gdy wypadało inaczej, doliczano „Dziada” (w niektórych regionach w takim wypadku snopek ubierano).

„Wieczera wigilijna tylko pozornie spożywana była w gronie ludzi, a naprawdę adresowano ją, jak się wydaje, do innych, ważniejszych od człowieka istot. Wskazuje na to przede wszystkim jej menu i obowiązująca atmosfera powagi. Zarówno miód, mak, grzyby, suszone owoce, orzechy czy groch można spotkać w rozmaitych konfiguracjach podczas wielu innych obrzędów. Wtedy zupełnie wyraźnie są one ofiarami składanymi na grobach lub w kościele. W obrzędowości katolickiej nie jest to może aż tak jednoznaczne, natomiast zupełnie jasno zaznacza się w obrzędzie prawosławnym” – pisze Anna Zadrożyńska w książce „Powtarzać czas początku. O świętowaniu dorocznych świąt w Polsce”.

Jak wiadomo, „powinno być 12 potraw, bo tyle jest apostołów i miesięcy w roku”. Często nie udawało się spełnić tego wymagania, wówczas musiała to być liczba nieparzysta. W biedniejszych domach 5-7, w bogatszych więcej.

W trosce o dostatek, łyżkę trzymano przez cały czas w ręce. Nie odchodzono od stołu, żeby się kury nie rozbiegały. Jedzono w powadze, dużą uwagę przywiązywano do tego, żeby usiąść w taki sposób, by na ścianę padał wyraźny cień. Niewyraźny zwiastował choroby, a jego brak – śmierć.

Często jedzono z jednej miski. Stawiano ją na opłatku i podnoszono. Jeśli się przykleił, zapowiadało to urodzaj na produkty, z których wykonano potrawę. Nierzadko w trakcie jedzenia wypowiadano życzenia, np. „wiąż się grochu”, „mnóż się zboże”, „składaj się kapusto”. Po kolacji nie sprzątano ze stołu. Jedzenie pozostawiano duszom.

Oczywiście wróżyć sobie jaki będzie nadchodzący rok, np. podrzucając kutię do sufitu – im więcej się przykleiło – tym miał być dostatniejszy. Podobną wróżbą było rzucanie słomy za tragarz (belka podtrzymująca strop) – im więcej żdźbeł utknęło – tym lepiej. Zanoszono opłatek (czasem też odrobinę potraw) zwierzętom, a Kaszubi wynosili kluski

z makiem rybom w jeziorze. Bardzo popularnym zwyczajem było obwiązywanie słomą drzew w sadzie. Gdzieniedzie zanoszono potrawy na mogiły lub przed dom, palono ogniska na rozstajach dróg.

Choinka

Jak wiadomo, choinka dotarła do nas z Niemiec, w XIX w. i powoli zdobywała popularność, głównie w miastach. Na wsi przyjęła się późno, co nie znaczy, że w świątecznej izbie brakowało dekoracji. Gałązkami jodeł, świerków czy sosen ozdabiano ściany, ramy obrazów, przybijano je do drzwi. Pod powalą wieszano czubek żywozielonego drzewka. Dekorowano go orzechami, jabłkami, czasem wieszano też cebulę – na odpędzenie złych duchów. Taka ozdoba nazywała się podłaznik, połażnik, połażniczka, jutka, wiecha, boże drzewko. Ciekawymi ozdobami były gwiazdki i słońca wycinane z opłatków. Z tych ostatnich klejono także trójwymiarowe formy w kształcie kul – nazywane światami, zawieszano je osobno, pod sufitem.

Inną ozdobą obecną w chłopskich domach były pajaki – przestrzenne konstrukcje zrobione ze słomy i bibuły. Czasem osiągały ogromne rozmiary i zadziwiająco wysoki stopień komplikacji – przypominały wielkie żyrandole z dworów.

Pasterka

To była msza inna niż wszystkie. Popularne były wyścigi furmanek do i z kościoła (pierwszemu najszybciej wjeżdzieć i dojrzeć zboże). Ludzie byli głośni i swawolni. Czasami z chóru rzucono grochem – na szczęście. Taki element żartu i zabawy był powszechny także w miastach. Krakowscy żacy wlewali atrament do wody święconej, albo zszywali ze sobą suknie modlących się kobiet.

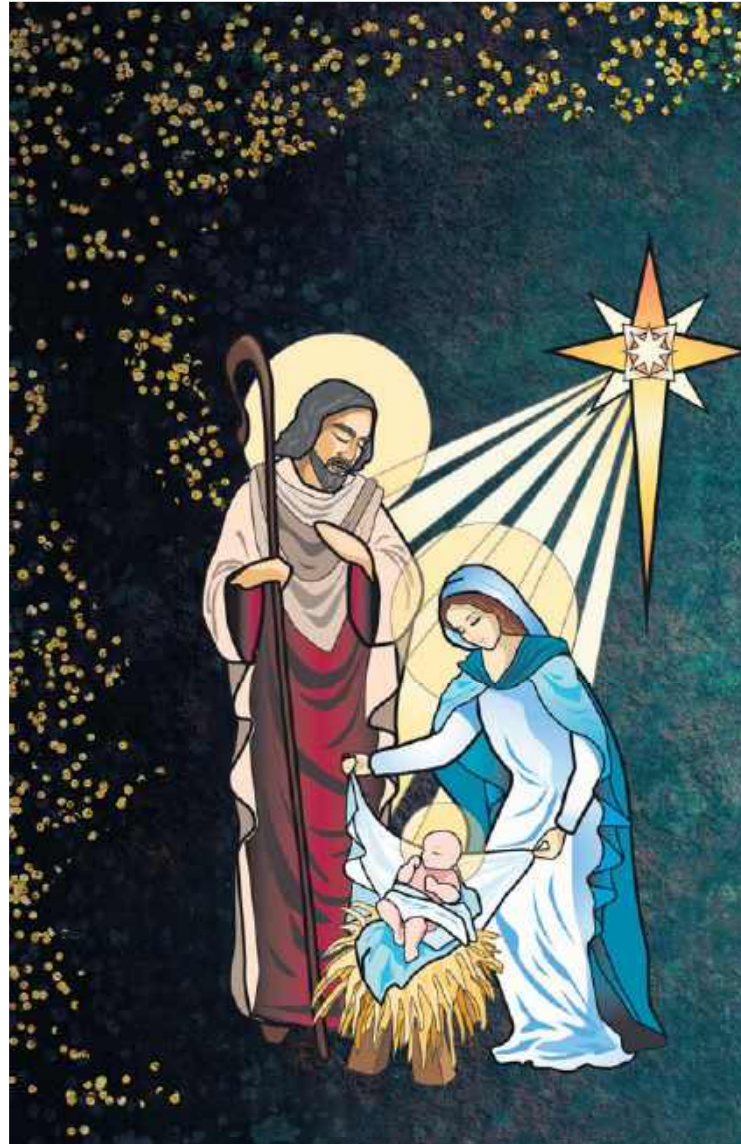
Po pasterce swawola wylewała się na wieś. Zastawiano bramami drzwi do domów, czasem zamalowywano wapnem okna (szczególnie jeśli mieszkala w nim panna na wydaniu).

„Nawet jeśli parobcy lub dorosli mężczyźni wyciągnęli komuś wóz na dach, nikt nie mógł tego poczytać za obrazę (...) Jakby wtedy przestały obowiązywać normalne konwenanse dnia poprzedniego” – pisze Anna Zadrożyńska.

I rzeczywiście było to swoiste wprowadzenie do świata na opak, czasu chaosu. Po domach zaczęli chodzić kolędnicy, przebiegający z maszkarami, kozami, bocianami, turoniami, królami, Herodami, diabłami, składający życzenia, domagający się podarunków. Już w 1408 r. krakowski statut diecezjalny krytykował te praktyki. Stwierdzał, że przy tej okazji dzieje się wiele bezceństw, grabieży i zbrodni. Ale to już zupełnie inna opowieść.

REKLAMA

0011445108



PRZED NAMI ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA.
PRZYCHODZI DO NAS CHRYSZTUS,
NICZEGO NIE ŻADAJĄC, ALE OBDAROWUJĄC.
OBDAROWUJĄC SOBĄ, OBDAROWUJĄC NIEZWYKŁĄ MIŁOŚCIĄ,
SZACUNKIEM I ZROZUMIENIEM.
TO SZCZEGÓLNICZIE DZISIAJ NAJWAŻNIEJSZY SPOSÓB,
BY BARDZIEJ LUDZKI STAŁ SIĘ NASZ WSPÓŁCZESNY ŚWIAT.
W KOLEJNE BOŻE NARODZENIE, JEGO WZOREM PODAJMY SOBIE RĘCE,
PRZEKAZUJĄC SOBIE WZAJEMNIE ŻYCZLIWOŚĆ, PRZYJAŹŃ I POKÓJ.
OBDARUJMY SIĘ NADZIEJĄ, KTÓRA NIGDY NAS NIE ZAWIEDZIE.
ŻYCZĘ PAŃSTWU RADOSNYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA.

POSEŁ NA SEJM
WŁADYSŁAW DAJCZAK



Pierwsze lata po przyjeździe Górali Czadeckich do Złotnika były bardzo skromne, w oknach brakowało szyb, nie było za wiele jedzenia. Jednak tradycja przetrwała. Dziś w święta nie może zabraknąć śledzi, które przygotowywano kiedyś w specjalnym, glinianym garnku przez kilka godzin. Obowiązkowo pojawia się kutia, pierogi z kapustą i grzybami. I oczywiście kolędy.

Aleksandra Łuczyńska



FOT. ALEKSANDRA ŁUCZYŃSKA

ŚWIĘTA U GÓRALI CZADECKICH W ZŁOTNIKU

Górale w Złotniku? Zanim opowiemy o świętach Bożego Narodzenia wśród Górali Czadeckich, warto wspomnieć o ich historii. Warunki, w jakich podróżowali na teren dzisiejszego Lubuskiego, (podobnie jak wielu przesiedleńców) dziś przypominają o gęsią skórę. W bydłych wagonach, przez wiele tygodni w drodze, razem z małutkimi dziećmi.

Tradycja z dziada, pradziada

Dziś trudno sobie to wyobrazić, ale Wiktor i Jadwiga Bryjakowie, są żywym dowodem na to, że ta historia wydarzyła się naprawdę. Oboje urodzili się na Bukowinie, we wsiach oddalonych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów. Należą do rodzin Górali Czadeckich z dziada pradziada i swoje tradycje przekazują kolejnym pokoleniom.

- Stalin podzielił Bukowinę na połowę, trzy województwa należały pod Związek Radziecki, myśmy byli po stronie rumuńskiej. Do dziś mówią o, że my Rumuni, ale my jesteśmy Polakami. Mieszkaliśmy we wsi Plesza. Pamiętam, jak tam jeszcze w urzędzie powiedzieli rodzicom: albo stąd wyjeżdżacie i jesteście dalej Polakami, albo przyjmujecie obywatelstwo rumuńskie. Izdecydowali, że wyjeżdżamy - tłumaczy

Wiktor Bryjak. - Podróż była długa jechaliśmy przez Bukareszt, Budapeszt. Wieźliśmy krowę ze sobą. Niby nie można było, ale nam się udało. To była nasza jedyna żywicielka. Tutaj, na miejscu, rodzice zgłosili się do Powiatowego Urzędu Repatriacyjnego i ktoś im powiedział, że będą może rok, może dwa i wrócą do siebie. Na to moja mama zaczęła dosłownie rwać włosy z głowy, lament był

straszny. Mama krzyczała, „co my zrobili, drewniane domy my zostawili swoje, a tu do niemieckich murów przyjechali!”

Musieli stamtąd wyjechać - Kiedy przyjechaliśmy miałam roczek, więc nie pamiętam samej podróży. Z opowieści rodziców wiem, jak to było mniej więcej. Myśmy przyjechali w 1945 roku, w grudniu na same święta, a rodzina męża dwa lata później - opowiada Jadwiga Bry-

jak. - Nie było wyjścia, Polaków Ukraińcy tam na wschodzie rżnęli. Mój tato był w polskim wojsku. Przez wiele lat wspominali te mordy, jak ludzie chowali się po nocach przed banderowcami. Pierwsze lata przesiedleńców w nowym miejscu były bardzo trudne. Żyli skromnie, wciąż tęskniąc za swoimi stronami i podtrzymując tradycje. Część Górali Czadeckich osiedliła się w Złotniku, część m.in. w Brzeż-

AUTOPROMOCJA

0011448324

NIE ZAPOMINAJ O WAŻNYCH DATACH! ❄️

JUŻ WE WTOREK, 30 GRUDNIA

PREZENT DLA CZYTELNIKÓW „GAZETY LUBUSKIEJ”

na KALENDARZ 2026 rok

❄️ NAWAŻNIEJSZE ŚWIĘTA ❄️ WYKAZ IMIENIN ❄️ NIEDZIELE HANDLOWE ❄️

nicy w powiecie żagańskim. W wielu domach brakowało szyb w oknach, większość była już dawno zajęta przez innych Polaków, którzy przyjeżdżali z różnych stron. Chociaż byli jednej narodowości nie brakowało konfliktów.

Sztachety szły w ruch

- Nie pozwalali na początku, żeby centralak żenił się z bukowinką. Nie wpuszczali nikogo między siebie. Ludzie poznawali się na na tańcach, ale łatwo nie było. W ruch szły sztachety, na imprezach we wsi zawsze były bijatyki. Oni nas nazywali mamaligory, a my do nich „zalewajka i dwa jajka” - wspomina pani Jadwiga.

Przez lata w Złotniku nie tolerowano żadnych związków między Góralami a Polakami z innych stron, choć wszyscy byli jednej narodowości i obywatelstw. Dopiero z czasem konflikty ucichły, choć jeszcze i dziś Górale słyszą o sobie, że są Rumunami. - Nigdy tak nie było, zawsze byliśmy Polakami - podkreśla jednak stanowczo pan Wiktor.

Góry były jakby wyższe

Po latach pojechał odwiedzić rodzinne strony. Góry wydawały się wtedy jakby wyższe, ale wieś pozostała ta sama. Wielu Polaków zostało na miejscu i do dziś tworzą lokalną społeczność pielęgnując swoje tradycje. Pan Wiktor postanowił z żoną, że także i oni zadbają o historię Górali Czadeckich w Złotniku. Tak powstał zespół Dolina Złotego Sołonica, który istnieje już kilkadziesiąt lat. Na Bukowinę wracali wielokrotnie i do dziś odwiedzają się wzajemnie. Obecnie zespołem opiekuje się nim m.in. synowa państwa Bryjaków, pani Kasia.

- Moi dziadkowie też pochodzili z tamtych stron, więc w naszej rodzinie te tradycje wciąż były żywe - wyjaśnia.

Kiedyś nie było telefonów, wspólnych grup, internetu. O tym, że jest próba, informowało się przez posłańców, a byli nimi dziećmi.

- Oj nie raz nam syn marudził, że musi chodzić i zwoływać wszystkich - śmieje się pani Jadwiga.

Oplaciło się. Licząca kilkadziesiąt osób grupa muzyków jest rozchwytywana. Jeżdżą po całej Polsce, zdobywają nagrody na konkursach, są zapraszani na występy, żyją muzyką.

- Mamy fajną młodzież, wiadomo, że dziś trudno, bo oni się uczą, studiują, mają swoje zajęcia, więc z próbami jest problem, ale szybko mogą się zmobilizować - mówi Katarzyna Bryjak.

„Śledzie przużyły się na kuchni wiele godzin”

Jak wyglądają święta u Górali Czadeckich? Potrawy są niemal takie same, jak w wielu domach. Słynna mamałyga, która króluje na codziennym stole, w święta raczej się nie pojawia.

- Obowiązkowo musi być kutia, pierogi z kapustą i grzybami.

Ale pierwszy gospodarz na stole to był bób z cebulką i olejem. Jak to mówią „jak kwitnie bób to największy głód, a jak kwitnie mak to już tak”. W niektórych domach bób się gniołło z czosnkiem, jak u Kasi. U nas bób był cały, ale fasola rozgnieciona. Teraz tego nie robimy, ale kiedyś jadło się też makaron, taki szeroki z makiem i miodem. Postne gołąbki z krupy kukurydzianej z grzybami, cebulką. Pierogi były też z powidłami śliwkowymi, to było takie dla dzieci, bo nie wszystkie chciały jeść z kapustą. Do pierogów z kapustą do dziś dajemy grosza - wylicza pani Jadwiga.

Specjałem były i są do dziś śledzie. Wkładane do garnka glinianego, obklejano ciastem żytnim, żeby nic się nie wydostało ze środka. Gamek stawiano na wiele godzin na kuchni, gdzie ryba powolutku dochodziła do siebie.

- Jak to się otworzyło na Wigilię... A człowiek taki wyposzczony, bo przecież cały dzień nic nie można było jeść. A te śledzie takie dobre były. Dziś to cywilizacja, robimy to w piekarniku w słóikach, na ok. 50 stopni przez 6 - 7 godzin i tak się prują powoli. Karpia u nas nie było, za naszych czasów nie jedliśmy tego. Piekło się babki, strudle. Były placinty, to takie bułki z makiem, musiało być ich tyle, ilu domowników było. Na to gospodarz dawał opłatek i miód. Teraz już tak nie przestrzegamy, ale kiedyś to musiało być obowiązkowo dwanaście potraw na wigilijnym stole - dodaje.

W święta nie może zabraknąć kolęd. Zwłaszcza, że Górale Czadecy kochają muzykę.

- Te kolędy z Bukowiny nie różniły się niczym od innych śpiewanych w Polsce, tyle, że śpiewano je gwarą. Jest dużo takich kolęd, których nie znamy melodii, starsi się pominęli, umarli i nie miał kto przekazać tego - przyznaje pani Katarzyna.

- U nas wielu jest takich muzyków, którzy grają na instrumentach, ale w ogóle nie znają nut - dodaje. - Często, jak się gdzieś spotykamy na różnych wyjazdach to wystarczy, że ktoś zapoda melodię i zaraz inni dołączają. W mojej rodzinie dziadkowie zaczęli uczyć kolędy tuż po żniwach, wtedy zaczęliśmy śpiewać, dlatego tyle ich zapamiętałam, chociaż nie wszystkie są zapisane.

Świąteczne zwyczaje

- Jednym z najważniejszych zwyczajów bożonarodzeniowych było zamiecenie siana pod stół, w Jana (Jana Ewangelisty, 27 grudnia) robiło się z tego powrósł, wiązało się drzewką, żeby owocowały... Miało to jakąś moc podobno. Dziś tylko pod obrus tylko trochę siana się daje. Kiedyś jeszcze wieczorem szło się do bydła i dawało się opłatek, podobno zwierzęta mówiły wtedy ludzkim głosem, ale nikt tego nie słyszał. Do dzisiaj pilnujemy też, żeby w Wigilię pierwszy do domu wszedł mężczyzna no i musi być to jedno nakrycie

dla zbłąkanego wędrowca - opowiada pani Jadwiga.

Choinka? Była w każdym domu, ale wtedy nie było tyle miejsca w chacie, więc wiązało się ją do sufitu. Wisały na niej własnoręcznie zrobione ozdoby, jabłka, orzechy zawijane w sreberko czy złotko. Prezentów pod nią na próżno było szukać w dawnych czasach, bo nie było nikogo stać na takie luksusy. Najważniejsze było, żeby cała rodzina spotkała się wspólnie przy jednym stole i tak jest tutaj do dziś. Oboje Jadwiga i Wiktor Bryjakowie, mają nadzieję, że tradycja Górali Czadeckich przetrwa i będzie wciąż żywa w kolejnych pokoleniach.



FOT. ALEKSANDRA LUCZYŃSKA

REKLAMA

0011444590



*Wesołych Świąt,
Szczęśliwego Nowego Roku!*

Z okazji nadchodzących Świąt
życzymy Państwu spokoju,
radosnych chwil w gronie najbliższych.
Niech ten wyjątkowy czas
przyniesie wiele inspiracji
oraz satysfakcji.

aluprof.com

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

Poleca Tomasz Rusek

II BAJEK I FILMÓW NA ŚWIĘTA. BEZ „KEVINA...”, ZA TO Z KLASYKAMI DLA DZIECI I CAŁEJ RODZINY

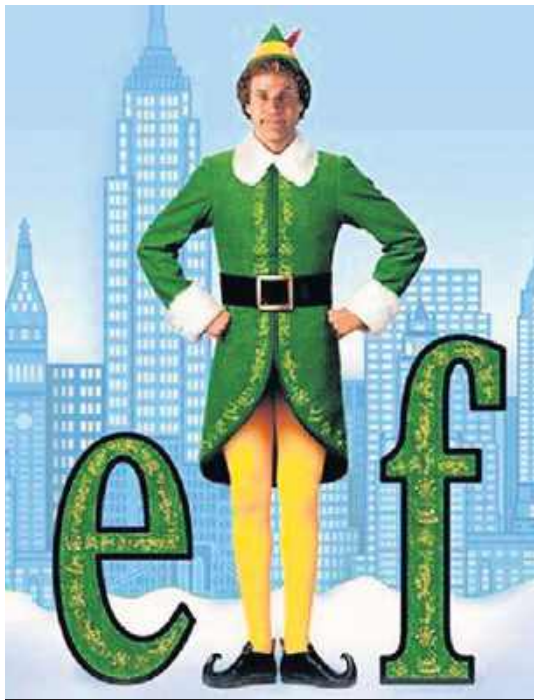
Okołoświątecznych bajek i filmów jest naprawdę wiele. Wcale nie trzeba po raz setny oglądać, jak Kevin radzi sobie sam w domu czy w Nowym Jorku.

Oto subiektywny przegląd pięknych i zabawnych filmów oraz bajek, które zadbać o świąteczny nastrój całej rodziny. Na pewno część z nich znacie, ale czy wszystkie? Uwaga: niektóre mogą wzruszać do łez...



„STRAŻNICY MARZEŃ” Z 2012 R.

Niezwykła animacja, w której Mikołaj, Wróżka Zębuszka, Wielkanocny Zając i Piskowy Ludek (w Polsce mało znana postać - odpowiada za piękne sny dzieci) muszą stawić czoło złowiem, który chce tylko straszyć dzieci i zabrać im radość ze wszystkich świąt. Jako pomocnika ekipa rekrutuje Jacka Mroza - Tajemniczego chłopca, trochę lekkoducha, który sam nie wie, kim jest, i czego chce od niego sam Mikołaj (wydzierany, napakowany byk, żaden staruszek!). Jedną z najlepszych i najbardziej poruszających bajek ostatnich lat! Na uwagę zasługuje doskonały polski dubbing, nam podobał się zwłaszcza Tomasz Borkowski jako Wielkanocny Zając. Było czuć emocje!



„ELF” Z 2003 R.

Buddy (genialna rola Willa Ferrella) jako dziecko trafił do worka Mikołaja i w ten sposób... zamieszkał na Biegu nie Północnym. Po latach postanawia wrócić do Nowego Jorku i odnaleźć bliskich. Przeważająca komedia, która sprawi, że będziecie płakać ze śmiechu. Aż dziwne, że nie było drugiej części, bo na pewno okazałaby się przebojem. Dla kogo to tytuł? Naszym zdaniem to film raczej dla dorosłych i dzieci w wieku od 10 czy 12 lat w górę. Najmłodsze maluchy nie będą się szczególnie dobrze bawić. To zdecydowanie nie jest produkcja dla kilkulatków. Za reżyserię odpowiada Jon Favreau - człowiek, który nakręcił m.in. Iron Mana.



„KLAUS” Z 2019 R.

Miasteczko Smeerensburg to „najsmutniejsze miasto na świecie”. Ludzie podzieleni na dwie ekipy dosłownie się nie lubią, wiecznie szukają okazji do bitki, nie rozmawiają i nie piszą do nikogo listów. Co więc ma tu robić nowy, zesłany za karę na prowincję, listonosz Jasper? Zakumplowuje się z samotnym Klausem, wielkim brodaczem, który ma szopkę pełną własnoręcznie zrobionych zabawek. I razem postanawiają coś zmienić. Jaki będzie tego skutek? Bajka z dość niecodzienną kreską, wciągająca i zdecydowanie dla całej rodziny! Pokazuje jak narodziła się legenda o Mikołaju i latających saniach. Bedziecie na przemian śmiać się i płakać.



„TAMTE ŚWIĘTA” Z 2024 R.

Niezwykła, niesamowita, bardzo mądra i totalnie wzruszająca animacja, w której palce maczał człowiek, który stworzył hity „Love Actually” czy „Cztery wesela i pogrzeb”. Opowiada o świątach kilku osób z małego miasteczka, odciętego od świata przez śnieżylicę. Wątki splatają się w finale. Naszym zdaniem najlepsza produkcja w tym zestawieniu. Na uwagę zasługuje piosenka z bajki, którą napisał i zaśpiewał sam Ed Sheeran: „Under the tree”. Jeśli chcecie zobaczyć jaki ta animacja ma klimat, zerknijcie najpierw na teledysk na youtube i będziecie wiedzieć. Ale my polecamy w ciemno!



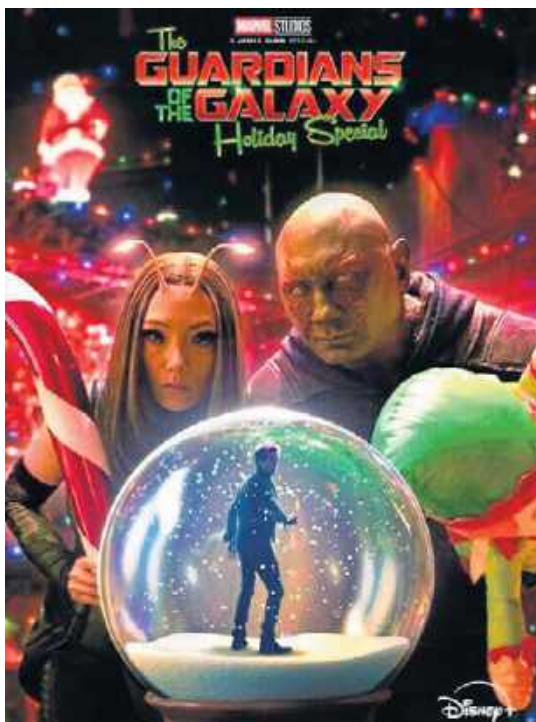
„GRINCH: ŚWIĄT NIE BĘDZIE” Z 2000 R.

Jim Carrey jako Grinch, który szczerze nienawidzi świąt i marzy by je wszystkim popsuć. Ale w sumie... dlaczego? I o tym jest tak naprawdę ta historia. Ciekawe, że film po 25 latach (!) wciąż się broni - to te czasy, gdy aktorzy byli poddawani żmudnej charakterystyce, więc cała złoć Grincha nie zeszła się jak kiepski efekt specjalny. Reżyserem jest absolutny geniusz: Ron Howard (laureat dwóch Oskarów), a film trwa ponad 1 godzinę i 40 minut, więc to idealny kandydat na wieczorne świąteczne kino rodzinne. Lojalnie ostrzegamy: młodsze dzieci naprawdę mogą się wystraszyć Grincha, więc rozważcie, czy to film dla nich.



„ARTUR RATUJE GWIAZDKĘ” Z 2011 R.

Stary i coraz bardziej zagubiony Mikołaj czuje, że musi oddać robotę jednemu ze swoich synów. Pierwszy to jego prawa ręka - Steve. Wielki, świetnie zorganizowany, idealny kandydat na szefa bieguna! Drugi to Artur - skromny, nieco wycofany chuderlak, który zajmuje się listami od dzieci i raczej nie jest najlepszym organizatorem... Ale gdy pewnego dnia wszystko się sypie i istnieje zagrożenie, że JEDNO DZIECKO NIE DOSTANIE PREZENTU, to właśnie Artur postanawia uratować święta. Choć jego misja nie ma żadnych szans na powodzenie. Tak szalonej nocy nie było na biegu- nie jeszcze nigdy...



„STRAŻNICY GALAKTYKI: CORAZ BLIŻEJ ŚWIĘTA” 2022

Uwaga: film wyłącznie dla wielbicieli świata Marvela, Avengersów, a przede wszystkim Strażników Galaktyki (ktoś spoza tego środowiska pewnie się wynudzi jak mops). Absurdalny humor, mnóstwo żartów zrozumiałych tylko dla fanów i... Kevin Bacon jako porwany ziemianin. Nie każdy będzie zrywał boki, ale ci, co będą, to zerwą oba. Za scenariusz i reżyserię odpowiada James Gunn, odpowiedzialny za poprzednich strażników i za najnowszego „Supermana”. Uwaga: to nie jest pełnometrażowy film, to raczej zabawny videoclip, który trwa nieco ponad 40 minut.



„CUD NA 34. ULICY” Z 1994 R.

Wyjątkowy i niezwykle aktor - Richard Attenborough - w roli Mikołaja - przebiegańca, który ma tylko udawać szefa Bieguna Północnego, ale ostatecznie musi się nim naprawdę stać. Kino rodzinne ze wspaniałych lat 90. Ciepłe, ciut naiwne, piękne. Jeśli macie nieco ponad 40 lat, najpewniej za dzieciaka byliście na tym filmie w kinie. Nie ma tu bezsensownej przemocy, akcja nie pędzi na złamanie karku, żadna postać nie zaskoczy przekleństwem czy okrytym zachowaniem. Jak najbardziej jest to seans dla całej rodziny. Na FilmWebie produkcja dostała do widzów aż 7 gwiazdek na 10.



„ŚNIĘTY MIKOŁAJ” Z 1994

Tim Allen w swoim najlepszym czasie - bo to produkcja z pierwszej połowy lat 90. - gra zwykłego gościa, który... musi pilnie zastąpić Świętego Mikołaja. Nie ma w tym temacie żadnych kwalifikacji ani - a może przede wszystkim - ochoty. Ale gdy jego syn Charlie prosi, tata nie umie odmówić. Pierwsza część Świątecznego Mikołaja miała dla mnie najwięcej uroku (i zaskakiwała głębią). Była chwalona za oryginalny pomysł i sprawne wykonanie, a także ciekawą intrygę. Drugiej odsłony - przyznaję - nie dałem rady obejrzeć do końca, trzeciej części nawet więc nie włączyłem. Ale za jedynekę ręczę, bo ma w sobie lekkość i dużo humoru.



„KRONIKA ŚWIĄTECZNA” Z 2018 R.

Któż z nas nie marzył kiedyś, żeby przytąpać Mikołaja podczas podrzucania prezentów? Rodzeństwo Kate i Teddy też mieli kiedyś takie pragnienie i... udało się im je spełnić. Niestety - zamiast radości okazało się, że całe zdarzenie może mieć koszmarnie konsekwencje dla całego świata i świątecznej tradycji. Chyba że... brat z siostrą postanowią na jedną noc zamienić się w pomocników Mikołaja. W roli Mikołaja świetny Kurt Russell, któremu niezwykle pasuje biała broda i białe włosy. Film spotkał się z niezłym przyjęciem i doczekał się całkiem udanej - naszym zdaniem - kontynuacji (według wielu widzów jednak nieco słabszej).



„JACK FROST” Z 1998 R. (NIE MYLIĆ Z HORROREM)

Rodzinny wyciskacz łez. Mały Charlie traci tatę - Jacka (uwaga, prawdziwa gwiazda: młody Michael Keaton). Mężczyzna ginie w wypadku. Ale... powraca jako bałwan! Choć opis brzmi - umówmy się - dość głupawo, to film ma wspaniałe przesłanie, wzrusza, bawi i naprawdę porusza. Młodzież może nieco ukradkiem podśmiewać się z efektów specjalnych, które przy obecnych możliwościach technologicznych wypadają dość blado, ale ten film ogląda się dla historii, a nie dla efektów. „Takich filmów świątecznych już się nie robi. A szkoda, bo miały niepowtarzalny klimat” - ten komentarz z portalu FilmWeb najlepiej podsumowuje „Jacka Frosta”.

„FUJARKA I DZBANUSZEK”. TELEWIZJA PRL W BOŻE NARODZENIE

Mamy ogromny wybór stacji, programów telewizyjnych i serwisów filmowych. W PRL były tylko dwa programy telewizyjne

Anna Gronczevska

W latach pięćdziesiątych telewizja w Polsce dopiero raczkowała, a telewizor był luksusem, na który stać było niewielu. Pierwszymi, masowo produkowanymi telewizorami były „Wisła” i „Belweder” mające ekran wielkości tabletu. Na przykład „Belweder” kosztował 7 tysięcy zł, gdy średnia pensja w Polsce wynosiła około 2 tysięcy złotych.

A co można było obejrzeć w polskiej telewizji w Boże Narodzenie 1956 roku? W pierwszy dzień świąt emisję programu rozpoczęto dopiero o godzinie 18.00. Dzieci mogły obejrzeć film „Fujarka i dzbanuszek”. Potem pokazano informacje Polskiej Kroniki Filmowej. A główną atrakcją był film „Czerwona oberża” z Fernandem w roli głównej.

26 grudnia 1956 roku atrakcji nie było więcej. Program zaczynał o godzinie 18.00 animowanym filmem dla dzieci „Zbuntowane rysunki”. Potem znów prezentowano wiadomości Polskiej Kroniki Filmowej, a wieczorem pokazano radziecki film „Tajemnica wiecznej nocy”.

W latach sześćdziesiątych oferta programowa Telewizji była już szersza. Więcej było też telewizorów. Często jeden na ulicy, w bloku czy kamienicy. Gdy pojawiał się jakiś ciekawy film czy transmisja sportowa, odwiedzano sąsiada będącego właścicielem telewizora i rozpoczynało się zbiorowe oglądanie.

Seans u sąsiada

W wigilię 1964 roku emisję programu telewizyjnego rozpoczęto o 16.30 Dziennikiem Telewizyjnym. Jedząc wigilijną kolację można było oglądać „Przy-

gody Dyla Sowizdrzała”. Dzieci pewnie z niecierpliwością czekały na „Misią z okienka”. O godzinie 20.30, po kolejnym wydaniu Dziennika Telewizyjnego, zaprezentowano spektakl „Miód kasztelański”, czyli komedię Jana Józefa Kraszewskiego. Program kończył amerykański film „Świąteczna gospoda” z Bingiem Crosby i Fredem Astairem.

W pierwszy dzień świąt program zaczynał się już o godzinie 13.50 animowanym filmem produkcji NRD „Śniegowa pani”. Potem można było obejrzeć film „O dwóch takich co ukradli księżyc”. Nikt nie przypuszczał, że główne role grają przyszły prezydent i premier, czyli Lech i Jarosław Kaczyńscy. Wiele osób czekało też na popularny program „Wielokropek” z Janem Kobuszewskim i Janem Kociniakiem w rolach głównych. Tak jak na kolejny odcinek „Bonanzy”. Można było jeszcze zobaczyć amerykański film „Wielki walc” i spektakl przygotowany przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny „Intryga i miłość”.

Drugiego dnia świąt telewizor można było włączyć już o 11.30. Wtedy rozpoczynała się emisja radzieckiego filmu „Tygrysy na pokładzie”. Potem jednak do 14.30 była przerwa w emisji. Ale po niej czekała na wszystkich wielka atrakcja, film „Powrót Lessie”. Potem był koncert „Filipinek”, teleturniej „Mieszanka firmowa”, a na koniec amerykański film „Legion straceńców”.

Radziecka „Królowa śniegu”

Pod koniec lat sześćdziesiątych telewizory znajdowały się już w większości polskich domów i telewizji nie trzeba było

już oglądać u sąsiadów. A i program telewizyjny był atrakcyjniejszy. W 1968 roku, w wigilię, dzieci o godzinie 9.00 mogły obejrzeć „Teleferię”, a ich największą atrakcją był „Gość ze smokolandii”. Potem pokazano „Przygody Kopciuszka” i nastąpiła przerwa w emisji programów telewizyjnych. Pewnie by dać czas paniom na przygotowanie potraw wigilijnych i ubieranie choinki. Przerwa trwała do godziny 16.00. Po niej emitowano „Przygody Tomka Sawyera”, radziecki film „Dzieci Don Kichota”, widowisko muzyczne „Hej, kołęda deska”, a wieczorem polski film „Godzina pąsowej róży”.

W pierwszy i drugi dzień świąt Bożego Narodzenia przerw w emisji programu już nie było. Można było obejrzeć film o przygodach Tomcia Palucha, widowisko „Szopka beskidzka”, radziecki film „Calineczka”, kolejny odcinek „Bonanzy”, przedwojenny polski film „Kłamstwo Krystyny”, a także popularny teleturniej „Małżeństwo doskonałe”. Pierwszy dzień świąt zakończył angielski film „Jak zabić dobrego wujka”.

Drugiego dnia świąt proponowano między innymi amerykański film „Syn Robin Hooda”, spektakl o Małym Księciu, komedię Aleksandra Fredry „Dożywocie”, a także odcinek serialu „Stawka większa niż życie” i film o wybitnym polskim wirtuozie skrzypiec Konstantym Andrzeju Kulce”.



Pierwszymi, masowo produkowanymi telewizorami były „Wisła” (na zdjęciu) i „Belweder” mające ekran wielkości tabletu

nek serialu „Stawka większa niż życie” i film o wybitnym polskim wirtuozie skrzypiec Konstantym Andrzeju Kulce”.

Wraz z objęciem władzy przez Edwarda Gierka rozpoczął się złoty okres polskiej telewizji. Przede wszystkim pojawił się drugi program polskiej telewizji. W wigilię 1970 roku hitem był radziecki film „Królowa śniegu” na podstawie baśni Andersena. W latach siedemdziesiątych emitowano go tak często jak dziś „Kevina samego w domu”. Dzieci cieszyły się, że mogły obejrzeć kolejny odcinek „Bolka i Lolka”. A wieczorem dorośli zobaczyli polski hit „Sami swoi”.

Winnetou przed Kleopatą

Należy wspomnieć, że w wigilię nie oglądano jeszcze drugiego programu telewizji. Ale emitowano go już 25 i 26 grudnia 1970 roku. Można było zobaczyć „Żołnierza królowej Madagaskaru” czy „Gangsterów i filantropów”.

Natomiast telewizyjna „jedyńska” proponowała w Boże Narodzenie 1970 roku „Muzykę łatwą i przyjemną”, program prowadzony przez Lucjana Kydryńskiego, francuskiego „Faworyta”. Hitem była też druga część filmu o Winnetou”.

W 1974 roku w świątecznym czasie oglądano czechosło-

wacki film „Księżę i żebrak”, przygotowany przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny program „Dobry wieczór, tu Łódź” i kolejny odcinek o przygodach złodzieja - dżentelmena Arsena Lupina. Hitem była pierwsza część „W pustyni i puszcy” i amerykański film „Kleopatra” z Elizabeth Taylor i Richardem Burtonem.

Świat kolorowy jak Rubín

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych w polskich domach pojawiły się telewizory kolorowe. Dominowały radzieckie „Rubiny”, które miały tendencję do samozapalania się... W kolorze emitowano jednak tylko niektóre programy.

W 1978 roku telewizyjna wigilia zaczynała się programem „Nowoczesność w domu i zagrodzie”. Można było obejrzeć radziecką wersję „Kapitana Nemo”, były też rozmowy o rolnictwie i odcinek serialu „Między nami jaskiniowcami”, film o Flipie i Flapie i odcinek serialu „Układ krążenia”. W pierwszy i drugi dzień świąt też nie brakowało atrakcji. To film o Jarosławie Iwaszkiewiczu, „Lady Hamilton” z Vivien Leigh i Laurencem Olivierem. Emitowano film „Prywatne życie Henryka VIII”, można było obejrzeć występy kabaretu „Dudek” Edwarda Dziewońskiego i węgierski film „Nieposkromieni hajdacy”.

Czas przełomu

Boże Narodzenie 1980 roku miało miejsce w czasie przełomu. Czy odzwierciedlał to program telewizyjny? Przebojem okazał się film „Niespokojny człowiek”. Była „Szopka polska”, a także film

„Papież u górali”. Wyemitowano pilotażowy odcinek „Królowej Bony”. Polacy oglądali „Tele -Echo” z Ireną Dziełdź, „Dzisiejsze czasy” z Charlie Chaplinem czy „Błękitną rapsodię”, ale też „Listę obecności satyryków” Jana Pietrzaka.

Boże Narodzenie 1982 roku świętowaliśmy w stanie wojennym. Aktorzy bojkutowali telewizję. Pokazywano występy Zespołu Reprezentacyjnego Wojska Polskiego, sportowe dramaty roku, komediowe role Janusza Kłosińskiego, serial „Szpital na peryferiach”. Można było obejrzeć radziecką komedię „Cyrcy”, „Siedem rewolwerów braci McGregora” western produkcji włosko - hiszpańskiej.

W czerwcu 1989 roku, jak ogłosiła aktorka Joanna Szczepkowska, w Polsce zakończył komunizm. W Boże Narodzenie można było obejrzeć serial „Janka”, koncert kolęd w wykonaniu Grażyny Świątały, „Antka policmajstra” czy recital tajemniczej grupy rockowej i wywiady Ireny Dziedzic.

Rok 1990 to czas wolnej Polski, za dwa lata powstanie „Pol-sat” jedna z pierwszych prywatnych telewizji. Zawitała też do nas telewizja satelitarna. A co w Boże Narodzenie oferowała TVP? Program „Przy wigilijnym stole” z udziałem Krystyny Jandy, Ernesta Brylla, Filipa Bajona, Radosława Piwo-warskiej. Było też Boże Narodzenie z polskimi „Słowikami”. Homilię wygłosił prymas Józef Glemp i pokazano film „Przed sklepem jubilera” oraz świąteczny odcinek „Alfa”. Emitowano „Przygody pana Michała”, odcinek „Dynastii” i „Płonący wieżowiec”.

W DRUGIEJ POŁOWIE LAT 70.
W POLSKICH DOMACH POJAWIŁY
SIĘ TELEWIZORY KOLOROWE.
DOMINOWAŁY RADZIECKIE
„RUBINY”.

PULS
#196

Zwolnij



Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, który burzy nasze wyobrażenia o sile, sukcesie i skuteczności: Bóg przychodzi jako bezbronne dziecko, zdany na ludzką miłość. W rozmowie z bp. Damianem Muskusem, franciszkaninem pytamy o sens tej słabości, o Betlejem jako prowokację wobec współczesnego świata oraz o święta, które nie są jedynie tradycją, lecz zaproszeniem do zmiany życia.

Jolanta Tęcza-Ćwierz



Nowonarodzony. Obraz francuskiego malarza Georges'a de La Toura

BÓG, KTÓRY RYZYKUJE MIŁOŚĆ. DLACZEGO ZBAWIENIE PRZYSZŁO PRZEZ BEZBRONNOŚĆ DZIECKA?

Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu: Bóg wybiera bezbronność dziecka. Dlaczego - z perspektywy wiary - to właśnie słabość, a nie potęga, okazuje się drogą zbawienia?

Niemowlę jest całkowicie zależne od rodziców. Wymaga nieustannej uwagi, czulej i troskliwej opieki, ochrony przed niesprzyjającymi warunkami, karmienia, tulenia, czuwania nad jego bezpieczeństwem. Bóg, który przychodzi na świat jako małe dziecko, oddaje nam się całkowicie. Jest, ośmielę się powiedzieć, zależny od naszej miłości, od naszej dobrej woli i uwagi. On chce być kochany. Chce być jednym z nas. Rzekniesz, że mógł nas zbawić przez jedno swoje słowo, ale postanowił, że stanie się człowiekiem i zamieszka wśród nas, że będzie zwyczajnie żył, że będzie doświadczał ludzkich radości i smutków. Dlaczego? Wspaniale o tym mówił papież Franciszek w homilii wygłoszonej na mszy św. w sanktuarium jasnogórskim w 2016 roku. Mówił o Bogu, który chce nas zbawiać, będąc małym, bliskim i konkretnym. Pamiętam jego słowa: „Pan nie chce, żeby się Go lekano jako możnego i dalekiego władcy, nie chce przebywać na tronie w niebie czy w podręcznikach historii, ale pragnie schodzić w nasze codzienne wydarzenia, aby iść z nami”. Bogu obca jest logika władzy, wielkości i znaczenia. To jest myślenie ludzkie, nie Boże. On umiłował codzienne drogi, ubogie znaki i zwyczajnych ludzi. Ma pani rację, Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, ale właściwie w dziele zbawienia wszystko jest, w świetle ludzkiej logiki, paradoksem.

Co mówi nam fakt, że Bóg przychodzi na świat poza domem, w miejscu prowizorycznym, jakim była „nędzna szopa”? Jak to czytać dziś - społecznie i duchowo?

Pewnie dla każdego ta prawda ma inne znaczenie, bo odczytujemy ją w różnych kontekstach kulturowych, społecznych, ale także osobistych. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilka wątków, o których czytamy w Ewangelii, świętując Boże Narodzenie. Jezus narodził się w miejscu przypadkowym, dalekim od królewskich standardów, a to wynika z owej logiki miłości, bliskości i konkretności, o której wspominałem. Gdyby przyszedł na świat w pałacu, byłby dostępny dla wybranych i uprzywilejowanych społecznie. Gdyby przyszedł na świat w czterech ścianach zwyczajnego domu, byłoby trudniej Go odnaleźć. Nawet gwiazda betlejemską pewnie nie byłaby w stanie sforsować ochronnego muru

miłości świeżo upieczonych rodziców tego Dziecka. Natomiast grota jest miejscem dostępnym dla wszystkich. Małego Boga mogli więc odwiedzić zarówno pasterze, ludzie prostej, ciężkiej pracy, jak i mędrcy z dalekich stron. Jezus nie przyszedł na świat dla wybrańców, ale dla każdego bez wyjątku. To oznacza, niestety, również to, że od pierwszych dni życia na ziemi Bóg był narażony na niebezpieczeństwo ze strony nienawidzących Go ludzi, gotowych zabić bezbronnego z powodu szalonego pragnienia władzy, w imię której instrumentalizowali religię. Aby być dostępnym dla wszystkich, Bóg całkowicie oddał się w nasze ręce, bez żadnych warunków. Boże przyjscie na świat w takich prowizorycznych warunkach wiele też mówi o naszej ludzkiej kondycji. O naszej bezdomności na ziemi, której jedni doświadczają dosłownie, bardzo realnie, a inni o niej zapominają, przywiązując się do świata, w którym wszystko jest przecież ulotne i przemijające. Ale żłóbek betlejemski wskazuje również na to, że wiara jest bardziej drogą niż domem. Zarówno pasterze, jak i mędrcy, musieli wyruszyć w drogę, by spotkać Boga. Przypomnę, że On objawił się im w chwili, gdy byli zajęci swoją pracą. Pasterze przebywali wówczas w polu, gdzie pilnowali stada, a mędrcy pogrążeni byli w intelektualnych dociekaniaх nad światem. Musieli zostawić swoje zajęcia, by wyruszyć na spotkanie. Jeśli wiara jest drogą, oznacza to również ryzyko błędzenia, zmęczenia, wątpliwości. A zarazem jest to też miejsce rozwoju, twórczości, gotowości na niespodziewane i nadziei, która jest motorem każdej wędrówki.

Czy w świecie, który ceni pracę, skuteczność, sukces i siłę, tajemnica Betlejem nie brzmi dziś trochę jak prowokacja? Jakie pytanie Bóg zadaje dziś człowiekowi, rodząc się w Betlejem XXI wieku?

Betlejem XXI wieku w sensie geopolitycznym jest dziś miejscem niespokojnym, a jego mieszkańcy ponad wszystko pragną pokoju, który jest niezbędnym, by żyć bez lęku. Oni na własnej skórze od lat odczuwają prawdę, że żadna ludzka siła, żadne negocjacje pokojowe, choćby prowadzone przez genialnych i znanych ze skuteczności strategów, tego trwałego pokoju nie zapewnią. Pokój zaprowadzany przez ludzi zawsze jest niestabilny. Zapomnieliśmy już o tym pod naszą szerokością geograficzną, bo mamy przywilej bezpiecznego życia, ale nasi wschodni sąsiedzi boleśnie tego doświadczają. Ludzki pokój jest nietrwały, nie zagwarantują

go żadne traktaty zawierane między mocarstwami. Betlejem mówi nam, że pokój jest jednak możliwy nawet w samym środku zamętu, strachu o życie i braku poczucia bezpieczeństwa. Jest to pokój, który daje światu miłość Boga. To pokój, który płynie z pewności, że wszyscy jesteśmy w Jego rękach i cokolwiek na ziemi się nie wydarzy, choćbyśmy nawet życie stracili, to w perspektywie wieczności nic złego nam się nie stanie, bo Jego miłość nas chroni. To oczywiście nie jest łatwe do przyjęcia, bo mamy w pamięci losy niezliczonych współczesnych męczenników wojen i konfliktów. Jednak żadna ludzka siła nie odbierze nam pokoju serca, którym obdarza nas Bóg. Myślę, że dziś, w naszych niespokojnych, niepewnych czasach, On przychodzi z pytaniem o zaufanie i nadzieję. Czy potrafimy zaufać Jego miłości? Z jakich źródeł czerpiemy naszą nadzieję, gdy wokół ogarniają nas ciemności i zamęt? Wbrew pozorom, to nie są tylko pytania stawiane wierzącym w Niego. Każdy człowiek – czy to wierzący, czy poszukujący, czy niewierzący – powinien z tymi pytaniami się zmierzyć. Co jest naszym fundamentem? Jakich wartości chcemy bronić? Czy są w naszym życiu sprawy cenniejsze niż samo życie?

Można powiedzieć, że Boże Narodzenie to święto Boga, który nie narzuca się człowiekowi, ryzykuje odrzucenie, ale czeka na jego odpowiedź. Co to mówi o Bożej miłości? Dotykamy tu kolejnego paradoksu. Potężny, wszechmogący Bóg, Stwórca świata i człowieka, jest bezradny wobec ludzkiej wolności. Kochając, daje nam prawo wyboru i szanuje konsekwencje tych wyborów. Mógłby nas zbawić wbrew nam samym, ale tego nie robi. Zależy Mu na naszym dobru, ale pragnie, byśmy sami, w wolności, wybierali dobro. Daje nam przestrzeń, bez której miłość po prostu nie jest możliwa. Dzięki temu możemy wybrać, czy chcemy żyć z Nim, czy wolimy życie bez Niego. On nie chce też, by Jego Kościół był światem niewolników, pomyślał go jako miejsce ludzi wolnych, twórczych, myślących i odważnych. Wszelkie zniewolenia, również te w sferze sumienia, są konstruktem ludzkim, nie Bożym.

Święta obchodzimy co roku. Mamy jeszcze zdolność zdziwienia się Bożym Narodzeniem, czy raczej wiemy już „wszystko” i dlatego niewiele nas porusza?

To oczywiście kwestia indywidualna. Fakt, że co roku przeżywamy tę tajemnicę, że święta te mają swój rytm i tradycje, może spowodować ru-

tynę. Co roku jest adwent, roraty, co roku idziemy na pasterkę, przygotowujemy dom na święta. To wszystko może skutkować pewnym znieczuleniem na nowość Bożego Narodzenia, nawet jeśli wyczekujemy tych dni z radością. Jednak Boże Narodzenie nie odbywa się w oderwaniu od naszego życia. Każdy rok przynosi nowe doświadczenia, zmieniamy się, zmienia się świat wokół nas, przeżywamy nowe radości i troski. Warto tajemnicę Bożego Narodzenia przyjmować w takim kontekście, w kontekście codzienności, i zadawać sobie pytanie, co prawda o Nowonarodzonym Jezusie wnosi do naszego życia tu i teraz, w tym, co aktualnie jest dla mnie ważne, co mnie angażuje, co boli i co daje szczęście? Myślę, że jeśli pozwolimy, by Słowo, które stało się Ciałem, opowiadało nam o sensie tego wszystkiego, będziemy wciąż na nowo odkrywać Boże Narodzenie i zachwycać się niezwykłością tego wydarzenia.

Jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie” Jezusa – uczynienie Go miłym elementem świątecznego krajobrazu, a nie kimś, kto zmienia życie?

W tym pytaniu kryje się już odpowiedź. Jeśli Jezus będzie tylko „miłym elementem świątecznego krajobrazu”, Dzieciątkiem w żłóbeczku, o którym śpiewamy kolędy, i nie dopuścimy Go do naszego życia, nigdy nie stanie się dla nas Kimś, kto to życie zmienia, kto nadaje mu sens i kierunek. Jezus Chrystus nie jest elementem tradycji, jest żywą Osobą. Nie jest bajką opowiadaną po to, by poprawić nam samopoczucie, ale Kimś, kto nas kocha bez granic. Jeśli pyta Pani o to, jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie” Jezusa, to mogę odpowiedzieć tylko tyle: nie spotkamy Go, jeśli będzie dla nas wyłącznie dekoracją pod choinką czy bohaterem rzewnych kolęd. Rozminiemy się z Nim w drodze, nie odnajdziemy Go, a Boże Narodzenie zostanie zredukowane do czasu zimowego odpowiednika, jakiejś przerwy w codzienności. Tracąc sens Bożego Narodzenia, tracimy sens chrześcijaństwa. Jezus nie jest przecież dodatkiem do świętowania. Jest jego głównym Bohaterem.

Pasterze byli pierwszymi świadkami narodzin Jezusa, a Maryja i Józef – zwykłymi ludźmi. Czy w tym świetle Boże Narodzenie staje się świętem codzienności i zwykłego życia, a nie tylko wielkich wydarzeń?

I tak, i nie. Tak, bo zwyczajność życia Świętej Rodziny

i ludzi, którzy jako pierwsi radowali się przyjściem Boga na świat, jest znakiem, że Bóg wchodzi w naszą codzienność. Nawet jeśli tego nie zauważamy, wchodzi w nią bowiem pokornie i niedostrzegalnie. Boże Narodzenie to przecież święto Emmanuela – Boga z nami, bliskiego naszym ludzkim sprawom, dzielącego nasz ziemski los. Ale z drugiej strony nie można zignorować faktu, że Boże Narodzenie to wydarzenie wielkie, przełomowe dla ludzkości, zasługujące na to, byśmy celebrowali je odświętnie i uroczystie. Potrzebujemy zresztą, i dla higieny psychicznej, i dla wzrostu duchowego, takich dni – pięknych, wzruszających, nawet podniosłych. Karmimy się nimi również po to, by ich odblask odkrywać w szarej codzienności.

Wiele osób przeżywa święta z poczuciem pustki, straty lub samotności. Boże Narodzenie jest także świętem ludzi zranionych i przegranych?

Boże Narodzenie jest świętem wszystkich ludzi, również tych, którzy cierpią. Dla nich ten czas jest trudny, bo myślę, że pustkę, samotność, zranienie i żalobę w tych dniach odczuwa się intensywniej, bardziej boleśnie i dojmująco. Jeśli codzienność nas przytłacza, Boże Narodzenie nie stanie się cudownym lekiem, który ją uleczy. Pusty talerz przypomina nam o tęsknocie za kimś, kogo już nie ma, oplatek, którym nie mamy z kim się przełamać, mówi o samotności więcej i rozpaczliwiej niż codzienność. Dotknęła pani bardzo trudnej kwestii, bo również kultura nie ułatwia przeżywania tych świąt w zgodzie z samym sobą. Zewsząd słyszymy pogodne świąteczne melodie, reklamy pokazują uśmiechnięte, szczęśliwe rodziny. Można mówić o pewnej presji, którą ten świat – zazwyczaj z powodów komercyjnych – wywiera na nas, by w okresie Bożego Narodzenia emanować radością. Ale Jezus, który przyszedł na świat w ekstremalnie trudnych warunkach, jest solidarny zwłaszcza z ludźmi, którzy są w bolesnych sytuacjach życiowych, widzi ich łzy i osamotnienie. Jeśli ktoś czuje się źle w tym czasie, nie powinniśmy go zmuszać do uśmiechu i próbować uszczęśliwiać na siłę. Ważniejsza jest wtedy obecność, której nie zagłuszy hałas świątecznych tradycji. Jeśli sami czujemy się źle, jesteśmy poranieni i oplatekujemy nasze straty, pozwólmy sobie na to, by przeżywać ten czas po swojemu, w swoim tempie, dbając o siebie tak, jak dyktuje nam serce. Nie ma obowiązku radosnego święto-

wania na przekór temu, co się aktualnie przeżywa. Jeśli czytamy Boże Narodzenie w kontekście naszej codzienności, odkryjemy jego przemieniaczącą, kojącą i łagodną siłę.

Czy da się przeżyć Boże Narodzenie głęboko, nie uciekając od trudnych tematów: wojny, migracji, ubóstwa, podziałów społecznych?

Myślę, że one wtedy się narzucają ze zdwojoną siłą i stają się naturalnym tematem rozmów przy świątecznych stołach. Kluczem jest tu umiejętność słuchania. Polaryzacja jest tak silna, że wkroczyła również do rodzin, dzieląc nas na różnych poziomach: wrażliwości, poglądów, patrzenia na świat. Boże Narodzenie to święto, zwłaszcza w polskiej tradycji, przeżywane jako czas bliskości, jedności, pokoju. Czasem niestety na własne życzenie rujnujemy go sobie, pozwalając na jałowe dyskusje, które szybko przeradzają się w konflikty. Chciałbym, aby świętowanie Bożego Narodzenia było wolne od napięć, ale obawiam się, że to jest trudne do uniknięcia, bo nie celebруемy świąt w oderwaniu od rzeczywistości. Jesteśmy w nią zanurzeni. Problem polega na tym, czy potrafimy się nią dzielić w taki sposób, by nie tworzyć kolejnych niepokojów – z zaciekawieniem, z chęcią poznania innych punktów widzenia, nie strasząc się wzajemnie posępnymi wizjami przyszłości, ale dzieląc się nadzieją, o którą wszyscy powinniśmy dziś szczególnie dbać. Bez nadziei przecież nasza wiara karłowacieje, a miłość traci siłę. Boże Narodzenie to święta nadziei. Każde nowe życie nią jest, a życie, które przyszło na świat w Betlejem, przynosi nadzieję silniejszą niż wszystkie nasze spory, lęki i podziały.

Jak nie stracić duchowego sensu świąt, nie odcinając się jednocześnie od ich rodzinnego i kulturowego wymiaru?

To coraz trudniejsze wyzwanie, ale nie niemożliwe do osiągnięcia. Do granic skomercjalizowana kultura tego czasu nie ułatwia nam tego zadania, ale z drugiej strony – ubogi i mały Jezus ma większą siłę oddziaływania niż najgłośniejsze, najbardziej przyciągające marketingowe chwytły sprzedawców świątecznego szczęścia. Trzeba tylko się wsłuchać. To naprawdę od nas zależy, na czym położymy akcent w naszym świętowaniu. Nie jesteśmy niewolnikami kultury, cieszymy się Bożym Narodzeniem po swojemu. Wymiar rodzinny świąt ma też swój wymiar duchowy. Świętujemy przecież spotkanie z Bogiem, który jest między

nami. Obecność, słuchanie, dialog, wspólnota stołu i modlitwy – to ważna część naszej duchowości. Nawet jeśli się różnimy, nawet jeśli okazuje się, że przy jednym stole zasiadają ludzie, którzy świętują różne sprawy, bo dla każdego z nich Boże Narodzenie znaczy coś innego. Nie możemy w imię duchowego sensu lekceważyć spotkania z bliskimi albo wymiaru kulturowego tych świąt. Jesteśmy jednością ciała, ducha, psychiki i emocji, i świętujemy jako cały człowiek. Dla naszego ducha ważna jest modlitwa, ale także spotkanie z rodziną czy nawet smak świątecznego piernika. Wszystko ma znaczenie, najważniejsze jest to, by odnaleźć równowagę między tymi elementami.

Gdyby Ksiądz Biskup miał wskazać jedno zdanie z Ewangelii, które najlepiej streszcza sens Bożego Narodzenia, które by to było i dlaczego?

„Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszkę i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 2, 7). To zdanie jest streszczeniem wszystkich paradoksów Bożego Narodzenia, opisem Boga, który jest małeńki, bliski i konkretny, zapowiedzią Jego odrzucenia, ale i miłości, którą rozpoznajemy w czułych słowach „owinęła Go w pieluszkę”. Świadomość, że Bóg, jak każdy z nas, ssął mleko swojej Matki, że było mu zimno i kwilił, gdy był głodny, jest niezwykle wzruszająca, ale i umacniająca poczucie sensu naszego ludzkiego życia. Poza tym, jako duchowny syn św. Franciszka z Asyżu, wspominam te słowa, bo to one natchnęły Biedaczną do stworzenia w Greccio pierwszej szopki. „Chcę naocznie pokazać Jego (Jezusa) braki w niemowlęcych potrzebach, jak został położony w żłobie i jak złożony na sianie w towarzystwie wołu i osła”. W tych słowach mieści się prostota, ubóstwo i pokora Syna Bożego, Emmanuela – Boga z nami.



FOT. ARCHIWUM

bp Damian Muskus
franciszkanin, biskup pomocniczy Archidiecezji Krakowskiej



FOT. NAC

Dzieci żydowskie uczyły się w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyzmem religijnym. (ilustracja: Simon Bening „Jezus nauczający w świątyni”)

Już w Księdze Rodzaju zapisano strategiczny, perspektywiczny plan dla Narodu Wybranego: „Poczym Bóg im błogosławił i powiedział do nich: »Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną«” (Rdz 1, 28).

Lepszy byłby syn

Można rzec, że dzieci, część wielkiej wielopokoleniowej rodziny izraelskiej, były ważnym elementem owego planu. To w rodzinie przychodziły na świat, wzrastały, pod kierunkiem rodziców wychowywały się i przygotowywały do przyszłych zadań i obowiązków. W czasach Nowego Testamentu sytuacja ta uległa zmianie tylko w niewielkim stopniu, a nowa sytuacja wiązała się z głoszeniem Ewangelii do pogan w świecie greckorzymskim.

Co ważne - córki nie były witane w rodzinie z taką radością jak synowie. Powodów było wiele. Z chwilą zawarcia małżeństwa żona przechodziła do domu męża i była stracona dla rodziny; córki nie mogły też dziedziczyć. Nadto dziewczyny narażone były na wiele innych niebezpieczeństw: mogły nie wyjść za mąż, pozostając samotne w domu rodzinnym, mogły też zostać uwiedzione. W przypadku, gdy kobieta zostawała bezdzietną wdową lub została odesłana przez męża, wracała do domu rodzinnego.

Zdecydowanie lepsza była sytuacja życiowa synów. Przywilejami cieszył się w rodzinie przede wszystkim pierworodny, który za życia ojca miał

pierwszeństwo przed swymi braćmi, zaś po jego śmierci dziedziczył dwukrotnie więcej od braci i stawał się głową rodziny.

Imię jest ważne

W tekście „Małżeństwo i rodzina w kulturze starożytnego Izraela” ks. Bogdan Wiktor Matysiak pisze: „Narodziny dziecka zawsze były w rodzinie wielkim wydarzeniem (...). Po porodzie matka i dziecko podlegały szczególnym przepisom prawa izraelskiego. Przez fakt narodzin matka zaciągała na siebie nieczystość rytualną, tzn. nie mogła brać udziału w aktach kultu. Po urodzeniu chłopca pozostawała nieczysta siedem dni, a okres jej oczyszczania trwał cały miesiąc. Po urodzeniu zaś dziewczynki okres nieczystości rytualnej trwał dwa razy dłużej: dwa tygodnie i dwa miesiące. Bezpośrednio po urodzeniu się dziecko otrzymywało imię, które zwyczajowo było wybierane przez matkę, a tylko okazynie nadawał je ojciec”.

I dalej: „W kulturze izraelskiej, podobnie jak na całym starożytnym Bliskim Wschodzie, nadanie komuś imienia oznaczało przejęcie nad nim władzy; odnosiło się to do ludzi, zwierząt i przedmiotów. Imię było także wyrażeniem związanej z daną osobą nadziei lub jej symbolem. Stąd też nadawano imiona na podstawie zaistniałych zdarzeń podczas porodu, zachowania się dziecka: Nachor (»chrapacz«) czy Paseach (»chromy«)”.

Chłopców w ósmym dniu obrzezano. Był to znak włączenia we wspólnotę narodu

wybranego. Ów obrzęd był na tyle istotny, że dokonywano go ósmego dnia nawet wtedy, gdy dzień ten przypadał w szabat. Tak, choć jeszcze nieświadomie, małe wkraczał w przestrzeń religii i wiary.

Wychowanie

Dzieci żydowskie uczyły się i wychowywały w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyzmem religijnym - w rodzinie, pracując i modląc się razem z rodzicami i krewnymi. Dorastające dzieci, chłopcy i dziewczynki, były bezpośrednio zapoznawane z pracami i przyszłymi zadaniami, pomagali w polu i w domu, często doglądały trzód, co dotyczyło również dziewcząt. Dziewczynki pozostawały w okresie dzieciństwa i młodości pod opieką matki tak, iż nawet zachowało się przysłowie: „Jaka matka, taka córka”.

Dziewczynki uczyły się prowadzić dom: gotowania, szycia i tkactwa, gospodarstwa domowego i uprawy roli. Pasterstwo, prace na roli i przy żniwach również należały do dziewczęcych obowiązków. Okres dzieciństwa miał przygotować córkę do przeszłej roli żony i matki, a wychowanie córki było powierzone w praktyce jej matce.

„Niemowlęta płci męskiej pozostawały pod opieką matki do trzeciego roku życia i dlatego pomiędzy chłopcem i matką powstawały nieraz silne związki uczuciowe. Wychowanie chłopca dokonywało się jednak pod kierunkiem ojca rodziny, który miał obowiązek, jak później sformułowali to rabin, »nauczyć

syna Prawa, dać mu żonę oraz nauczyć go zawodu«”.

Jezus, syn cieśli

Można stwierdzić, że to przede wszystkim ojciec wprowadzał synów w znajomość Prawa Mojżeszowego. Ojciec także własnym przykładem i objaśniającym, oszczędnym słowem pouczał syna o pracach domowych i zajęciach gospodarskich, prawach i obowiązkach mężczyzny, tradycjach narodowych. W ten sposób młodość była czymś naturalnym i oczywistym, zaś autor „Księgi Syracha” wzywa wręcz do częstego karcenia dzieci, przestrzegając przed rozpieszczaniem i pobłażaniem. Rozpieszczone dziecko bowiem „może wprawić ojca w osłupienie i sprawić mu smutek”.

Potwierdza to św. Łukasz: „A gdy wypełnili wszystko według Prawa Pańskiego, wrócili do Galilei, do swego miasta - Nazaretu. Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napełniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim”. Bóg był wychowawcą i zarazem treścią wychowania. W wieku trzynastu lat chłopiec osiągał dojrzałość fizyczną i odtąd był zobowiązany do zachowania postanowień Prawa. Ojciec przekazywał mu przeważnie swój zawód, gdzie nabywał praktycznych umiejętności. Przykładem Jezus, który był synem cieśli, lub synowie rybaka Zebedeusza.

Dziecko było darem Boga, lecz nie miało ono własnych praw, lecz było całkowicie zależne od swych rodziców. Oni chronili je, opiekowali się nim i łożyli na jego utrzymanie. Teksty biblijne mówią o tym, że stopniowo stawiano dzieciom wymagania, a w sytuacji kłębności nie cofano się

przed karaniem. To ostatnie traktowano jako konieczną metodę wychowawczą, stosowaną wtedy, gdy słowo zawodziło. Miało ono przełamać upór i brak szacunku.

Twarde zasady

Przez całe więc także dorosłe życie dzieci zobowiązane były do okazywania rodzicom i starszym pokoleniom posłuszeństwa i szacunku. Czwarte przykazanie Dekalogu dowodzi, że owa karność względem rodziców była czymś naturalnym i oczywistym, zaś autor „Księgi Syracha” wzywa wręcz do częstego karcenia dzieci, przestrzegając przed rozpieszczaniem i pobłażaniem. Rozpieszczone dziecko bowiem „może wprawić ojca w osłupienie i sprawić mu smutek”.

Biblia mówi niewiele na temat dziecięcych zabaw, chociaż z pewnością były one znane. Tak np. dziewczynki miały swoje drobne radości: koleżanki i przyjaciółki, gry i zabawy, tańce. W Starym Testamencie mamy także wzmiankę o zawodach sportowych między chłopcami. W większych miastach znajdowały się stadiony i miejsca ćwiczeń fizycznych. Korzystała z nich zhellenizowana część społeczeństwa, w tym młodzież. Żydzi religijni stronili jednak od pogańskich wpływów i mieli do tych rozrywek spory dystans - w obawie przed złym wpływem pogańskich zwyczajów i wierzeń. Do myślenia się jednak możemy, że bieganie po otwartej przestrzeni, gonitwa czy zapasy niewątpliwie były obecne we wspólnych zabawach.

Wkuwanie tekstów

Nauka rozpoczynała się już w domu, od najmłodszych lat, a szczególną okazją do kształtowania wiary dziecka było wspólne świętowanie, podczas którego tłumaczono mu znaczenie poszczególnych świąt. Opowiadano też o dziejach narodu wybranego i o tym, co Bóg uczynił dla przodków. Ale edukacja nie kończyła się na domu. W Palestynie w czasach Jezusa istniały także szkoły. Znany jest dokument wydany przez arcykapłana Jozelego Ben Gamala z 64 r., który wzywał rodziców, by posyłali swych synów do szkół. Wspomina on także o karach nakładanych na niesolidnych uczniów oraz na tych, którzy uciekali z zajęć, bo i tacy się zdarzali.

„Nauka szkolna w początkowym stadium polegała na powtarzaniu i przyswajaniu kwestii podawanych przez nauczyciela. Zapoznawano się również z alfabetem. Podstawą do ukazywania uczniom świata były księgi Pisma Świętego. Zakres zdobywanej wiedzy i poziom wykształcenia zależały natomiast w dużej mierze od możliwości i statusu społecznego rodziców ucznia i jego możliwości intelektualnych” - pisze ks. Krzysztof Kowalik w „Życiu dzieci w Ziemi Świętej w czasach Jezusa”.

„Pozwólcie dzieciom...”

Ów wspomniany nakaz arcykapłana mówi również o możliwości dalszego kształcenia w przypadku uczniów bardziej uzdolnionych. Na takich uczniów zwracano uwagę. Wskazuje na to opis rozmowy młodocianego jeszcze Jezusa z uczonymi w świątyni. Oni dostrzegają bystrość Jego umysłu i mądrze stawiane pytania (por. Łk 2, 46-47). Niekiedy w dalszej edukacji sięgano i do kultury hellenistycznej. Świadczy o tym wykształcenie św. Pawła.

Na „nową” pozycję dziecka w społeczeństwie wskazuje sam Jezus. Przedstawia to scena, w której błogosławi On dzieci i krytykuje sprzeciwiających się przeciw temu uczniom. Co ciekawe: nie ma tu rozróżnienia między chłopcami a dziewczynkami. Tym samym każde dziecko jednakowo jest ukazane jako pełnoprawny uczestnik królestwa Bożego (por. Mk 10, 13-16).

Jeszcze bardziej wymowny w tej kwestii będzie fragment „Listu do Hebrajczyków”, który zaznacza, że dzieci na równi z dorosłymi uczestniczą w owocach zbawienia. Pamiętano jednak, że dzieci nie są jeszcze w pełni dojrzałe i samodzielne. Stąd wzywano je do posłuszeństwa rodzicielskim nakazom, by dorastały do samodzielności, jak to czytamy w „Liście do Kolosan”.

Ale wigilijna opowieść angażuje też postaci z drugiego planu, bez których byłaby niezrozumiała. To nie tylko osoby zaangażowane w akcję, ale też takie, bez których nie rozumielibyśmy kontekstu wydarzeń.

Poniżej dziesiątka z takich drugoplanowych bohaterów Ewangelii.

Św. Elżbieta

Matka św. Jana Chrzciciela, żona kapłana Zachariasza i krewna Maryi, Matki Zbawiciela. Wraz z mężem św. Zachariaszem mieszkała niedaleko Jerozolimy, według tradycji w dzisiejszej miejscowości Ain Karim. Urodziła dziecko mimo podeszłego wieku po tym, jak św. Zachariaszowi objawił się anioł w świątyni w Jerozolimie.

To do św. Elżbiety pielgrzymowała Maryja. Św. Łukasz pisze: „W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w górę do pewnego miasta w pokoleniu Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę. Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę”.

W tradycji prawosławnej ciało św. Zachariasza, zabitego przez siepaczy Heroda odnaleziono w 415 r. i przewieziono do Konstantynopola, natomiast o relikwiach św. Elżbiety nic nie wiadomo.

Herod Wielki

Król Judei w latach 37-4 p.n.e., choć nie Żyd a Idumejczyk i śmiertelny wróg Jezusa. W Ewangelii św. Mateusza przedstawiony został wręcz jako tyran pragnący Go zgładzić, inicjator tzw. rzezi niewiniątek.

Zasięgnawszy rady uczonych w Piśmie, skierował ich do Betlejem, mówiąc, by donieśli mu potem, aby i on mógł oddać pokłon. Mędrcy jednak inną drogą powrócili do swojej ziemi: „Wtedy Herod, widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał [oprawców] do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców”.

Pod koniec życia Herod dopuścił się wielu mordów, poszukując rzeczywistych lub domniemyanych spisków, mogących pozbawić go władzy, m.in. zamordował swojego pierworodnego syna Antypatra (z pierwszej żony Doris). Zabił też jedną ze swoich żon oraz jej synów, brata i matkę, którą wydał na śmierć głodową w więzieniu.

Anioł Gabriel

Jest aniołem, a konkretniej archaniołem zwiastowania, zmartwychwstania, miłosierdzia, kary, śmierci i objawienia. W Nowym Testamencie Gabriel pojawia się dwukrotnie u św. Łukasza: pierwszy raz, gdy zwiastował św. Zachariaszowi w świą-

tyni żydowskiej narodzenie św. Jana Chrzciciela oraz kiedy Najświętszej Maryi Pannie zwiastował narodzenie Jezusa.

Anioł rzekł do Maryi: „Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus (...) Na to Maryja rzekła do anioła: Jakże się to stanie, skoro nie znam męża? Anioł Jej odpowiedział: Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię” (Łk 1, 30-38).

Archanioł Gabriel w katolicyzmie jest patronem filatelistów, filumenistów, pracowników łączności, pocztowców, dyplomatów, teledetekcji, radia i telewizji. Ponadto został również wybrany na patrona CBA.

Cezar August

To za jego rządów wyszło rozporządzenie o spisie ludności w całym imperium. „Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida” - informuje św. Łukasz.

Gajusz Juliusz Cezar Oktawian miał w chwili narodzin Jezusa ok. 60 lat i oprócz wszystkich funkcji i honorów był także Najwyższym Kapłanem (Pontifex Maximus). Był to dożywczy urząd najwyższego zwierzchnika rzymskich kultów religijnych. A dokładnie 5 lutego 2 roku p.n.e. August przychylił się do prośby senatu i ludu rzymskiego i przyjął tytuł Pater Patriae - Ojca Ojczyzny. 1 sierpnia tego samego roku uroczyste otworzył świątynię Marsa Ultora, której zbudowanie ślubował przed czterdziestu laty, na polu bitwy pod Filipi.

Św. Symeon

Spotykamy go w uroczystości Ofiarowania Pańskiego w świą-

NARODZINY JEZUSA. BOHATEROWIE DRUGIEGO PLANU

Spójrzmy na Narodziny Zbawiciela szerokim kątem. Prócz głównych postaci, które znalazły się przy żłóbku, są pielęgnujący Nowonarodzonego Maryja i Józef, grupa pasterzy-wybrańców, trzech egzotyczni Mędrcy z darami. Gdzieś nad mini czuwa anioł Pański

Mariusz Grabowski



Sandro Botticelli: „Mistyczne Narodziny”, obraz z ok. 1500 r. Znajduje się w National Gallery w Londynie

tyni w Jerozolimie, świętowanej zgodnie z prawem Mojżeszowym. 112-letni Św. Symeon bardzo chciał ujrzeć Zbawiciela i Bóg obiecał mu, że nie umrze dopóki nie zobaczy Jezusa. Gdy Maryja i Józef przyszli ofiarować Jezusa Bogu, Symeon ujrział ich i rozpoznał w dziecku zbawienie, jak pisze św. Łukasz, z radością krzycząc:

„Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie,

któreś przygotował wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twojego, Izraela”.

Prorokini Anna

Niewiasta, którą wspomina św. Łukasz, która była obecna podczas Ofiarowania Jezusa w świątyni. Ewangelista podał nam jej wiek: miała 84 lata. Kobieta przez siedem lat była zamężna, potem owdowiała i poświęciła się służbie w świątyni, a po spotkaniu ze Świętą Rodziną głosiła wieść o zbawczym przyjsciu Mesjasza.

Anna znalazła się m.in. na fresku „Ofiarowanie Jezusa w świą-

tyni” Giotta di Bondone, namalowanym ok. 1305 r. dla kaplicy Scrovegnich w Padwie. Została nań przedstawiona jako stara przygarbiona kobieta ze zmęczoną, zaznaczoną bruzdami twarzą. Nad postaciami, po prawej stronie, widać anioła trzymającego gałązkę trójlistnej koniczy, będącej symbolem Trójcy.

Kwiryniusz

Św. Łukasza, pisząc o spisie powszechnym, zauważa, że „Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz”. Co nieco o nim wiemy: Publiusz Sulpicjusz Kwiryniusz (ok. 51 r. p.n.e. - 21 r. n.e.) był wojskowym i senatorem z czasów początku tzw. pryncypatu, czyli rządów cesarza Augusta.

Głównym powodem, dla którego w imperium odbywały spisy ludności, był fiskalizm. Wśród różnych podatków, z jakimi mamy wówczas do czynienia w Syrii, m.in. pobierano podatek bezpośredni zwany „tributum capitis”. Był to podatek powszechny, płacili go mężczyźni w wieku od 14 do 65 lat i kobiety od 12 do lat 65.

Większość historyków uważa, że św. Łukasz odnosi się do spisu z 6 r. (tego wspomnianego także w Dziejach Apostolskich), błędnie umieszczając go za życia Heroda. Część zaś uważa, że nie pomylił się, lecz wspominał o jakimś wcześniejszym spisie, nie zanotowanym przez historyków.

Karczmarz z Betlejem

Ten anonimowy przedsiębiorca przeszedł do historii powszechnej odmową udzielenia gościny św. Rodzinie. „Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” - pisze św. Łukasz.

Dorzućmy kilka faktów: podróż z Nazaretu do Betlejem wynosiła ok. 120 km. Noclegi dla podróżnych były prymitywne, a gospody wyglądały jak rząd otwartych pomieszczeń przypominających przegrody w stajni, które otaczały wspólny dziedziniec. Właściciel zajazdu dostarczał tylko paszę dla zwierząt i drewno na opał. Podróżni musieli sami zatroszczyć się o prowiant.

Jezus narodził się zatem prawdopodobnie w takim zatłoczonym i gwałtownym zajedzie. „Żłobek” był drewnianym naczyniem służącym do podawania paszy zwierzętom gospodarskim.

Król Dawid

„Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta - pisze ewangelista. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida”.

Rodowód był u Żydów niezwykle ważny. Św. Mateusz rozpoczyna swoją genealogię od patriarchy Abrahama i poprzez króla Dawida i jego syna Salomona prowadzi ją, zachowując legalną dość linię dynastyczną, przez Jójakina aż do Józefa, męża Marii i przybranego ojca Jezusa.

Prowadząc od Abrahama, przez Dawida, aż do Józefa, męża Maryi, rodowód potwierdza, że Jezus jest - jak będą nieraz o Nim mówić - „Synem Dawida”. To właśnie prawne (bo nie biologiczne) ojcostwo Józefa, potomka Dawida, daje Jezusowi ten tytuł. Tym samym Jezus staje się dziedzicem obietnic danych Dawidowi i - jak się okaże - przyniesie ich wypełnienie.

Św. Jan Chrzciciel

Syn św. Elżbiety, rówieśnik Jezusa i ten, który prorokował Jego Przyjście. Przez wielu początkowo uznawany był za Mesjasza, czemu zaprzeczał. W Ewangelii św. Mateusza Jezus określił św. Jana jako swego poprzednika i największego człowieka, który kiedykolwiek narodził się na ziemi:

„Po cóście więc wyszli? Proroka zobaczyć? Tak, powiadam wam, nawet więcej niż proroka. On jest tym, o którym napisano: Oto Ja posyłam mego wysłańca przed Tobą, aby Ci przygotował drogę. Zaprawdę, powiadam wam: Między narodzonymi z niewiast nie powstał większy od Jana Chrzciciela”.

Św. Jan został święty ok. 32 r. z rozkazu Heroda Antypasa, syna Heroda Wielkiego. „Posłał więc kata i kazał ściąć Jana w więzieniu. Przyniesiono głowę jego na misie” - pisze św. Mateusz. Część relikwii: prawa ręka, tzw. Prawica-która-ochrzciła Pana, która była przez wieki główną relikwią zakonu joannitów znajduje się dziś w soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie.

W PERU ŚWIĘTA PACHNĄ PANETÓNEM. TRUDNO JEDNAK NIE WIDZIEĆ BIEDY I WYZYSKU DZIECI

Peru to bardzo rozległy i wielokulturowy kraj, więc święta różnią się w zależności od regionu. Ale wszędzie spędza się je rodzinnie, w gronie najbliższych

Joselyn del Rosario, peruwiańska antropolożka mieszkająca w Słupsku

Ieby to lepiej zrozumieć, zacznę od naszych trzech głównych stref i porównam je z polskimi miejscami. Peruwiańskie wybrzeże, ciepłe i suche, przypomina polskie miasta jak Poznań czy Wrocław latem.

Andy, zimne i górzyste, kojarzą się z Zakopanem.

Peruwiańska dżungla, tropikalna i wilgotna, nie ma dokładnego odpowiednika w Polsce, ale częściowo można ją porównać do gęstych lasów Białowieży czy Mazur, choć te nie są tropikalne.

Święto przywieźli konkwestadorzy

Z powodu różnic klimatycznych i geograficznych, Boże Narodzenie obchodzimy zupełnie inaczej w każdej części Peru. Warto dodać, że to święto nie pochodzi z naszej kultury, przyjęliśmy je z Europy i Ameryki pod wpływem hiszpańskiej inwazji, która siłą narzuciła nam katolicyzm, historię narodzenia Jezusa, msze w kościele, dekoracje, prezenty i kolędy. Później, dzięki globalizacji, poznaliśmy Świętego Mikołaja ze świątecznych filmów - ze śniegiem, kominiarzem i scenami rodzin otwierających paczki przy gorącej czekoladzie.

Wyobraź sobie picie gorącej czekolady w suchym upale wybrzeża czy w dusznej wilgoci dżungli. Brzmi dziwnie, ale tak mamy w Peru. Mimo to w grudniu zawsze czujemy, że coś nie do końca do nas pasuje, bo ta tradycja nie wyrasta z naszej historii ani kultury.

Problem ze Świętym Mikołajem

Jeśli pytaacie, czy w Peru wiemy w Mikołaja, powiem, że większość dzieciaków marzy o nim, ale dorośli często nie, bo u nas nie ma śniegu, kominów, a nasze zwyczaje mieszają się z lokalną tożsamością, tworząc święta inne niż w filmach czy tu, w Polsce. Chociaż większość Peruwiańczyków to katolicy, więc podobieństwa są: dekoracje, wieniec adwentowy, wizyty w kościele, szopki.

Dorośli Peruwiańczycy mówią: „Boże Narodzenie jest dla dzieci”, i to prawda. Święta są dla nich, ale trudno utrzymać wiarę w Mikołaja czy świa-



Dorośli Peruwiańczycy mówią: „Boże Narodzenie jest dla dzieci”, i to prawda. Święta są dla nich



Peruwiańska szopka jest wyjątkowa: są w niej gipsowe figurki z Jezusem, często z lamami, alpakami, Andkami

teczną magię, gdy wiele dzieciaków pracuje od najmłodszych lat. Ameryka Łacińska ma wiele problemów: ogromne nierówności, bogaci obok tych, co nie mają nic.

Na ulicach Peru w grudniu dzieci sprzedają zapałki, pe-tardy, kadzidła czy słodczyce albo pomagają matkom na jarmarkach i targach. Często widać sieroty w sklepach, myjące auta czy robiące drobne prace. Myślę, że wiele z nich nie zna tradycji pisania listów do Mikołaja - ich marzenia to nie zabawki, ale zmiana losu, „filmowe święta” czy choć ciepła kolacja i rodzinny uścisk.

Aromaty świąt i szopka

Ale święta i tak przychodzą. Ulice pachną chlebem, kadzidłem i panetónem (słodki chleb bożonarodzeniowy) - po tym aromacie wiemy, że grudzień nastał.

W moim Huancayo większość domów nie ma własnego pieca, ale są komunalne piekarnie, gdzie ludzie zbierają się, by piec panetón i tradycyjną tantę wawę - słodki chleb z mąki kukurydzianej, bez drożdży, w różnych kształtach.

W dni przed świętami rodziny stroją choinkę i szopkę. Peruwiańska szopka jest wyjątkowa: kupujemy gipsowe fi-

gurki z Jezusem, często z lamami, alpakami, Andkami w strojach cholita czy andyjskimi krajobrazami. Dzieciątka nie stawiamy w szopce od razu, czeka do północy 24 grudnia. W niektórych domach urządzamy konkursy na najpiękniejszą dekorację i szopkę.

Wigilijna kolacja

Na Wigilię, o północy, spotykamy się u krewnych, gospodarza losujemy. Tego dnia ulice wypełniają stragany z lampkami, ozdobami, sztucznymi choinkami i fajerwerkami. To wir kolorów, hałasu i zapachów,

wysiłek milionów rodzin, by świętować, dużo czy mało.

Rodziny zbierają się na kolację: indyk, pieczona wieprzowina czy asado z puree ziemniaczanym i ryżem. Jedzenie wyjmują z pieca godzinę przed północą. Panie chodzą po swoje wypieki do piekarni. Nie może brakować gorącej czekolady z cynamonem, goździkami i mlekiem, plus panetón.

O północy dorośli dają prezenty dzieciom. Rodzice mówią: „Mikołaj był zajęty, poprosił nas o pomoc”. Dzieci otwierają paczki po jedzeniu, dlatego Mikołaj u nas to bardziej iluzja.

Świętowanie od północy

W Peru nie odpoczywamy po kolacji. Odliczamy: 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1... i jest północ, 25 grudnia. Ludzie wychodzą na ulice, witają sąsiadów, sklepy otwarte, dzieciaki puszczały fajerwerki. W domach gra muzyka, często cumbia, choć to zależy od rodziny.

Rano odwiedzamy tych krewnych, z którymi nie było nas o północy, i szukujemy słynną pachamancę - flagowe danie Huancayo.

Pachamanca symbolizuje rodzinę, bo wszyscy muszą pomóc. Mężczyźni kopią dół, wybierają specjalne kamienie (złe pękają od żaru), palą drewno, aż się rozgrzeją. Kobiety marynują jagnięcinę, wieprzowinę, kurczaka czy wołowinę w andyjskich ziołach, ají, czosnku i soli. Przygotowują ziemniaki, kukurydzą, fasolę. Dzieci pomagają - ich małe rączki są idealne do obierania kukurydzy i humitas. Na gorące kamienie idą mięsa i warzywa, przykryte liśćmi, mokrymi workami i ziemią. Gotuje się kilka godzin. Gdy otwieramy, wszyscy dzielimy się jedzeniem. To piękny rytuał jedności rodzinnej.

Mój pierwszy śnieg

Na wybrzeżu 25 grudnia to plaża - letni dzień nad morzem z ceviche (sałatka z owocami morza). Nikt nie próżnuje: chaos, ale piękny, wciągający. Inaczej niż w Polsce, gdzie święta są cichsze, bardziej kameralne.

Mieszkam w Polsce trzy lata, w Słupsku, i pamiętam pierwszy śnieg. Pracowałam w fabryce ryb, w porze lunchu stanęliśmy, patrząc, jak pada przy pomarańczowym zachodzie. Pierwszy raz dotknęłam śniegu, czułam się jak w filmie: biel i błysk to czysta magia.

Potem znienawidziłam zimno, ale ten moment został. Przeżyłam to, co znalazłam w filmach, choć bez rodziny, tylko z peruwiańskimi kumplami, którzy jak ja przyjechali tu po lepsze życie i by pomóc bliskim.

Chciałabym, by moja rodzina zobaczyła i poczuła to, co ja, choć czasem melancholijnie. W Słupsku tworzymy więzi: przyjaciele stają się rodziną. Razem próbujemy odtworzyć nasze święta, by być bliżej domu. ©

NIE TYLKO O BOŻYM NARODZENIU

O Elżbiecie Wiejaczce z Gorlic nie da się mówić krótko. Z wykształcenia jest biologką, filozofką i dziennikarką, etnologą i antropologką kulturową. Z serca miłośniczką Afryki. Na Czarnym Lądzie przeżyła niejedną przygodę, tam napisała książkę „Mój przyjaciel Masaj”

Agnieszka Nigbor-Chmura



FOT. ARCHIWUM ELŻBIETY WIEJACZKA

Po wielu latach zaczęłam dostrzegać różne odcienie masajskiej codzienności – mówi Elżbieta Wiejaczka

Dlaczego Afryka?

Od zawsze chciałam pojechać do Afryki. Pierwszy raz, w 2006 roku, dotarłam z bratem i trójką znajomych do Afryki Zachodniej. Przemieszczałam się lokalnymi środkami transportu, autostopem, przez Maroko, Saharę Zachodnią, Mauretanię i Mali. Miała to być wyprawa naukowa, jechaliśmy pod egidą Koła Biologów. Dla mnie osobiście wyjazd był spełnieniem marzeń. Po powrocie wierzyłam, że będę mogła spokojnie pracować na etacie, ale po kilku miesiącach zaczęłam tęsknić za Afryką jeszcze bardziej. Dlatego w 2009 roku wróciłam. Z przyjaciółką Anią Poduszynską zaczęłyśmy wolontariat w szkole podstawowej w Kenii. Spędziłyśmy też trochę czasu w sierocińcu dla dziewcząt. Ania jest malarką, przed naszym wyjazdem do Afryki nawiązała kontakt z żoną nieżyjącego już wówczas kenijskiego malarza, Sao Gamby. W niektóre weekendy Ania zajmowała się konserwacją jego obrazów w Muzeum Narodowym w Nairobi, w czym jej pomagałam, choć

nigdy wcześniej nie miałam z tym do czynienia!

Już wtedy wiedziałas, że Afryka będzie przygodą Twojego życia i że tam wrócisz?

Oczywiście już wtedy chciałam regularnie tam wracać, ale tak naprawdę pomógł mi w tym zbieg okoliczności. W drodze powrotnej z Kenii poznałyśmy na lotnisku współwłaściciela polskiego biura podróży, który wracał z grupą z Kilimandżaro. Dużo rozmawialiśmy, wymieniliśmy się kontaktami. Kiedy odeszłam się do niego rok później, zaproponował mi wyjazd do Tanzanii w roli drugiego pilota. W ten sposób zaczęłam pracować jako pilot wycieczek: najpierw właśnie w tym kraju, wchodząc na Kilimandżaro, a potem jadąc z grupą na safari i na Zanzibar, a później w innych afrykańskich krajach.

Jak z perspektywy czasu wspominasz swoją niezwykłą, pięciomiesięczną podróż poślubną i pokonanie 7000 kilometrów na rowerach przez Afrykę?

Bardzo dobrze, zdążyłam już porządnie wypocząć od tego czasu! (śmiech) A poważnie – cieszę się, że udało nam się coś takiego zrobić. To była niesamowita przygoda, podczas której miałam też okazję poobserwować małe miejscowości w Afryce i porozmawiać z mieszkańcami wiosek, do których bardzo rzadko, a czasem nigdy, nie zaglądały turyści. Ten wyjazd uświadomił mi również, jak dużo „jest w naszej głowie”. Przed wyprawą nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak wycieńczająca będzie ona fizycznie, a kiedy już byliśmy w Afryce, głupio było wrócić do domu z powodu zmęczenia. Więc jechałam dalej!

Jej finałem było wydanie książki. Dzisiaj jesteś przed kolejną premierą.

Tak, spisaliśmy nasze przygody w książce „Pięć kilometrów do bomby. Rowerem przez Afrykę” (2018), współautorem jest mój mąż, Tomasz Budzioch. W tym roku wydałam książkę „Mój przyjaciel Masaj” – o Isai, którego poznałam w Tanzanii w 2010 roku,

a także o jego rodzinie i masajskiej społeczności. To opis nie tylko ich kultury i zwyczajów, ale także zachodzących w ich życiu zmian, które osobiście obserwowałam na przestrzeni ostatnich piętnastu lat. W tym czasie wielokrotnie bywałam w rodzinnej wiosce Isai, biorąc udział w wielu rytuałach, a także uczestnicząc w ich codziennym życiu. Cieszę się, że mogę się tymi doświadczeniami podzielić. Isaya też niecierpliwie czekał na ukazanie się tej publikacji.

Antropolożka i dziennikarka – to nie mogło się inaczej zacząć i skończyć – najpierw badania, potem publikacja?

Dziennikarstwo było w moim życiu raczej pobocznym zajęciem, a na studia w zakresie etnologii i antropologii kulturowej zdecydowałam się właśnie ze względu na pracę nad książką o Isai. Już po pierwszym pobycie w jego wiosce zaczęłam pisać, ale szybko uzmysłowiłam sobie, że za mało wiem o historii Masajów czy zmianach, które dokonują się w życiu całej społeczności. Dlatego właśnie w 2016 roku rozpoczęłam na Uniwersytecie Jagiellońskim studia, które sfinalizowałam pracą magisterską zatytułowaną „Migracje Masajów z okolic Morogoro (Tanzania)”. Podczas badań terenowych, które prowadziłam w Tanzanii, zwróciłam uwagę na relacje intymne Masajów z białymi kobietami i wpadłam na pomysł, żeby ten temat zgłębić w pracy doktorskiej. W taki właśnie sposób przedłużyła się moja nauka. Isaya pomagał mi zarówno podczas badań do pracy magisterskiej, jak i doktorskiej, a jego dom zawsze był moją bazą. Bardzo pomógł mi też podczas ostatnich badań, które prowadziłam na Zanzibarze, tym wątkiem zresztą kończy się książka.

Jak poznałaś tytułowego bohatera książki?

W 2010 roku, podczas pracy w roli pilota wycieczek na Zanzibar. Przytoczę fragment mojej książki: „To było Id al-Fitr, Święto Przerwania Postu. Zakończył się ramadan i cały Zanzibar świętował. W hotelu grała muzyka, jedni tańczyli, inni skakali do basenu. W półmroku, który zaczynał się tuż za linią świateł padających na parkiet, dostrzegłam trzech Masajów. Rozpoznawałam stroje i przedmioty, z którymi nie rozstawali się wojownicy. Ale ci mężczyźni różnili się od Masajów spotykanych na terenie Ngorongoro. Mieli na sobie tkania z cienkiej bawełny malowanej w nietypowe wzory i oryginalne ozdoby. Podeszłam do nich i jak nigdy wcześniej zapytałam: „Dzisiaj są moje urodziny, mogę się z wami sfotografować?”. Tak

wyglądało nasze pierwsze spotkanie.

Co Cię w nim zachwyciło, że stał się jej bohaterem?

Isaya jest po prostu dobrym człowiekiem, zachwycająca jest jego kultura i tradycje jego społeczności. Pierwszy raz pojechałam do jego wioski w 2011 roku, celowo w czasie, kiedy odbywały się rytuały inicjacyjne dziewcząt. Często brałam udział w tych uroczystościach, podczas których miałam okazję obserwować wspiane ozdoby i zupełnie nieznanymi mi wcześniej styl tańczenia i śpiewania. Dostrzegałam głównie piękno, chociaż wiedziałam o ciemniejszej stronie tej społeczności: silnym patriarchatcie i obrzezaniu kobiet. Dopiero wraz z upływem lat, kiedy zaczęłam komunikować się w suahili i mogłam porozumiewać się bezpośrednio z kobietami, zdałam sobie sprawę z ich często trudnego życia. Cieszę się, że nie napisałam tej książki wcześniej, na fali jedynie zachwyty. Po tak wielu latach zaczęłam dostrzegać różne odcienie masajskiej codzienności.

Najpiękniejsza opowieść w „Mój przyjaciel Masaj” to?

Ta o małżeństwie Isai i Marimy, choć jego początki były trudne. Ale ich wspólne dochodzenie do porozumienia na przestrzeni lat budzi moją wielką nadzieję dotyczącą ogólnie relacji w masajskich małżeństwach. Jak wspominałam wcześniej, w tej społeczności dominuje patriarchat: mężczyźni mają władzę nad kobietami, zarówno córkami, jak i żonami. Przede wszystkim kobieta najczęściej nie może sama decydować o swoim małżeństwie, ponieważ jest ono aranżowane. A zatem wychodzi za męża za kogoś, kogo nie wybrała, zawsze starszego, czasami nawet w wieku swojego ojca. I musi się mu podporządkować. Mężczyźni mogą swoje żony bić za niewykonanie jakiejś pracy, rzadko z nimi rozmawiają na głębsze tematy, to oni też podejmują najważniejsze decyzje, którym żona powinna się podporządkować, nawet jeśli dotyczą one niej samej. Młode mężatki nie mogą nawet pojechać same na targ wierzgą! W małżeństwie Isai przez lata obserwuję zmiany zachodzące między nim a jego żoną. Nadal to on podejmuje decyzje, ale sporo z Marimą rozmawia, bierze pod uwagę jej zdanie, szanuje ją, mam poczucie, że więzy patriarchatu puszczają...

Najtrudniejsze wydarzenie, które przyszło Ci opisać z życia masajskiej rodziny?

Z historii opowiedzianych mi przez Isayę – jego dzieciństwo z dala od domu. Z tych, które widziałam na własne oczy – su-

lat swojego dziecięcego życia z babcią, która mieszkała na północy kraju, podczas gdy jego rodzina migrowała na południe. Opiekował się krowami wuj, który nie miał oporów, by bić za każde niedociągnięcie, tęsknił do domu. Dopiero po swojej ceremonii przejścia wrócił do matki i rodzeństwa – ojciec w tym czasie skupiał się już na rodzinie, którą założył z drugą żoną. Kiedy prowadziłam badania do pracy magisterskiej, od wielu Masajów – nie tylko od Isai – słyszałam o okresach susz, podczas których zdychało wiele z ich ukończonych zwierząt. W 2017 roku Isaya mi opowiadał: „Nie można nic zrobić, kiedy zwierzę zdycha. Robi się bardzo chude. Próbuje iść i upada, a ja staram się je podnieść. To jednak nic nie daje. Szukam dla niego trawy i wody, ale z nim jest coraz gorzej. Kiedy krowa umiera, człowiek czuje się strasznie”. W 2021 roku byłam w Tanzanii podczas kolejnej suszy, pojechałam do obozu, do którego Isaya przemieścił te krowy, które jeszcze były w stanie chodzić. Wszystkie wyglądały potwornie, a jedno ciało znaleźliśmy rano martwe. Mogłam na własnej skórze poczuć ból, jakiego doświadczają pastersze...

W Polsce za chwilę Boże Narodzenie. Wiem, że ci Masajowie, którzy przyjęli chrześcijaństwo, je obchodzą. Czy tak jest w rodzinie, którą opisujesz?

Tak, rodzina Isai obchodzi Boże Narodzenie – w nocy 24 grudnia idzie do kościoła, by się modlić, a potem znowu dzień później. Modlitwy te różnią się od tych w naszych kościołach: jest dużo śpiewu i przede wszystkim zaskakującego dla nas tańca. Dzieci często przysypiają w chustach na plecach podskakujących matek, wszyscy są odświętnie ubrani. 25 grudnia po nabożeństwie wierni siadają przy kościele do wspólnego posiłku. Kiedy w 2021 roku spędzałam Boże Narodzenie w rodzinie Isai, podano ryż z odrobiną sosu. W domu Isai jednak nie zauważyłam większej ilości jedzenia niż na co dzień.

Jakie sa Twoje dalsze plany?

Święta spędzam z rodziną lokalnie, w Beskidzie Niskim i na Pogórzu Ciężkowickim. W styczniu lecę do pracy do Afryki Zachodniej (Benin, Togo, Ghana). Potem chciałabym wreszcie pojechać na wakacje z mężem – od dwóch lat nie udało nam się ich zaplanować, ponieważ ciągle miałam jakieś terminy: a to na napisanie kolejnych rozdziałów doktoratu, a to związane z wydaniem książki. Ale doktorat jest już na etapie recenzowania, a książka wydana, więc chcielibyśmy odetchnąć.

WIGILIA NA 30 OSÓB. BO 50 LAT TEMU ZAŁOŻYLI RODZINNY DOM DZIECKA

Pół wieku temu Janina i Tadeusz Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła życie kilkunastu osób. W bloku na białostockim osiedlu stworzyli pierwszy w województwie podlaskim rodzinny dom dziecka. Dziś ich „dzieci” mają własne rodziny, domy, wnuki. Mimo to wciąż tworzą jedną, wielką rodzinę. Tę niezwykłą historię opowiada rodzona córka Janiny i Tadeusza – Jolanta

Agnieszka Domanowska

Rodzinna kronika leży na stole. Pożółkłe kartki, starannie prowadzone ręką Tadeusza Kamińskiego. – Tata zakładał tę kronikę, dziś już nie żyje – mówi Jolanta, jego córka, przeglądając zdjęcia sprzed pięćdziesięciu lat. Na fotografiach uśmiechnięte dzieci, świąteczny stół, Mikołaj w czapce. „Kochane dzieci” – napisał Tadeusz na marginesie. I rzeczywiście, były to jego dzieci. Wszystkie.

Propozycja, która zmieniła życie

Rok 1975. W małej miejscowości koło Grajewa mieszkała rodzina nauczycieli. Tadeusz – dyrektor szkoły, Janina – kierowniczka.

– Mama też była taką aktywistką. Harcerstwo, PCK, robiła całej wsi zastrzyki, skończyła kursy – wspomina Jolanta.

Ktoś w Białymstoku o nich usłyszał i pewnego dnia do drzwi Kamińskich zapukali przedstawiciele wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci z nietypową propozycją: Czy nie chcieliby założyć rodzinnego domu dziecka?

– Tata się od razu zapalił – w Białymstoku córki będą miały przyszłość! Ale mama miała wątpliwości. „Nie mieliśmy kłopotów ze swoimi dziećmi, to nie wiesz, co znaczy mieć takie dzieci” – powiedziała do taty – wspomina Jolanta.

Jednak po długich rozmowach Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła ich życie.

Sierpień 1975 roku. Przeprowadzka do Białegostoku, do mieszkania w świeżo wybudowanym bloku przy ul. Warszawskiej. Dwa połączone lokale – razem siedem pokoi w surowym stanie.

– Odgruzowywaliśmy od pierwszego sierpnia, myli-



Janina Kamińska (z lewej) była matką dla dziewięciorga dzieci. Miała dwie własne córki (z prawej siedzi Jola), a dla siedmiorga dzieciaków stworzyła rodzinę zastępczą

śmy szyby, wszystko szorowaliśmy – wspomina Jolanta, która wtedy miała 15 lat i właśnie kończyła podstawówkę. Jej młodsza siostra, Ewa, szła do siódmej klasy.

Szóstka, która stała się siódmką

We wrześniu rodzinny dom dziecka ruszył. Choć nie

było to takie proste, jak mogłoby się wydawać.

– W domach dziecka było mnóstwo dzieci, ale większość z nieuregulowaną sytuacją prawną – tłumaczy Jolanta.

Założenie rodzinnego domu, wynikające z przepisów, było jasne: sześcioro dzieci musi być. Przyjechała

dziewczynka z Grodna, w wieku młodszej córki. Potem dwa lata młodsza dziewczynka z Łomży. Do tego chłopiec z Białegostoku i trójka maluchów – trzylatki.

– Tylko jedno dziecko było pełną sierotą. W przypadku pozostałych – rodzice byli pozabawieni praw lub mieli duże

ograniczenie praw rodzicielskich – wyjaśnia Jolanta. – To były dzieci poranione przez życie, spragnione miłości i ciepła.

Siódme dziecko trafiło do rodziny Kamińskich przez przypadek. Tadeusz pracował w pogotowiu opiekuńczym. Przywieziono tam dziewczynkę – jej matka zostawiła

rodzinę, ojciec był głuchoniemy.

– Tata powiedział: póki jeszcze system jej nie zepsuł, zabieramy ją do siebie – wspomina Jolanta.

Jeden z najmłodszych chłopców był bardzo chory.

– Mama cały czas mówiła, że on ma coś w buzi. Wszyscy myśleli, że wymyśla – wspomina Jolanta. Okazało się, że to złośliwy nowotwór. Dziecko przeszło operację i przeżyło.

– Mama uratowała mu życie, bo nie odpuszczała – podkreśla Jola.

Mówiły „mamo, tato”. A to zobowiązuje

Na początku państwo Kamińscy zadali dzieciom ważne pytanie: jak chcą się do nich zwracać? Proszę pana, proszę pani? Ciociu, wujku? A może... mamo, tato?

– No oczywiście wybrały mamo, tato. I to zobowiązuje – podkreśla Jolanta. – W innych rodzinnych domach dziecka, które później powstały w Białymstoku, było inaczej. Dzieci mówiły „ciociu”, „wujku”. Dorastały, odchodziły i kontakt się urywał. U nas było inaczej. My zauważyliśmy, że samo wymawianie słowa „tato”, „mamo” sprawia im ogromną przyjemność, a wręcz uspokaja – wspomina Jolanta.

Życie na garnkach i w kolejkach

Janina Kamińska wstawała codziennie o godzinie czwartej, piątej rano. Musiała przecieżyć przygotować śniadanie dla jedenastu osób!

– Mama gotowała w garnkach wielkości kotłów. Było dziewięciorgo dzieci i ich dwoje, to w sumie jedenaście osób. Żeby zrobić dla każdego po trzy

gołąbki, to wychodziło trzydzieści trzy... - liczy Jolanta.

A trzeba pamiętać, że to były czasy PRL-u, czyli kartki na żywność, kolejki po wszystko.

- Stało się po buty dwa dni, trzy dni, a mama musiała dziewięć par w sumie kupić - opowiada. - W ogóle to były czasy, kiedy w sklepach nic nie było. Mama musiała rano kupować dziesięć litrów mleka, czyli przynosiła do domu... dziesięć szklanych butelek.

Dzieci przychodzili z trudnym bagażem. Na początku chowały jedzenie pod poduszki, bo bały się, że zabraknie.

- Gdyby wszystko stało na stole, to puszka pasztetu na jedną kanapkę by poszła - tłumaczy Jolanta. Dlatego Janina musiała sama robić kanapki dla wszystkich.

„Moje własne dzieci nie miały taty”

Dla córek państwa Kamińskich to nie było łatwe.

- My z siostrą właściwie nie miałyśmy rodziców - przyznaje szczerze Jolanta. - My problemów nie stwarzałyśmy i starałyśmy się ich nie stwarzać, bo widziałyśmy, ile rodzice mieli na głowie.

Jej młodsza siostra bardzo to przeżywała. Cztery lata temu zmarła na raka.

Formalny wymóg mówił, że rodzice, którzy chcą prowadzić rodzinny dom dziecka, muszą mieć swoje dzieci.

- Uważam, że to nie był dobry pomysł, bo jednak my z siostrą byłyśmy pokrzywdzone - przyznaje dziś Jolanta. - Państwo dawało kieszonkowe, jakieś grosze tym dzieciom, i my takie same dostawałyśmy. Mamy nie było stać, żeby kupować markowe dżinsy, które wtedy były modne, to i my nie miałyśmy. Dziś nie mam żalu, wtedy w sumie też...

Ale Jolancie udało się przekształcić to doświadczenie w coś pięknego.

- Ja to taki człowiek stadny - mówi o sobie.

Mieszkała z najmłodszą Edytką w ostatnim, siódmym pokoju.

- To ja wysadzałam ją w nocy na siusianie, prowadziłam do przedszkola. Zostałam też jej matką chrzestną - uśmiecha się.

Studia, rodziny, wnuki

Tadeusz Kamiński napisał pracę magisterską pt. „Proces integracji wychowanków rodzinnego domu dziecka”. Zaważ tam ważne zdanie: „Uważam jednak, że wyrazem rzeczywistego powstania wzajemnej więzi między dziećmi i ich przybranymi rodzicami będzie postawa i sto-

sunek dzieci usamodzielnionych do domu rodzinnego. A o tym będziemy mogli się przekonać dopiero za kilkanaście lat”.

Przekonał się. Tadeusz Kamiński zmarł 15 lat temu, w wieku 67 lat.

- Miał nagły zawał - wspomina Jolanta. - Ale zdążył zobaczyć, jak jego dzieci zakładają rodziny, kończą studia, rodzą im się dzieci.

Dzisiaj wychowankowie państwa Kamińskich to dojrzały ludzie z własnymi rodzinami. Najstarsza przeszła już na emeryturę - przez całe życie pracowała jako księgowa w PSS-ie. Inna skończyła studia i została nauczycielką, była nawet wicedyrektorką szkoły. Kolejna ma własną kwiaciarnię. Jeden z chłopców uczy w liceum - był jednym z najlepszych studentów. Inny mieszka w Anglii.

- Wszyscy wyszli na prostą. Bardzo znaczącą prostą! - podkreśla Jolanta. Mają domy, rodziny, pracę. - Nie ma czegoś takiego, że jakieś złe nawyki z przeszłości odbiły się na ich własnych rodzinach. A bardzo często tak jest, prawda? Wychodząc z trudnej rodziny, trudno jest założyć własną dobrą rodzinę. Więc w naszym rodzinnym domu dziecka, w naszej rodzinie, musiało być naprawdę mnóstwo miłości

i czułości, że te dzieci po prostu zapomnieli o swoim życiu w rodzinach biologicznych.

„Mój brat, moja siostra”

Do dziś wszyscy utrzymują ze sobą kontakty.

- Dzwonimy do siebie, a jedna z moich siostr to przychodzi tutaj dość często, z mężem - opowiada Jolanta.

Jeden z wychowanków zaś do dziś spędza u nich wszystkie święta.

- Mówimy do siebie: brat, siostra - przyznaje Jolanta.

Kiedy Tadeusz Kamiński zmarł, to właśnie jego wychowanek dziękował na cmentarzu wszystkim za przybycie i wspominał tatę.

- To jest po prostu rodzina. Jesteśmy rodziną - powtarza Jolanta.

Kiedy najmłodsza z wychowanków miała trafić do państwowego domu dziecka - po tym, jak Janina i Tadeusz zakończyli już prowadzenie domu rodzinnego - to właśnie Jolanta się temu sprzeciwiła.

- Ja wtedy byłam akurat sama z dziećmi, z dwójką moich dzieci, bo rozstałam się z mężem i dostałam połowę tego mieszkania. Mówię: o nie, tak to nie będzie, nie po to tyle lat była w domu rodzinnym, żeby teraz do domu dziecka na końcówkę wracać.

I wzięłam ją do siebie - wspomina. Dziewczyna mieszkała u niej, dopóki nie wyszła za mąż.

Mama wciąż pamięta

Janina Kamińska ma dziś problemy z pamięcią. Mieszka u Jolanty, w połowie mieszkania przy ul. Warszawskiej, gdzie wszystko się zaczęło.

Ale pewne rzeczy Janina pamięta doskonale.

- To moje kochane dzieci - mówi ciepła i empatyczna staruszka.

Niedawno córka zapytała: - O czym mamusię myślisz?

A Janina na to: - No tak przeanalizowałam swoje całe życie, od młodości do tego czasu. I doszłam do wniosku, że dobrze wychowałam te dzieci. To moje dzieci. Czasami też martwi się: - Nic nie robię, a wy ciągle coś robicie. Coś bym może zrobiła?

Wtedy zięć mówi: - Mamuś, ty się przez życie tyle napracowałaś, tyle zrobiłaś, że ty teraz powinnaś odpoczywać.

- To bez dwóch zdań jest anioł, a nie człowiek - podkreśla Jolanta. - Ona całe życie przepracowała, żyła cały czas dla wszystkich, wszystkim wszystko zrobiła. I dlatego chyba wybrali ją na prowadzenie tego rodzinnego domu dziecka.

Wigilia dla trzydziestu osób

Teraz, gdy zbliżają się święta, Jolanta liczy: „Ja mam dwójkę dzieci i dwójkę wnuków, to jest nas pięć, sześć osób. Bożenka siedem, osiem, dziewięć, Basia dziesięć...” I tak co roku dolicza do prawie trzydziestu osób.

W tym roku Wigilia znów będzie u niej. Przyjdzie Jarek, przyjdzie Krzysiek. I inni. Tacy, dla których „mama Janina” to po prostu mama. A Jolanta - to siostra.

- Dziś, tak jak przed laty, jesteśmy razem, tylko już bez taty i mojej siostry. Ale doskonale pamiętamy święta sprzed 50 lat. Też byliśmy razem. Razem ubieraliśmy choinkę, razem gotowaliśmy gigantyczne ilości jedzenia, choć nie zawsze było z czego, ale nasza mama zawsze coś poradziła. I prezenty... Były zawsze.

Jolanta pokazuje zdjęcie:

- To chyba z pierwszej wspólnej Wigilii. Kto był Świętym Mikołajem? No przecież ja - śmieje się.

Pięćdziesiąt lat temu Janina i Tadeusz Kamińscy przyjęli do swojego domu siedmioro obcych dzieci. Dziś te dzieci mają własne domy, własne rodziny, własne dzieci i wnuki. Ale wciąż wracają do tego pierwszego domu. Bo tam był - i wciąż jest - ich dom rodzinny. W najpiękniejszym tego słowa znaczeniu.

REKLAMA

0011452356



Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i nadchodzącego 2026 roku przesyłamy moc życzeń:

kumulacji najpiękniejszych emocji, dni pełnych radości, wygranych w życiu codziennym i w grach LOTTO, pomyślności w realizacji marzeń i zdrowia, aby Was nigdy nie opuszczało!

Dyrekcja i pracownicy Totalizatora Sportowego

KTO WSTANIE OD STOŁU, TEN UMRZE, CZYLI ŚWIĘTA W CZECHACH

– U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. W naszej tradycji Bożego Narodzenia są też wróżby. A jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć – mówi Jakub Medek, Czech mieszkający od 20 lat w Białymstoku

Andrzej Kłopotowski

Czesi nie uchodzą za naród wierzący.

Czesi nie są narodem wierzącym instytucjonalnie. Mamy problem z religiami instytucjonalnymi, głównie z katolicyzmem, choć kościołów w Czechach trochę funkcjonuje, w tym kościołów rodzinnych, protestanckich. Z ostatniego spisu powszechnego wynika, że do kościołów – jakichkolwiek – chadza 17 czy 18 procent Czechów. I to nie jest oczywiście europejski rekord, są bardziej laickie narody. Natomiast z punktu widzenia Polski – no to Jezu Chryste – ateści. Temat jest jednak bardziej złożony. To, że Czesi nie wierzą w religię instytucjonalną, nie znaczy, że odrzucają fakt istnienia siły wyższej. Jakies 60-70 procent ludzi uważa, że coś tam jest.



– Historia o czeskim ateizmie jest dużym uproszczeniem – mówi Medek (na zdjęciu: ikoniczny Most Karola w Pradze)

Mamy fajnego filozofa – księdza katolickiego swoją drogą – Tomáša Halíka, który mówi, że religią podstawową w Czechach jest „cosizm”. Wiara w coś.

Jak wygląda więc czeskie Boże Narodzenie?

Boże Narodzenie jest w Czechach świętem bardzo rodzinnym, obchodzonym masowo. Powiedziałbym, że obchodzo-

nym nawet bardziej masowo niż w Polsce.

Mówisz o rodzinnych zjazdach, wspólnym spędzaniu czasu przy stole, bez instytucjonalnego kościoła?

Tak. Co nie znaczy, że bez symboliki charakterystycznej dla klasycznego, chrześcijańskiego kościoła. Jest szopka, aniołek. Mikołaj akurat nie, ponieważ Mikołaj przychodzi u nas w wigilię mikołajek, czyli 5 grudnia. U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. Dodatkowo Wigilię mamy ustawowo wolną już od dawna. Pierwszy i drugi dzień świąt też. Te święta – i do tego zmierzam – są obchodzone bardzo mocno w duchu tradycji świąt Bożego Narodzenia. Z jednej strony wierzymy w „cosizm”, a nie wierzymy

w kościoły instytucjonalne. Z drugiej strony to chrześcijaństwo jest bardzo mocno zakotwiczone w naszej kulturze. Podam przykład. W Pradze jest taki event: w pasterkę, w holu kolejowego dworca głównego zbiera się kilkaset osób, by razem z orkiestrą śpiewać pieśni z barokowej mszy bożonarodzeniowej Jakuba Jana Ryby.

Wierzyć można wszędzie...

Wierzyć można wszędzie. Świętować można wszędzie. To też pokazuje, że ta historia o czeskim ateizmie jest bardzo dużym uproszczeniem.

Z czego biorą się więc te stwierdzenia o Czechach ateistach?

Myszę, że z braku kościoła instytucjonalnego i tego, jak radykalną jest to różnica z polskiej

perspektywy. Często stereotypy – a w tym się specjalizuję, w tym prostowaniu czy dyskusowaniu o stereotypach – biorą się z różnic. Z tego, że przykłady swojej miarę, swoje doświadczenia do rzeczy, które wyrastają z totalnie innej rzeczywistości, odmiennych doświadczeń choćby historycznych.

Chodź ci o podziały Kościoła?

O podziały, które sprawiły, że Czechy dzisiaj są takie, jakie są. Korzeni można szukać już w XIV wieku. Kościół katolicki w Polsce historycznie zawsze był ostoją polskości, przynajmniej na tym poziomie kościoła podstawowego, bo z hierarchiami to różnie bywało. W Czechach Kościół katolicki od XIX wieku, od momentu bu-

MATERIAŁ INFORMACYJNY ŚWIEĆ SIĘ Z ENERGĄ

0111451986

23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na **najpiękniejsze zdjęcia miast** w konkursie „Świeć się z Energa”. Ale wciąż możecie zgłaszać swoje propozycje!

Ulice miast i miasteczek nabrały świątecznego blasku. Choinki lśnią tysiącami światełek, tworząc wyjątkowy, bożonarodzeniowy klimat. Dziękujemy za wszystkie zdjęcia, które już do nas trafiły. 23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na najpiękniej rozświetlone na święta miasto, ale wciąż czekamy na kolejne zgłoszenia - macie na to czas aż do 11 stycznia 2026 r.

Co sprawia, że właśnie o tej porze tysiące mieszkańców miast i miasteczek z całej Polski przesyłają zdjęcia rozświetlonych ulic, by to właśnie miejsce, w którym na co dzień żyją, zwyciężyło w konkursie „Świeć się z Energa”? Odpowiedź jest prosta - ten świąteczny konkurs to coś więcej niż rywalizacja. To realna pomoc dla osób, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej, a mieszkają tuż obok. Bo wygrana miasta przekłada się na konkretne wsparcie potrzebujących - im więcej

głosów zdobędzie, tym większa szansa na zwycięstwo w pierwszym etapie konkursu oraz bon od Energi na sprzęt AGD o wartości 10 tys. zł. To z kolei otwiera drogę do ogólnopolskiej rywalizacji o tytuł Świetlnej Stolicy Polski i główną nagrodę o wartości 50 tys. zł. Dlatego już można głosować! Zachęćcie rodzinę i przyjaciół do udziału w plebiscyście, połączcie siłę lokalnej wspólnoty. Teraz wszystko jest w Waszych rękach!

23 grudnia startuje głosowanie w pierwszym etapie plebiscytu

Aby zagłosować w charytatywnym projekcie, wystarczy odwiedzić stronę serwisu regionalnego, odnaleźć zapowiedź konkursu i skorzystać z narzędzia plebiscytowego. Każdego dnia zalogowany uczestnik może oddać aż 10 bezpłatnych głosów. Tak będzie aż do 21 stycznia, kiedy zakończy się regionalny etap konkursu miast. Ale - co ważne - wciąż można dodawać



kolejne fotografie. Pamiętajcie, nie ma znaczenia, czy korzystacie z profesjonalnego aparatu, czy świąteczne impresje „łapiecie” telefonem. Liczą się pomysł i chęć pomagania.

Wsparcie trafi do osób w potrzebie

W poprzednich edycjach projektu „Świeć się z Energa” zwycięskie samorządy przekazywały seniorom sprzęt AGD, m.in. kuchnie indukcyj-

ne, odkurzacze, kuchenki mikrofalowe, blendery i ekspresy do kawy. Energooszczędne pralki oraz lodówki z zamrażarkami trafiały do rodzin zastępczych. Pralki przemysłowe wspierały działalność

miejskich ośrodków pomocy społecznej, prowadzących punkty wydawania odzieży i żywności. Nie zabrakło także komputerów i projektorów - niezbędnych do codziennych zajęć w świetlicach terapeutycznych.

Razem niesiemy dobro

Nasz bożonarodzeniowy plebiscyt ma moc - światło nie tylko zdoła przetrwać, w której żyjemy, ale też niesie wsparcie. Wspólnie możemy więcej, dlatego angażujcie najbliższych, wszystkich zachęcajcie do aktywności. W tym wyjątkowym czasie niesiemy dobro!



dzenia się nowoczesnej świadomości narodowej, był symbolem habsburskiej opresji. Religia narzucona z zewnątrz. Choć to też jest znacznie bardziej złożone. Żeby nie wchodzić w głęboki wykład historyczny - to, że Polacy uważają Czechów za ateistów, jest typowym przykładem na popadanie w pułapkę stereotypizacji, gdy próbujemy coś mierzyć własną miarą.

Prezenty przynosi wam słynny praski Jezusek - Pražské Jezulátko?

Nie, przynosi je uniwersalny Jezusek.

Pytam, bo ten jest chyba najbardziej znany...

W dodatku jest czarny.

Jest opisywany we wszystkich przewodnikach.

To święta figura Jezuska, która jest ubierana. Przypomina taką dużą lalkę. Dla prażan nie jest to ważna postać. Kulturowo jest znana. Sam praski Jezunio to historia z okresu rekatolizacji Czech po tym, jak na początku XVII wieku upadło powstanie czeskich protestanckich stanów generalnych przeciwko Habsburgom. Habsburgowie zakazali działalności protestanckich, rodzimych kościołów i zaczęli wielką akcję rekatolizacyjną. Z jednej strony polegała na tym, że przymusowo wyrzucano

za granicę albo poddawano egzekucjom protestancką szlachtę. Przymusowo rekatolizowano protestancki lud, ale jednocześnie prowadzono ogromną ofensywę kulturalną. Zresztą to, jak Praga dzisiaj wygląda, to, co tak bardzo wszystkim zachwyca - Polaków również - zawdzięczamy tak naprawdę habsburskiej rekatolizacji. Temu, że wszystko miało być wielkie, imponujące i pokazywać buntującym się poddanym: Zobaczcie, jaki ten katolicyzm jest piękny, wspaniały, złoty, cudowny itd. Częścią tej ofensywy był też ten Jezusek.

Jak wygląda świętowanie Czechów? Katolicy świętują inaczej, ewangelicy inaczej?

Powiedziałbym, że w zasadniczych rysach jest podobnie. Mamy choinkę. No ale choinkę w niemieckim kręgu kulturowym mają wszyscy, Polacy zresztą też. Wbrew popularnym, szczególnie ostatnio, narracjom - kulturowe wpływy niemieckie w Polsce są tak samo mocne jak w Czechach. Mamy też sałatkę jarzynową. To jest kolejny, zmutowany niemiecki wpływ, bo przecież to Kartoffelsalat. W Polsce dodano do niej parę rzeczy. W Czechach, ponieważ związki z germańską kulturą są mocniejsze, sałatka jarzynowa bardziej przypomina oryginalny Kartoffelsalat.

Czyli nie ma groszku?

Groszek może być. Akurat kwestia sałatki jarzynowej upodobała narodowe spory Czechów do sporów Polaków. Polacy kłócą się o to, czy placki ziemniaczane powinny być z cukrem, czy solą. Czesi o sałatkę jarzynową kłócą się tak samo. O to, co powinno się w niej znaleźć, a co nie. Na stole zawsze jest karp. Karp jest bardzo mocno zakotwiczony w czeskiej kulturze. Czeszy są krajem o największej liczbie stawów na świecie. W całym kraju mamy tylko osiem jezior. Zrobiliśmy więc sobie własne jezioro. Obecnie w Czechach mamy około 25 tysięcy stawów, przy czym w Polsce staw rybny kojarzy się z wykopaną prostokątną albo okrągłą dziurą. U nas to są stawy na groblach, w dolinach i często to stawy zakładane w średniowieczu. Bardzo często wyglądają więc jak zwykłe jezioro. Stawów mamy od groma i hodujemy od groma tych ryb, których właściwie nie jemy, chyba że jest Wigilia. W Wigilię karp smażyony w panierce - obok sałatki jarzynowej - jest elementem nieodzownym.

A kolędy?

Jak najbardziej. Rodzime, w tym z czasów husyckich, jak chyba najpopularniejsza czeska kolęda „Narodził się Chrystus pan”. Oczywiście też kolędy niemieckie - jak w Polsce, ale śpiewane po czesku. Zresztą -

a propos wpływów niemieckich - po czesku Boże Narodzenie to są Vánoce, czyli staroniemiecki Weihnacht. Co tam jeszcze jest... Jest ciasto, nazywa się Vánočka, czyli ciasto bożonarodzeniowe. Przypomina trochę chałkę, choć jest trochę cięższe, bardziej zwarte. Też splatane jest jak chałka, robione z drożdżowego ciasta, z dużą ilością bakalii. Tak jak w Polsce tradycyjnie jest dwanaście wigilijnych potraw, w Czechach powinno być jak najwięcej rodzajów Vánočního cukroví, czyli słodczy, bożonarodzeniowych ciasteczek. Piecze się je na potęgę, w milionach różnych rodzajów. Jest trochę zwyczajów, które w Polsce byśmy łączyli z andrzejkami. W tradycji Bożego Narodzenia są wróżby, jak rzucanie butem przez ramię, krojenie jabłek, itd. Ważnym obyczajem jest zakaz wstawania od stołu. Jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć, bo kto wstanie, ten umrze (śmiech). W moim domu ten obyczaj jest bardzo restrykcyjnie przestrzegany.

To ile musisz siedzieć przy stole?

Siedzisz, dopóki nie zjesz wiecej. Jest coś takiego, że dba się, by przynieść wszystko, by wszystko na stole było. Wstanie od stołu, żeby np. donieść coś na stół, to niezłe faux pas. Bardzo mocną czeską tradycją wi-

gilijną jest zlaté prasátko - złota świnka. Generalnie chodzi o to, że jak pościsz cały dzień - do wigilijnej kolacji, to masz szansę zobaczyć złotą świnkę. A kto zobaczy złotą świnkę, ten w nadchodzącym roku będzie miał dużo szczęścia, powodzenia i oczywiście pieniędzy.

Domyslałem się, że co roku widzisz złotą świnkę?

Zasadniczo to bardzo praktyczny obyczaj. Chodzi o to, żeby ludzie - szczególnie dzieci - nie podjadali przez cały dzień i potem jedli wszystko, co na wigilijnym stole się znajduje. U mnie w domu, żeby nas motywować, zawsze brali taką świnkę-skarbonkę, owijali ją pazłotkiem, wieczorem stawali gdzieś na szafie i pokazywali: „Patrz, złota świnka!”. Na wigilijnym stole bywa - choć nie u każdego - schabowy. Ale rzadziej bywa, niż nie bywa.

Wigilia jest więc mega rodzinna, mega tradycyjna. A pierwszy i drugi dzień świąt?

Pierwszy i drugi dzień świąt również.

Znowu siadacie do stołu i jak wstaniesz, to umrzesz?

Tak. Znowu siadamy do stołu, tylko ze wstawaniem to tradycja stricte wigilijna. Ale święta to czas bardzo rodzinny, przy czym jeszcze Święty Szczepan - czyli pierwszy dzień

świąt - to czas odwiedzin. Rodziny się odwiedzają, organizują rodzinne obiady.

Czy Czesi mają świeckie tradycje związane ze świętami?

Mówiłem o pastercie na dworcu w Pradze. Mówiłem o bojach o sałatkę jarzynową. Od kilkunastu lat mamy obyczaj produkcji fabularnych bajek bożonarodzeniowych przez telewizję. Od lat 50. tych bajek wyprodukowaliśmy chyba 700 czy 800. W Wigilię pokazywane są od 1989 roku. To są zwykle pełnometrażowe bajki. I nowa bajka zawsze ma premierę w Wigilię o godz. 20. Jak tylko się skończy, rozpoczyna się o niej dyskusja.

CV



FOT. W. WOTKIEWICZ

Jakub Medek

Dziennikarz radia Tok FM. Prowadzi podcast „Czechostacja”. Autor książki „Dobry den. Chmiel, tożsamość i luz. Polskie mity o Czechach” (wyd. Mando, 2025)

REKLAMA

0011444898



Wesołych Świąt
i Szczęśliwego
Nowego Roku
życzy



JOANNA PRZETAKIEWICZ: SZCZĘŚCIE NIE ZNAJDZIE NAS SAMO. TO MY MUSIMY O NIE ZADBAĆ

– Cierpienie nie uszlachetnia. W akcji „Nie!Wypaleni” i w Erze Nowych Kobiet uczymy, że Polacy i Polki mają prawo odpoczywać, zarabiać więcej, cieszyć się swoimi sukcesami bez wstydu i bez przeproszania. Bo życie ma mieć sens i cel – mówi Joanna Przetakiewicz

Anita Czupełny

Obserwowałam kobiety, które czekały na spotkanie z Panią i widziałam u nich niesamowitą ekscytację z tego powodu, że zaraz Panią zobaczą. Chciałam więc Panią zapytać: co Pani im robi?

(Śmiech). Dobre pytanie! Od momentu, kiedy powstała Era Nowych Kobiet, widzę, że między nami wydarzyło się coś ważnego. Nie chcę brzmieć górnolotnie ani ezoterycznie, bo to byłoby śmieszne, ale naprawdę zbudowałyśmy zaufanie i wzajemną sympatię. A przede wszystkim wiarę, bo wiele z nas przeszło bardzo dużo, i że możemy sobie ufać i mieć do siebie szacunek. Już to, co wydarzyło się na pierwszym spotkaniu, było absolutnie niesamowite. Przyjechało wtedy trzydzieści kobiet. Wybrałam je spośród tych, które pisały komentarze na Instagramie.

To było siedem lat temu.

Niemal równo, bo w listopadzie 2018 roku. Spotkałyśmy się w apartamencie hotelowym, bo tak było najwygodniej. Pamiętam, że wtedy przeczytałam badania WHO, z których wynikało, że my, Polki, jesteśmy na ostatnim miejscu, jeśli chodzi o uznanie własnej atrakcyjności, a co za tym idzie, poczucie własnej wartości. Na 42. miejscu! Nie mogłam w to uwierzyć. To mną wstrząsnęło. A zatem na pierwsze spotkanie Ery Nowych Kobiet przyjechało trzydzieści dziewczyn. Dziś jest nas prawie milion. Mamy 79 oddziałów, 117 liderki i, szczerze mówiąc, ta energia jest cały czas taka sama. Wiemy więcej, rozwijamy się szybciej, uczymy się od siebie, nieprawdopodobnie rośniemy i budujemy wspólnotę. Przyznaję, że już wtedy poczułam, że to będzie coś wielkiego.

Kiedy niedawno, rozpoczynając akcję „Nie!Wypaleni”, pa-trzyła Pani ze sceny na tłum kobiet, kogo Pani widziała? Pani fanki? Wspólnotę? Ruch społeczny?

To w ogóle nie ulega wątpliwości, to nie jest tłum fanek, które pytają mnie, jakiego szamponu używam. To jest ruch społeczny i wspólnota. Bo czym innym jest jednorazowa akcja dotycząca konkretnego kryzysu, jak Czarny Protest, a czym innym ruch, który się rozwija, przetrwała i buduje ogromną, trwałą wspólnotę. Era Nowych Kobiet to takie bardzo nowoczesne plemię. Najciekawsza jest jego różnorodność. Po pierwsze – pokoleniowa. Bardzo często nasze dziewczyny przyprowadzają swoje nastoletnie córki, ale też swoje mamy. Najstarsza uczestniczka naszego spotkania miała 89 lat; to była mama jednej z naszych liderki. Średnia wieku to trzydzieści kilka lat, ale fakt, że są tam babcie, mamy, córki i wnuczki, sprawia, że ten ruch rozciąga się na cztery generacje. I to jest cudowne, bo jest demokratyczne. Po drugie – różnorodność społeczna i zawodowa. Nie skupiamy wokół siebie tylko kobiet z zarządów korporacji. To są przeróżne kobiety. Te, które mają swoje biznesy, ale też te, które nie pracują zawodowo i są mamami w domu. Są kobiety pracujące w korporacjach, są manikiurzystki, pielęgniarki, prawniczki, lekarki, prezeski firm, właścicielki małych i bardzo dużych przedsiębiorstw. Każda robi coś zupełnie innego. Nie reprezentujemy jednej klasy, jednego typu kobiety biznesu. My naprawdę jesteśmy różnorodne.

Kampania „Nie!Wypaleni” pokazała wstrząsające dane: dwie na trzy osoby pracujące w Polsce mają objawy wypalenia zawodowego. Pani również przeżyła wypalenie. Może Pani o tym opowiedzieć?

Wszystkie tematy społeczne i kampanie, które podejmuję, wynikają z działalności w Erze Nowych Kobiet. Bez niej nie miałabym takiej świadomości skali problemów. Gdybym patrzyła tylko na własne doświadczenie i kilka historii wokół,

myślałabym: „To dotyczy mnie i paru osób”. A dziś wiem, że to są tematy, które dotyczą większości Polaków. Cofając się wiele lat wstecz do mojego doświadczenia, dopiero teraz zrozumiałam, że to było wypalenie. Że to się tak nazywa. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Dopiero praca z profeso-rem Piotrem Gałęckim i psychologiem Jackiem Walkiewiczem uświadomiła mi, że to był podstępny przykład wypalenia. Ponieważ bardzo często praca nie jest jedynym źródłem wypalenia, nie powinniśmy tego zawężać tylko do pracy. W kampanii działamy przez pracowników i pracodawców, bo w tej rzeczywistości mamy największy wpływ na odwrócenie kryzysu samotności i wypalenia. Ale prawda jest taka, że ten stan bierze się z wielu obszarów życia. Tak też było w moim przypadku. Byłam młodą kobietą, miałam już trójkę dzieci, studia, aplikację radcowską i rozwijałam firmę. Na każdym poziomie życia miałam tysiąc spraw. I mimo że towarzyszył mi wspólny zespół, miałam świetną współpracę i dobrze działający biznes, przeżyłam dokładnie to, co dziś opisuję się jako wypalenie. Podjeżdżając pod siedzibę firmy czułam, że ogarnia mnie takie poczucie zmęczenia i bezsilności, że robiło mi się słabo. Miałam mdłości. Nie mogłam wjechać na parking swojej firmy, bo dopadało mnie straszne poczucie przeciążenia. Wiedziałam tylko jedno: muszę sobie dać czas, muszę odejść. Więc mijałam wjazd na parking,jechałam dalej prosto, skręcałam w aleję Jana Pawła, objeżdżałam Halę Mirowską, skręcałam w prawo,jechałam Marszałkowską i znów wracałam na Grzybowską, gdzie mieściła się jedna z moich klinik. Podjeżdżałam na parking i znowu czułam to samo. Pamiętam, że potrafiłam zrobić kilka takich kółek, zanim zaciśniełam zęby, wjechałam na ten parking i z automatu zaczyna-

łam działać. Ale ten moment wjazdu odwlekałam, czasem o kilkanaście minut, czasem o pół godziny. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem dziś, oszczędziłabym sobie dużo smutku, bezradności i bezsilności. Wtedy tego nie wiedziałam. Odczuwałam przede wszystkim wstyd. Wstyd, że się tak czuję. Bo skoro mam sukces, zarabiam, wszystko idzie dobrze, dzieci są zdrowe, to po- winnam być tylko wdzięczna. A ja czułam wstyd i straszliwe skrupowanie, że w ogóle tak się czuję. Nikomu o tym nie powiedziałam. Nawet najbliższej przyjaciółce. A przecież zawsze najtrudniejsze tematy w życiu rozbrajam z pomocą swojego najbliższego plemienia, czyli przyjaciółek. Tym razem przeczytałam się, trwałam i przetrwa-łam. Prawdą jest, że odebrałam sobie wiele miesięcy leższego życia. Gdybym wiedziała, co wtedy robić, jak to nazwać i gdzie szukać pomocy, byłoby mi o niebo łatwiej.

Na czym dokładnie polega ta kampania?

Akcja „Nie!Wypaleni” opiera się na trzech filarach. Po pierwsze: diagnoza i uświadomienie problemu. Mówimy ludziom: „Nie jesteś z tym sam, nie jesteś sama”. To dotyczy większości pracujących Polek i Polaków. A Polki pracujące w domu mają często jeszcze więcej obowiązków, więc realnie dotyczy to ogromnej części dorosłego społeczeństwa. Po drugie – dajemy konkretną wiedzę i narzędzia. Na stronie niewypaleniwpracy.pl udostępniłyśmy dwa programy przygotowane przez wybitnych ekspertów. Pierwszy, przez zespół profesora Piotra Gałęckiego, krajowego konsultanta w dziedzinie psychiatrii. Drugi, przez psychologa, mentora i mówcę motywacyjnego Jacka Walkiewicza. To nie są żadne ciężkie kursy, tylko wiedza napisana prostym, ludzkim językiem, do ogarnięcia po pracy, bez wielogodzin-ego skupienia. Bardzo przy-

stępna, bardzo po polsku i dla każdego. Po trzecie, osadzamy kampanię w realnym świecie pracy. Na naszej stronie każdy, anonimowo, może zgłosić swój wniosek: co zrobić, żeby pracowało nam się lepiej. Czy to pielęgniarka, kasjerka, dyrektor marketingu albo właścicielka małej firmy. Chodzi o proste, praktyczne pomysły z każdej branży, które poprawią komfort pracy i wydajność, ale przy mniejszym koszcie dla zdrowia. Bo problem jest bardzo konkretny: jesteśmy jedynym z narodów, które pracują najdłużej i najciężiej, a mamy jedynie około 70 proc. wydajności Zachodu. Czyli braki nadrabiamy harówką. To prosta droga do wypalenia.

Często słyszę, że jestem z pokolenia „kultury zapie...lu”. Przez lata wręcz się chwaliłiśmy przepracowaniem. Jak zmieniać te przekonania? Że nie musimy zawsze „dawać radę”? Że można, jak pokolenie naszych dzieci, czyli popularne Zetki, o godzinie 17 wyłączyć służbowy telefon? Przyznam, że ja telefony z pracy odbieram o każdej porze.

No właśnie i najwyższy czas, żebyśmy sobie jasno powiedzieli: cierpienie nie uszlachetnia. Oczywiście trudne doświadczenia mogą nas budować, ale jeśli wciąż powtarzamy, że cierpienie uszlachetnia, to tak naprawdę wbijamy sobie do głowy, że odpoczynek, przyjemność i radość są czymś płytkim, głupkowatym i trochę wstydliwym. Kiedy słyszę, że „szczęście samo cię znajdzie”, zastanawiam się, kto wymyślił taką bzdurę. Szczęście nie znajdzie nas samo. To my musimy zadbać o siebie i o swoje pokolenie, żeby odwrócić zjawisko, które jest de facto autoagresją i autoprzemocą. Zamiast mówić: „Muszę odpocząć”, prze-chwalamy się przepracowaniem: „Nie byłam w kinie od dwóch lat”, „Nie przeczytałam żadnej książki”, „Nie miałam wolnego weekendu od dwóch lat”, „Mam 74 dni za- ległego urlopu”, „Najpierw we-sele i remont, przez pięć lat nigdzie nie wyjedziemy”. I tak się programujemy. Utrwalamy w sobie przekonanie, że radość, świętowanie sukcesu, przyjemność są podejrzone. Do tego do-chodzi stary, toksyczny komunikat: „Nie chwal się, bo będą zazdrości”. Badania pokazują, że jednym z naszych największych lęków jest lęk przed oceną społeczną. Więc zamiast cieszyć się z sukcesu i doceniać siebie, chowamy go, umniejszamy, przeproszamy za niego. Znamy to wszystkie: ktoś mówi „Świetnie wyglądasz”, a my od razu: „Daj spokój, koszula z przeceny, beznadziejnie dziś wyglądam”. Albo na pytanie „Co słychać?” odpowiadamy automatycznie: „Stara bida”. Żyjemy w energii braku zamiast w energii rozwoju. Tymczasem rozwój to także umiejętność powiedzenia: „To mi nie wyszło, ale się czegoś nauczyłam”. To jest coś, co w Polsce trzeba promować: docenianie siebie, pracy, wysiłku, nawet błędów, z których wyciągamy wnioski. A jednocześnie, jako kraj, jesteśmy dwudziestą gospodarką świata. Od 1989 roku rozwijaliśmy się trzy razy szybciej niż kraje Zachodu.

To też ma swoją cenę.

Oczywiście. Dobiegliśmy do mety bardzo zmęczeni. Mamy prawo czuć się wypaleni. I dlatego dziś jednym z największych wyzwań społecznych jest zadbanie o nasz kryzys mentalny. W zeszłym roku zrobiliśmy pierwszą część tej akcji i równocześnie zawiązałyśmy koalicję przeciwko samotności. Bo samotność to kolejna pandemia. Pogłębił ją COVID i lockdown, ale swoje zrobiły też praca zdalna, hybrydowa, cyfryzacja relacji. Mamy setki znajomych w mediach społecznościowych, ale często nie mamy kogoś, kto przyjdzie nakarmić nam kota. Nie ma dziś większego wyzwania niż to, że-



Dobro i piękno? Czysta natura!

O tym, jak zielonogórskie choinki...

Prawie od dekady już, podarek leśników dla mieszkańców Winnego Grodu nadaje miejskim dekoracjom świątecznym nie tylko niepowtarzalnego klimatu, ale i powodu do dumy. Dumy z drzewka, miasta i siebie samych. Bądźmy więc dumni i świętujmy!

Było tak. W 2016 r. na zielonogórskim deptaku stanęła miejska choinka. Okazała. Zdobna. Nie sposób było odmówić jej walorów dekoracyjnych. Poza tym, że była... sztuczna. Przechodzący przez starówkę dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych przystanął przed nią i zadumał się. Uderzyła go myśl, że stolica najbardziej zalesionego regionu w kraju powinna mieć piękne naturalne drzewo. Pomysł spodobał się prezydentowi.



„Prosto z lasu „panna zielona” trafiła na Deptak, któremu dodaje wyjątkowego blasku

Fot. Zuzanna Andrzejczak

Tak oto zakiełkował pomysł, który świętowanie miał przeciągnąć do połowy stycznia, zasilić i ozdobić miejską zielenią oraz wiele przydomowych ogródków, przyczynić się do powstania niejednego dzieła sztuki, zaprowadzić miasto na stronę National Geographic. Przede wszystkim zaś – w duchu radości i zabawy budować ekologiczną świadomość młodszych i starszych zielonogórzaninem zobowiązuje.

Dobro z natury

Zadaniem leśników jest prowadzenie gospodarki leśnej. Obejmuje ono pozyskiwanie drewna, ale nie jest to jedyne, ani nawet główne zadanie. To przede wszystkim dbałość o utrzymanie równowagi w leśnych ekosystemach, monitorowanie i wspieranie gatunków zagrożonych, opieka nad obszarami chronionymi, walka z chorobami i szkodnikami oraz wiele innych. Druga, głębsza prawda to taka, że nie da się wykonywać tej pracy, nie kochając przyrody. Nikt nie wybiera zawodu, który wy-

maga wielogodzinne przebywanie w lesie w każdą pogodę, nie kochając bycia w nim. To miłość, która nie mija z wiekiem.

Leśnicy wiedzą, że las musi rosnąć i w jak największej zgodzie z naturą i w miejsce sosnowych monokultur sadzą lasy mieszane. Leśnicy wreszcie: nie cierpią marnotrawstwa. Choć sami sprzedają choinki pochodzące ze specjalnych plantacji, wiedzą, że kilka tygodni zdobienia domu nie wystarczy, by wycięcie drzewka w pełni uzasadnić i wykorzystać.

Kiedy więc pojawił się pomysł darowania mieszkańcom drzewka, które w wyjątkowy sposób, jak nic innego wprowadzić może do miasta prawdziwie świąteczny nastrój, wiadomo było, że ten podarek musi posiadać większy, głębszy sens. Idea zakiełkowała, puściła jeden zielony pęd, po nim kolejne. Po-
stanowiono, że każda miejska choinka przerabiana będzie na przedmioty piękne i użyteczne. Tak właśnie rodziła się akcja, która wszystkim miejskim choinkom miała darować „drugie życie”, a zielonogórzanom pokazać, jak wartościowym jest drewno.

Jak to często bywa, za jednym pomysłem idą kolejne. Tak rozrastał się i ten. W efekcie powstała akcja realizowana w bliskiej współpracy z miastem Zielona Góra. Tak oto „Dobro z natury” trwa już od dziewięciu lat.

Panna zielona

4 grudnia 2017 r. na zielonogórskim deptaku pojawił się gość wyjątkowy – dwunastometrowy, pachnący żywicą świerk o kroju gałązek regularnym, niczym ze świątecznej pocztówki. Przyjechał z Niwisk, gdzie leśnicy z nowosolskiego nadleśnictwa wybrali starannie drzewo nie tylko piękne, ale i takie, które i tak przeznaczone by było do wycięcia w ramach cięć pielęgnacyjnych, a przy okazji rosnące blisko miasta. Świerk powitany został uroczysto, światelka na nim zapalono z pełną pompą w asyście tłumnie zebranych mieszkańców. A po kilku tygodniach cieszenia oczu i serc rozpoczął nową drogę, wyznaczając ścieżkę dla wszystkich swoich następców. Zmienił się w materiał: urodziwy, wartościowy, ponadczasowy.

Od tego czasu ze świątecznych drzewek powstały i powstają budki legowe i karmniki, meble na oddział dziecięcy zielonogórskiego szpitala, obrazy namalowane na specjalnie przygotowanych deskach – następnie przekazane



Symboliczne zapalenie lampek na zielonogórskiej starówce przyciąga corocznie tłum mieszkańców.

Fot. Grzegorz Olejarsz

na cele charytatywne, drewniane krążki z miniaturowymi dziełami sztuki. A worek z pomysłami zdaje się nie mieć dna.

Od „tragedii” po National Geographic

Jak wybierane są drzewka? Na pewno nadrzędnym kryterium nie jest uroda. Do miasta przyjeżdża, owszem, najpiękniejsze drzewo, ale spośród tych, które i tak przeznaczone są do wycin-
ki. Jesteśmy krainą sosny, więc o jodły i świerki nie jest wcale łatwo. W nadleśnictwach każdego roku wycinane są drzewa, które rosną pod liniami energetycznymi oraz w miejscach, w których zagrażają bezpieczeństwu. Kiedy osiągną krytyczną wysokość, trzeba je wyciąć. Dwie ostatnie zielonogórskie choinki pochodzą spod siedziby Nadleśnictwa Babimost, gdzie rosły wiele lat, aż ze względu na swoje rozmiary i lokalizację zaczęły zagrażać bezpieczeństwu budynków i pracujących w nich ludzi. Pożegnano się z nimi z żalem.

Nie zawsze jednak „do dyspozycji” są okazy o idealnym, baśniowym wręcz pokroju. Tak było w 2022 r. gdy ogromna przykrość spotkała świerk, który przywędrował do miasta z jednego z nadleśnictw. Nie spodobał się

władzom miasta. Nazwano go „tragedią” i oznajmiono, że jest „do wymiany”. Ostro replikował wówczas dr Sebastian Pilichowski, biolog UZ: – Poniewieraniem drzewa w każdą stronę, które koniec końców ma słu-

powiedziało się za pozostawieniem świerku. Próbowali oponować i tłumaczyć leśnicy. Niestety, pod naporem władz miasta skapitulowali. Na starówkę przyjechało nowe drzewko, ale tylko dlatego, że i tak było przeznaczone do wycięcia. Zdobiąca za to Stary Rynek w ubiegłym roku malownicza jodła została zauważona nie tylko w mieście. Jej urodę docenił magazyn National Geographic Traveler Poland, zamieszczając jej zdjęcie na Facebooku i porównując ją do choinki z Rynku Głównego w Krakowie. Niby nic wielkiego, jeśli jednak wziąć pod uwagę, że ta krakowska w rankingu magazynu „Time Out” została uznana za najpiękniejszą na świecie, wyprzedzając drzewka m.in. z Nowego Jorku czy Waszyngtonu, sprawa nabiera blichtru.

Nie to jest jednak najważniejsze, a poczucie wspólnoty, jakie buduje akcja zakończona corocznie ekologicznym festynem. Szacunek do tego, co daje nam przyroda. Świadomość ile jej zawdzięczamy. Wreszcie: skumulowane dobro, gdy w budkach zamieszkają ptasie rodziny, a dzieła sztuki stworzone dłońmi lubuskich artystów trafiają na licytację charytatywne. Bo las trzeba kochać. I szanować. I kropka.

Joanna Turakiewicz-Pietras



Ubiegłoroczną jodłę doceniła redakcja National Geographic Traveler

Fot. National Geographic Traveler

żyć tylko za rusztowanie dla lampek, to ja gardzę – napisał. Świadomością ekologiczną wykazali się wówczas również mieszkańcy. W ankiecie „Gazety Wyborczej” aż 69% głosujących



Choinkami nakarmią zwierzęta i zasilą miejskie rośliny

Każdego roku w Zielonej Górze pozostaje po świętach od kilkunastu do przeszło 20 tys. świątecznych drzewek. Najlepsze, co możemy z nimi zrobić, to mądrze wykorzystać. W Zielonej Górze tak właśnie się dzieje.

Choinek było więcej

W trakcie burzy mózgów nad ponownym wykorzystaniem miejskiej choinki, ktoś słusznie zauważył, że w niemal 140-tysięcznym mieście choinek jest przecież dużo więcej. Z nich też można jeszcze sporo dobrego zrobić.

Zakład Gospodarki Komunalnej od 2018 roku zbiera i zagospodarowuje drzewka po świętach, traktując je jako materiał do użytkowania gleby pod roślinami kwasolubnymi, rosnącymi na miejskich skwerach. Z zainteresowaniem przyjęto ten pomysł, aby pokazać mieszkańcom, jak wiele można osiągnąć dzięki prawidłowej segregacji odpadów. Mieszkańcy mają możliwość otrzymania choinkowych zrębków do swoich ogrodów.

Zaproszono więc do wspólnej akcji

mieszkańców, którzy w określonych dniach mieli wystawiać drzewka przy pergolach śmietnikowych. Stamtąd odbierał je zorganizowany przez Zakład Gospodarki Komunalnej „Eko Patrol”. I ta idea została przyjęta przez zielonogórzan z entuzjazmem. Każdego roku patrole zbierają coraz więcej drzewek – od ok. 10.000 w 2020 r. do niemal 24.000 w 2024 r. - a organizowane wydarzenia przyciągają coraz większe grono zainteresowanych. Każdy, kto przyniesie drzewko na festyn ekologiczny organizowany na podsumowanie akcji, może liczyć na zrębki, które posłużą jako podłoże albo ściółka dla roślin kwasolubnych lub ozdoba działki, czy też przydomowego ogródka. Zrębki wykonywane „od ręki” ku szczególnej ucieście najmłodszych widzów. Wykorzystuje się

je też w pielęgnacji miejskiej zieleni na skwerach i w parkach. Dotąd trafiły m.in. na Rondo Batorego, Parku pałacowego w Zatoniu oraz Piastowskiego. Część choinek trafia do gospodarstw agroturystycznych, gdzie stanowią nie lada smakołyk dla zwierząt. Dlatego tak ważne jest, by drzewka pozostawione pod pergolami pozbawione były wszelkich ozdób, w szczególności takich, które w składzie mają tworzywa sztuczne, szkło i metal.

Choinki zbierane będą, jak zwykle, w styczniu. Dokładne terminy Zakład Gospodarki Komunalnej ogłosi, m.in. na swoim profilu facebook-owym oraz na stronie internetowej www.zgk.net.pl. Informacje o akcji pojawiają się także w lokalnych mediach oraz na stronach internetowych organizatorów Ekochoinki.



Podczas festynu ekologicznego organizowanego na podsumowanie akcji, zrębki powstają na oczach mieszkańców
Fot. Jacek Katarzyński

Dobro płynie z natury. Zwracamy choinki naturze

Najważniejsza świąteczna ozdoba to cenny surowiec albo odpad, który można ponownie wykorzystać. W mieście zaś liczącym przeszło 138 tysięcy mieszkańców, pole do popisu jest spore. Pomyślcie tylko: 12-metrowy świerk ze starówki i ponad 20 tys. domowych choinek: ile to drewna? I co z nim zrobić?



Wręczenie wykonanych przez leśnika - stolarza mebli dostarczyło wielu wzruszeń
Fot. Robert Zimny

Dobro dla ludzi

Po raz dziewiąty już dar od leśników dekoruje zielonogórski deptak. I tym razem jego przeznaczeniem jest nie tylko zdobić, ale i pomagać. Wkrótce po tym, jak przez miasto przejdzie orszak Trzech Króli, służby miejskie pozbawią drzewko ozdób, a leśnicy... wrzucą je na warsztat. Z dolnej, grubszej części dnia powstaną piękne deski, a z górnej - oszlifowane na gładko krążki. To pierwszy etap.

W drugim, powstały materiał zostanie wysuszony, posegregowany i przekazany do dalszych prac. Najpiękniejsze deski, te o niepowtarzalnym rysunku

słoi oraz krążki trafią do artystek i artystów, którzy przemieniają je w prawdziwe dzieła sztuki. Te z kolei trafią potem na aukcję charytatywną. W ciągu minionych lat powstało w ten sposób ponad sto dzieł, autorstwa kilkunastu artystów. W zamyśle znalazły się m.in.: Aneta Janecka, Sylwia Gromadzka-Staśko, Dominik Staśko, Robert Jurga, Renata Brzozowska, Małgorzata Maćkowiak, Elżbieta Stelmaszuk, Dorota Komar-Zmyślony, Lilianna Lili Batory, Hanna Najdowska, Janusz Orzepowski, Krystyna Sułkowska, Halina Skindzier i grupa malarska „Halszki”, Jadwiga Sawicka, Mirosław Szuń,



Jedna z „matek” projektu „Dobro z natury” - Ewelina Fabiańczyk
Fot. Mariusz Kapala

Sylwia Janczyszyn i wielu innych.

Co ciekawe, popularność akcji wśród twórców dawno już przekroczyła granice miasta i województwa: - Zgłaszają się do nas artyści z całego kraju - deklaruje Urszula Kaczała, specjalistka ds. turystyki leśnej, promocji i mediów w wydziale komunikacji społecznej Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Zielonej Górze. - Przykładem jest gdańszczanka zajmująca się pirografią, czyli wypalaniem obrazów w drewnie, które jest wdzięcznym materiałem, umożliwiającym pracę wieloma technikami. Wśród prac pojawiły się również rzeźby. Autorem jednej z nich



Świeża choinka na deptaku i mysikrólik na krążku z poprzedniego roku
Fot. Ewelina Fabiańczyk



Praca pt. „MY” wykonana przez malarza i rzeźbiarza Janusza Orzepowskiego
Fot. Ewelina Fabiańczyk

jest znany zielonogórski artysta Dominik Staśko.

Z kolei w 2019 r. jeden z leśników, zapalony stolarz wykonał z choinkowych desek zestaw mebli na oddział dziecięcy zielonogórskiego szpitala: - Zanieśliśmy na oddział meble, ale też spędziliśmy z młodymi pacjentami świetny czas - opowiada Ula Kaczała. - Czytaliśmy im bajki, przeprowadziliśmy zajęcia edukacyjne. Wyszło naprawdę wzruszająco. Okazało się, że w tym czasie na oddziale przebywało również dziecko leśnika.

Dobro dla zwierząt

Leśnicy zwracają też drewno przyrodzie, choć w zmienionej

formie. Każdego roku część desek przeznaczona zostaje na produkcję budek lęgowych oraz karmników dla ptaków. Wykonane z drewna elementy małej infrastruktury dla zwierząt stanęły m.in. na skwerze przed budynkiem RDLP w Zielonej Górze.

Część drzewek pochodzących od zielonogórzan trafia też do pobliskich agroturystyk, gdzie zostają spałaszowane przez hodowane w nich zwierzęta: alpaki i kozy. To dla nich nie lada przysmak. Być może w smaku kozich serków można było wyczuć woń naturalnej choinki z lasu?

Joanna Turakiewicz-Pietras

3 ŚWIĘTA PACHNĄ LASEM



Lasy Państwowe

Misja Choinka: kupujemy drzewko piękne i trwałe

Wybór choinki to dla wielu rytuał, który otwiera okres świąteczny. Marzy nam się drzewko trwałe, o regularnym pokroju i intensywnie żywicznym zapachu. Jak wybierać, by ta romantyczna wizja nie przegrała z rzeczywistością? Podpowiada leśniczka, Anna Niemiec z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Zielonej Górze.

Krok 1: gdzie szukać?

Niby nie powinna to być trudna sprawa, bo już od listopada o iglaki można się potknąć przy większości marketów, ogrodnictw i na targowiskach, a jednak zanim wysupłasz gotówkę albo przyłożysz kartę do czytnika, warto przemyśleć kilka spraw. Pierwsza i najważniejsza? Upewnij się w jednym: że nie niszczyś lasu. Jak podejść do tematu?

- Najważniejsze, to upewnić się, że drzewko pochodzi z legalnego źródła - rekomenduje nasza rozmówczyni. - Każdy, kto prowadzi sprzedaż choinek, musi mieć przy sobie świadectwa pochodzenia. Wydają je plantacje albo nadleśnictwo, z którego terenu drzewka pochodzą, a sprzedający ma obowiązek je okazać. - podpowiada leśniczka.

Krok 2: jaki gatunek wybrać?

Nie ma jednej „idealnej” choinki. Wszystko zależy od budżetu i tolerancji na sprzątanie. Na plantacjach, a zatem i w sprzedaży przewijają się kilka gatunków: - Najbardziej popularny, bo najłatwiejszy w hodowli, a przez to i najtańszy, jest świerk zwyczajny - mówi Anna Niemiec i zaznacza, że drzewko jako choinka nie jest jednak idealne, bo choć ma ładny pokrój, pachnie obłędnie, intensywnie żywicznie, to w ciepłych mieszkaniach szybko gubi igły.

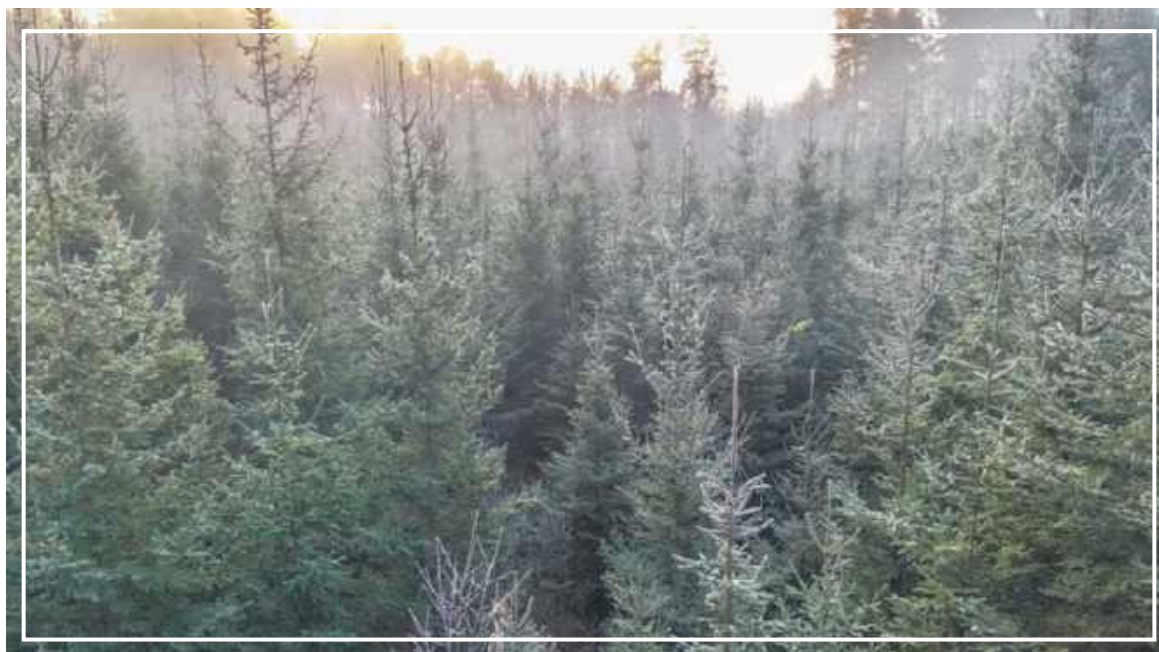
Nieco lepiej pod tym względem prezentuje się świerk srebrny o pięknych, sztywnych gałęziach w odcieniach szarości i błękitu - droższy, mniej dostępny.

Choinkowym ideałem jest dla naszej ekspertki całkiem inny gatunek: - Szczep polecam jodłę, która ma piękny regularny kształt. W modzie są teraz jodła koreańska, a przede wszystkim kaukaska. Jej igły są miękkie, ciemnozielone i błyszczące, a co najważniejsze - nie opadają, lecz zasychają na gałęzi. Zapach ma bardzo delikatny, bez porównania do świerku, ale długie tygodnie zachowuje wygląd jak z bajki Disneya. - uśmiecha się pani Anna.

Krok trzeci: test świeżości

Dlaczego świerk, który na placu wyglądał całkiem nieźle, dwa dni po wniesieniu do mieszkania funduje nam na podłodze gruby dywan igiełek? Kluczowa jest odpowiedź na pytanie, kiedy był ścięty. Jeśli w listopadzie... - Och, na plantacjach, to nawet we wrześniu! - śmieje się nasza specjalistka - Transport, pakowanie w siatki, dystrybucja do sieci sprzedaży, to wszystko zajmuje mnóstwo czasu. To nie tak, jak u nas, że świeżo ścięte drzewka i sprzedajemy na bieżąco.

Niestety, większość z nas skazana jest na okazy z placów pod marketami. Przyda się więc kilka wskazówek. Co jest najważniejsze, zdaniem leśniczki? - Przede wszystkim zapach, który intensywnie wydzielają tylko świeże drzewka - rekomenduje pani Anna - Po drugie, trzeba drzewkiem potrząsnąć i sprawdzić, czy nie opadają igły. Na świeżym trzymają się mocno. Można też sprawdzić miejsce cięcia, które początkowo jest



Plantacje choinek zakłada się na ogół w miejscach, w których las nie może rosnąć, np. pod liniami energetycznymi

Fot. Wiesław Płachciński

lepkie od świeżej żywicy, a potem schnie i blednie.

Krok trzeci: Logistyka i aklimatyzacja

Jak postąpić z zakupioną choinką? To zależy. Kiedy występują mrozy, świeżo przyniesioną z zewnątrz należałoby poddać parodniowemu procesowi aklimatyzacji: na początek postawić w nieogrzewanym garażu lub innym chłodnym pomieszczeniu, a dopiero później przenieść do mieszkania. Jednak tak ciepły grudzień, jak tegoroczny, nie wymaga

ga dodatkowych zabiegów. Najważniejsze jest zachowanie się do dwóch zasad: - Po pierwsze: stawiamy jak najdalej źródeł ciepła - radzi nasza ekspertka - Najlepiej też od razu wstawić ją do pojemnika z wodą. Choinka zassie wodę i będzie stała dłużej.

Co po świętach?

Jeżeli rozglądasz się za choinką w donicy, bo po świętach chcesz ją posadzić w ogrodzie, pamiętaj, że nie każde drzewko się do tego nadaje. W zasadzie niewiele z tych sprzedawa-

nych w donicach ma szansę się przycięć, gdyż na ogół są one wykopywane z plantacji z mocno okrojoną, uszkodzoną bryłą korzeniową - zapewni im dłuższą trwałość, ale nie - szansę na ponowne posadzenie. Taką możliwość daje tylko zakup rośliny od początku uprawianej w donicy.

Iglaki cięte oraz nie nadające się do posadzenia wyciągamy z donic i ustawiamy pod wiatą śmietnikową, skąd odbierze je według ustalonego harmonogramu Eko Patrol Zakładu Gospodarki Komunalnej w Zielonej Górze. A co dalej się z nimi stanie? To już całkiem inna historia.

Plastikowa doskonałość czy leśny chaos?

Sztuczna? Idealnie symetryczna, wiecznie zielona, co roku w innych trendach. A może... naturalna? Kapryśna, gubiąca igły, wymagająca, ale... prawdziwa. Przez lata wstawiano nam, że kupno plastikowego drzewka to ratunek dla lasów. „Kupujesz raz, masz na lata, nie wycinasz puszczy”. Brzmi logicznie? Cóż, z punktu widzenia ekologii to logika dziurawa. Pozorna.

Spójrzmy prawdzie w oczy: sztuczna choinka to w rzeczywistości wielki, skomplikowany wyrób z polichlorku winylu (PVC) i metalu. Żeby ją stworzyć, nie wystarczy posadzić ziarenka. Potrzebna jest ropa naftowa. Dużo ropy. Produkcja jednej, średniej wielkości sztucznej choinki generu-

je około 40 kg dwutlenku węgla. To tyle, co przejechanie samochodem spalinywym około 200 kilometrów. Żeby „odrobić” ten ślad węglowy i zrównać się z bilansem drzewka naturalnego, trzeba by używać tej samej plastikowej choinki przez co najmniej 12, a według niektórych badań nawet 20 lat! Bądźmy szczerzy - kto trzyma drapak z PVC przez dwie dekady? Zazwyczaj po 5-6 latach ląduje na śmietniku.

A skoro o śmietniku mowa - tu zaczyna się horror. Sztuczne drzewko rozkłada się średnio przez 400 do 500 lat. Twoja plastikowa choinka przeżyje twoje prawnuki, ich prawnuki, a być może i cywilizację, jaką znamy, leżąc na wysypisku i powoli uwal-

niając mikroplastik do gleby.

Co więcej, proces produkcji PVC jest niezwykle wodochłonny. Przemysł petrochemiczny (niezbędny do powstania plastiku) zużywa ogromne ilości wody do chłodzenia i procesów rafinacji, często trwale ją zanieczyszczając.

W tym czasie choinka naturalna pochodzi z... uprawy. Nie wycina się jej z prastarych borów, kradnąc domowi wiewiórkom. Pochodzi z plantacji, jak kapusta czy kukurydza, albo z przecinki pielęgnacyjnej lasów. Przez 7-10 lat wzrostu naturalne drzewko pochłania dwutlenek węgla, produkuje tlen i daje schronienie ptakom. Co więcej, system korzeniowy plantacji stabilizuje glebę i chroni wody

gruntowe. Kiedy drzewko trafia do twojego salonu, a potem na odpady), rozkłada się w kilka miesięcy, wracając do obiegu materii. Zero odpadów, czysta natura.

A nawet więcej, bo w Zielonej Górze każda choinka po świętach ma szansę stać się pokarmem dla zwierząt (gałęzie) i ściółką do ogrodu albo miejskich nasadzeń. Masz pojęcie, ile pożywienia i przydatnych zrębków może powstać z przeszło dwudziestu tysięcy drzewek zbieranych corocznie w ramach akcji Eko Choinka?

I na koniec - zdrowie domowników. Sztuczna choinka, zwłaszcza ta tania, może wydelać toksyczne związki lotne (ftalany), szczególnie gdy stoi przy ciepłym kaloryferze. Do tego

jest potężnym magnesem na kurz - po roku leżenia w piwnicy czy na strychu staje się bombą dla alergików. Naturalne drzewko? Domowa aromaterapia. Olejki eteryczne (fitoncydy) wydzielane przez igliwie działają bakteriobójczo, grzybobójczo i relaksująco. Wchodzisz do domu i czujesz las, a nie rozgrzany plastik.

Werdykt jest prosty. Jeśli nie planujesz przekazywać swojej plastikowej choinki w spadku jako rodowego artefaktu przez kolejne cztery stulecia - wybierz naturę. Jest mniej idealna, trochę brudzi, trzeba ją podlewać, ale przynajmniej nie sprawia, że planeta dusi się trochę bardziej. A zapach? Tego nie podrobi żadna chińska fabryka.



Trzy choinki i ta czwarta

Najpiękniejsza za mojego dzieciństwa zawsze stała u wujostwa. Pełen pamiątek salon mieszkania w starej kamienicy przy ul. Sienkiewicza w Zielonej Górze posiadał ozdobną wnękę naturalnie oświetloną światłem z wykuszowych okien. Tę właśnie wnękę zajmowała ona. Rozłożysta i wysoka na dobre trzy metry. A na gałązkach wśród szklanych bombek – owoce, słodycze, świece.

Ta u dziadków – od dawna sztuczna, też wydała mi się piękna, choć wiem, że blado by wypadła przy dzisiejszej produkcji. Blado i zapewne tyso. Wtedy, ogrzana pełną miłości atmosferą mieszkania dziadków – była najpiękniejszą.

Domowa, choć też plastik, przytargana z piwnicy wraz z kartonami ozdób, niosła z sobą obietnicę frajdy odkrywania, kiedy każdy wyjmowany z pudełek drobiazg wywoływał skojarzenia. Każdy był niespodzianką, choć doskonale od lat znaną: „O! Patrzcie, tu są te bombki, których nie mogliśmy znaleźć w ubiegłym roku!”, „Daj mi, proszę, tę tęczę. To moja ulubiona”, „Czekoladka? Ciekawe, czy da się ją jeszcze zjeść?”.

Być może dziś idealizuję je z pełną mocą tęsknoty za dzieciństwem: magią wiary w Świętego Mikołaja, vel Gwiazdora, który niepostrzeżenie, bez otwierania okna potrafił podrzucić masę opakowanych w kolorowy papier paczek i ułożyć je całkiem zgrabnie pod świątecznym drzewkiem. Zajmowało mu to nie więcej niż minutę, gdy ja w drugim pokoju w objęciach dziadzia wypatrywałam magicznych sań na grudniowym niebie.

Dziś mam własną. A w komplecie bandę podrośniętych skrzatów, które wizję na przystrojenie drzewka mają całkiem inną od mojej, cieszą się ulubionymi ozdobami, podkradają czekoladki i cukrowe laski (fuj! Kto je cukrowe laski?). I wiedzą, skąd pod choinką biorą się prezenty, ale nadal piszą listy do Mikołaja, bo chcą zatrzymać magię świąt.

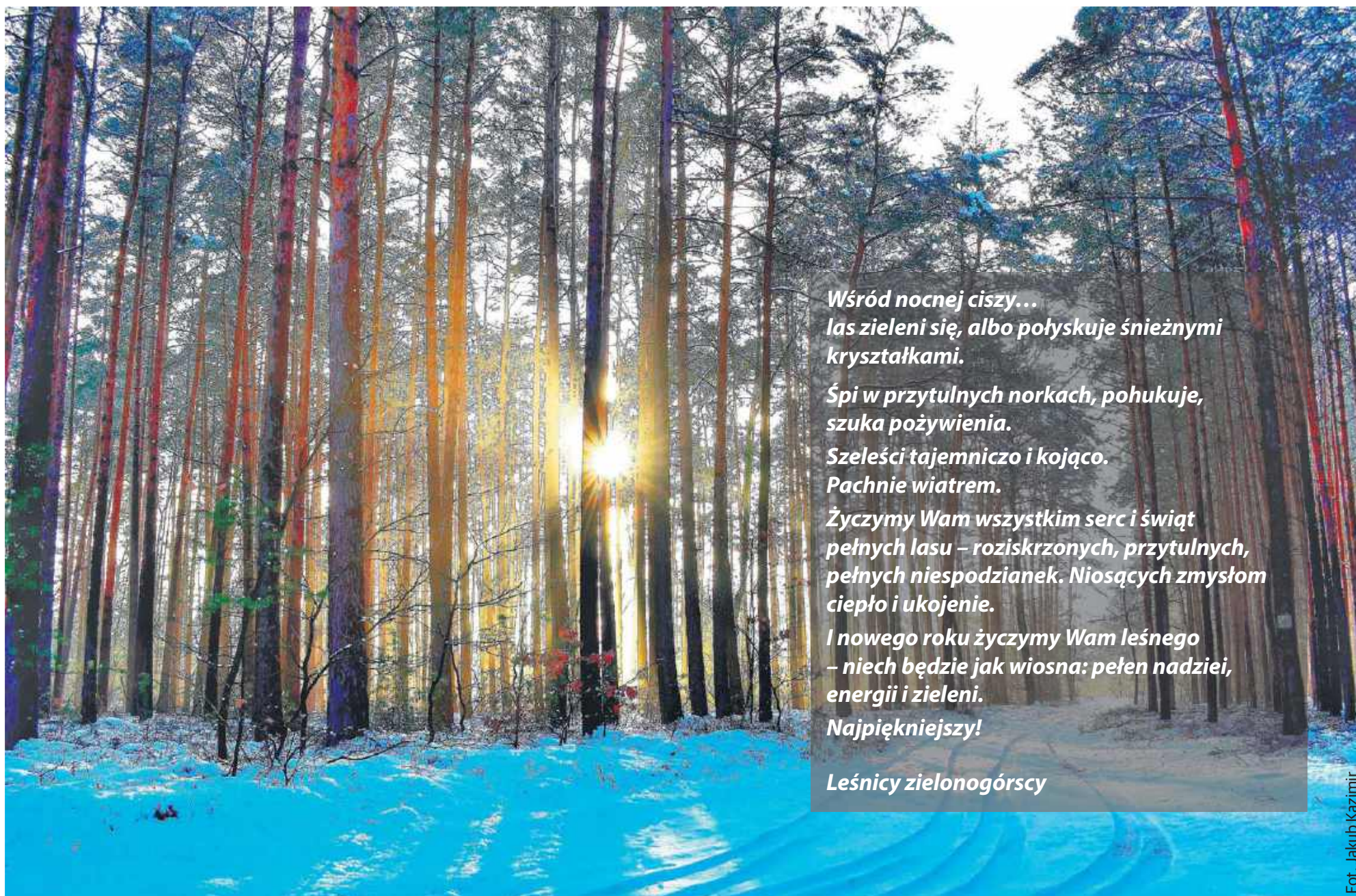
W tym roku szukamy drzewka uprawianego w donicy, by po świątach przesadzić je do większej, zadołować na trawniku pod domem i obwieścić smakołykami dla ptaków. Niech za rok wróci do nas nieco większe i pomieszka kilka dni w pachnącym piernikami rozgardlesszu.

Joanna Turakiewicz-Pietras



Najpiękniejsza choinka to ta, z którą wiążemy najlepsze wspomnienia.

Fot. Urszula Kaczała



*Wśród nocnej ciszy...
las zieleni się, albo połyskuje śnieżnymi
kryształkami.*

*Śpi w przytulnych norkach, pohukuje,
szuka pożywienia.*

*Szeleści tajemniczo i kojąco.
Pachnie wiatrem.*

*Życzymy Wam wszystkim serc i świąt
pełnych lasu – roziskrzonych, przytulnych,
pełnych niespodzianek. Niosących zmysłom
ciepło i ukojenie.*

*I nowego roku życzymy Wam leśnego
– niech będzie jak wiosna: pełen nadziei,
energii i zieleni.*

Najpiękniejszy!

Leśnicy zielonogórscy

Fot. Jakub Kazimierz

byśmy nauczyli się dbać o siebie mentalnie, nauczyli się odpoczywać. Nauczyli się szczęścia.

W debacie publicznej co jakiś czas wraca temat skróconego tygodnia pracy, elastycznych godzin, prawa do bycia offline. Co z tego jest lekarstwem na wypalenie, a co tylko ładnym hasłem?

W kampanii proponujemy dwa rozwiązania, które są dostępne dla każdego, bez ustaw, budżetów i drogich szkoleń. Nasz program zbudowany jest na dwóch osiach: życzliwości i budowaniu bliskich relacji. Od lat żyjemy w narracji rywalizacji i oskarżania się nawzajem. To widać wszędzie: pracownicy oskarżają pracodawców o zbyt duże wymagania, pracodawcy pracowników o roszczeniowość. W rodzinach przerzucamy winę między partnerami, pokoleniami. To jest potężny hamulec rozwoju. A przecież jako Polacy mamy fantastyczne zasoby: inteligencję, ambicję, ogromną pracowitość. Tylko że do tego dokładamy jeszcze talent do narzekania i krytykowania również siebie. Ten „talent” jest trucizną, z której musimy się wyleczyć. Dlatego zaczynamy kampanię w miejscach pracy, razem z Pracodawcami RP. Bo tam dorośli ludzie spotykają się najczęściej. W pracy mamy gotową wspólnotę: jesteśmy w tym samym miejscu, w tym samym czasie, w podobnym środowisku, często z podobnymi celami, znamy tych samych ludzi. To jest pięć kluczowych filarów trwałych więzi. Jeśli zaczniemy tam budować relacje oparte na życzliwości, współpracy i docenianiu, zamiast na wiecznym narzekaniu i oskarżaniu, to naprawdę możemy odwrócić trend wypalenia. Prof. Gałęcki w naszym podręczniku opowiedział historię z wizyty w firmie produkującej części do rakiet kosmicznych. Zapytał jednego z pracowników sprzątających: „Co pan tu robi?”. A on odpowiedział: „My tu budujemy rakietę kosmiczną”. I o to chodzi. Żeby kasjerka w sieci handlowej czuła, że jest tak samo częścią firmy, jak dyrektor finansowy czy marketingu. Żeby każdy wiedział, że jest częścią większego sensu. Bo kiedy tracimy sens wspólnej pracy, to właśnie wtedy najszybciej przychodzi wypalenie.

Ma Pani własną diagnozę, w jakim stanie Polki w tym roku usiądą do wigilijnego stołu? Znowu na resztkach baterii? A może bardziej spełnione? Zdecydowanie bardziej zaopiekowane sobą, a przynajmniej dziewczyny z Ery Nowych Kobiet. I to już jest ogromna zmiana. One przede wszystkim mają siebie nawzajem. To, co mnie w tym roku najbardziej zachwyca, to fakt, że one bardzo świadomie określają swoje



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Joanna Przetakiewicz: Szczęście w dużej mierze składa się z małych i większych przyjemności

potrzeby. Jeśli chcą nauczyć się makijażu, zapraszają makijażystkę. Jeśli chcą zadbać o zdrowe odżywianie, organizują spotkanie z dietetyczką. Gdy potrzebują wiedzy o finansach, inwestowaniu, podatkach, zabezpieczeniu swojej niezależności, to zapraszają księgowego czy finansistę. A jeśli chcą się po prostu pobawić, iść razem do kina, na spacer, wymienić się za darmo ubraniami dla dzieci, też to robią. Tyle wspinałych, oddolnych inicjatyw wsparcia widziałam, że trudno je zliczyć. Nigdy nie zapomnę spotkania w małym miasteczku. Był burmistrz, lokalne władze, pełna sala kobiet. Jedna dziewczyna, z malutkim, może półrocznym dzieckiem na rękach, stanęła i drżącym głosem powiedziała: „Wy tu mówicie o bliskich relacjach, zaufaniu, wsparciu. A co, jeśli osoba, która miała mnie chronić i być moim przyjacielem, jest moim wrogiem? Co mam zrobić, jeśli ktoś, kto miał wspierać, dobija?”. Powiedziałam jej wtedy: „Rozejrzyj się. Zobacz, ile masz tu obok siebie kobiet. One mieszkają niedaleko, od dziś są twoim wsparciem”. I te dziewczyny natychmiast odpowiedziały: „Dzwoni do nas. Mamy wspólną grupę na Facebooku, jesteśmy na Instagramie. Jak coś, to jesteśmy dla ciebie”. Takich sytuacji było mnóstwo. Kiedy komuś spalił się dom, ktoś miał kryzys finansowy, zdrowotny. Możliwość oparcia się na wspólnocie to jest

bezcenne. I jeszcze jedno: jeśli ktoś, kto stosuje przemoc, widzi, że za tobą stoi tyle kobiet, tyle siły, naprawdę trzy razy się zastanowi, zanim cię skrzywdzi.

Pięknie się składa, bo chciałam zapytać o kobiety z Pani rodu. Jaka była Pani mama, babcia? Znała Pani prababcie?

Prababci nie znałam, ale miałam cudowną babcię. Zawsze uśmiechnięta, bardzo pracowita, niesamowicie pozytywna. Była bohaterką i słońcem mojego dzieciństwa. Pieczęta rogaliki z wiśniami, które sama smażyła. Tak pachnie moje dzieciństwo. Kiedy do niej przyjeżdżałam, rogaliki już stały na stole. To było moje małe szczęście. Z drugiej strony miałam jeszcze inny, bardzo ważny wzór: moją ciotkę. Zamknęła swoją firmę, żeby poświęcić się rodzinie. Stała się całkowicie zależna finansowo. I życiowo. Jako 11-letnia dziewczynka bardzo mocno to sobie zapamiętałam. Zrozumiałam, że niezależność to podstawa, to poczucie bezpieczeństwa. Nie ma nic ważniejszego dla człowieka, szczególnie dla kobiety z dziećmi, niż bezpieczeństwo. To w nim mieści się wolność wyboru, szansa rozwoju, lepsza opieka zdrowotna, wszystko. Moja mama była bardzo empatyczna, kochająca ludzi, delikatna. Zawsze mówiła mi: „Nie przemęczaj się, za dużo na siebie bierzesz”. Ale mój tata powtarzał: „Ona by niejedną ar-

mię poprowadziła”. Jako jedy-naczka, z deficytem rodzeństwa, przez całe życie budowałam wokół siebie swoje plemię. W przedszkolu, w szkole, w liceum, na studiach, zawsze byłam otoczona przyjaciółkami. I to się nie zmieniło do dziś.

Jakie jest pierwsze Pani wspomnienie z dzieciństwa?

Z podwórka. W tamtej rzeczywistości istniały podwórka. Ludzie żyli lokalnie, dzieci chodziły do rejonowej szkoły, wszystko było blisko. Po lekcjach wszyscy spotykali się na dworze. Mieliśmy morze wolnego czasu. Nie byliśmy przebudzowani, nie było social mediów ani miliona zajęć dodatkowych. Nikt nie uczył się chińskiego i nie grał w golfa w wieku siedmiu lat. Graliśmy w piłkę, bawiliśmy się razem i tyle. Dzięki temu mieliśmy czas na budowanie przyjaźni. I ja pamiętam głównie to: że zawsze byłam otoczona swoim plemieniem dziewczyn. Tak było, kiedy byłam mała, i tak jest teraz, gdy jestem dojrzłą kobietą.

Chciałabym wrócić do Ery Nowych Kobiet i zapytać o historie, które Panią najbardziej dotknęły. Co Polki w sobie tłumia? I czego liderki i uczestniczki Ery uczą Panią?

Pamiętam historię, od której zaczęła się moja własna teoria Excelsa życia. Na pierwszym spotkaniu wstała dziewczyna i opowiedziała swoją historię.

Pochodziła z bardzo biednej rodziny, z maleńkiej wsi. Jej brat pracował w Londynie na budowie i ściągnął ją do siebie, gdy miała 17 lat. Weszła pierwszy raz do Harrodsa i doznała olśnienia: „Zrobię wszystko, żeby zostać stałą klientką Harrodsa. Nie raz w roku, nie jeden zakup. Chcę być pełnoprawną częścią tego świata”. Kiedy osiągnęła pełnoletność, przeprowadziła się do brata. Najpierw sprzątała. Potem założyła własną firmę sprzątającą. Firma się rozrosła, a ona rzeczywiście stała się regularną klientką Harrodsa.

Na pierwszy rzut oka ta historia jest super.

Tylko że to nie koniec. Ta kobieta powiedziała: „Zastanawiajcie się nad tym, o czym marzycie. Co jakiś czas sprawdzacie, czy to marzenie nadal ma sens. Bo ja dziś mam mieszkanie w Londynie, sto par butów z Harrodsa i mnóstwo innych rzeczy stamtąd. Ale nie mam kontaktu z synem. Przez lata nie miałam kontaktu z mamą, bo ciągle pracowałam. A moja mama właśnie zmarła na raka. Jak patrzę dziś na swoje życie, widzę, że za to marzenie zapłaciłam za wysoką cenę. Powinam była w którymś momencie zatrzymać się i zadać sobie pytanie: czy to dalej jest tego warte?”. To była dla mnie niesamowicie pouczająca opowieść. Od tamtej pory mówię dziewczynom o „Excelu życia”: w tej symbolicznej tabelce mamy koszty i mamy przychody. I trzeba ją cały czas weryfikować. Nie można raz sobie czegoś wpisać, iść w to na ślepo, po latach odkryć, że marzenie spełniłyśmy, tylko... kompletnie nam się to nie opłaciło, ani życiowo, emocjonalnie, relacyjnie. To była jedna z najważniejszych lekcji, które dostałam od dziewczyn z Ery. Trzeba robić aktualizację marzeń. Tak samo jak robimy update systemu w telefonie, tak samo trzeba aktualizować swoje życiowe cele i swoje podejście do pieniędzy.

A propos pieniędzy, tytuł Pani książki „Pieniądze szczęście dają” jest prowokacyjny. Jak Pani tłumaczy kobietom, które są po uszy w kredytach, a koszty życia nieustannie rosną, że pieniądze szczęście dają i że nie dzieje się to na Instagramie, tylko całkiem na serio?

Najpierw trzeba przekuć balon skrupowania wokół pieniędzy. Większość kobiet, które spotykam, nie potrafi negocjować swojej pensji. Nie umieją poprosić o podwyżkę. Pożyczają komuś pieniądze bez jakiegokolwiek potwierdzenia. Budują dom na cudzej działce, nie myśląc, że prawnie nie będzie on ich własnością. Biorą wspólne kredyty, za które potem odpowiadają same. Wierzą w bajki typu: „Robimy to razem, to wszystko jest nasze”.

A potem okazuje się, że firma jest na teściów, mieszkanie na męża, a ona po 15 latach nie ma absolutnie nic. I dlatego mówię kobietom: nie krępujmy się tym, że chcemy zarabiać więcej. Mamy pełne prawo wyceniać swoją pracę wyżej, bo to jest nasz czas, nasze zdrowie, nasze życie. Integralną częścią książki jest „umowa na szczęśliwe życie”. Namawiam, by usiąść z partnerem, rodziną czasem po prostu z dorosłymi dziećmi i porozmawiać o tym, co mamy, gdzie to mamy, co jest wspólne, co osobne, na co wydajemy pieniądze, co możemy zrobić, żeby zarabiać więcej, jaki jest nasz cel. Te tematy to wciąż tabu. Szczególnie dla kobiet. Poznałam szokująco dużo Polek, które nie mają własnego konta ani karty, nie wiedzą, na kogo jest mieszkanie czy dom, nie wiedzą, na kogo jest firma, nie są ubezpieczone, bo „po co płacić składki, lepiej niech pieniądze zostaną w rodzinie”. Czasem nie ma w tym żadnej złej woli. Jest po prostu zaniedbanie i zaniechanie. A potem kobieta budzi się w wieku pięćdziesięciu paru lat i odkrywa, że nigdy nie była w banku, nie zna swojej sytuacji, nie wie, na co może liczyć. Zostaje bez „instrukcji obsługi własnego życia”. Zbyt wiele razy widziałam takie historie, żeby je bagatelizować. Pamiętam pielęgniarkę, która podszła do mnie po spotkaniu i opowiadała o dwóch wybitnie uzdolnionych muzycznie córkach. Powiedziała: „Nie stać mnie na ich edukację muzyczną. Mąż wydaje całą moją pensję”. Okazało się, że mąż nie pracuje, ma poważny problem alkoholowy, a ona - jedyna żywicielka rodziny, wciąż oddaje mu całą wypłatę. Bo w jej głowie było, że to nie ona zarządza pieniędzmi. Tak działają toksyczne stereotypy: że kobieta nie ma głowy do pieniędzy, że jej rolą jest poświęcić się rodzinie, domowi, dzieciom. A potem zostaje bez sprawczości i bez godności. Co gorsza, nawet kobiety na bardzo wysokich stanowiskach mówią mi, że żyją w poczuciu zagrożenia. Bo nie wiedzą, co je czeka. Dlatego mówię wprost: pieniądze są wielką energią. Dają szczęście nie w sensie „kupienia sobie lepszego życia na Instagramie”, tylko w bardzo realnym: to jest poczucie bezpieczeństwa, wolność wyboru, szanse i możliwości, także przyjemności, których w Polsce wciąż się wstydzimy. Wiele razy słyszałam zdanie: „Życie musi mieć sens i cel, nie musi być przyjemne”. Przyznam, że mnie ono przeraża. Tak, życie powinno mieć sens i cel. Ale musi też być przyjemne. Szczęście w dużej mierze składa się z małych i większych przyjemności. Naprawdę nie warto się starać o życie, które jest wyłącznie dzielnie znoszone.

JASIEK PIWOWARCZYK: WŁOŻYŁEM WIELE PRACY, ŻEBY NA SCENIE BYĆ NATURALNYM

Tegoroczną edycję telewizyjnego „The Voice of Poland” wygrał bezkonkurencyjnie Jasiek Piwowarczyk. Młody wokalista od początku programu wzbudzał entuzjazm widzów. Teraz opowiada nam o swojej drodze do zwycięstwa

Patryk Gzyl

Jak to jest mieć „najlepszy głos w Polsce”?

(Śmiech) Oj, uważałbym z tym sformułowaniem. Ja się w ogóle tak nie czuję. Tak naprawdę trudno stwierdzić, kto ma ten „najlepszy głos w Polsce”. Dla mnie to trochę absurdalne, że takie miano w tym programie jest przyznawane. W tym roku była wyjątkowo

mocna edycja. Łapaliśmy się wręcz za głowy, kiedy trenerzy musieli dokonywać decyzji, kto przechodzi dalej, a kto nie. Ostatecznie decydowały o tym jakieś czynniki emocjonalne, a nie walory techniczne.

Finał „The Voice of Poland” oglądało pewnie ze dwa mi-

liony widzów. Rozpoznają cię ludzie na ulicy?

Tak. Są takie sytuacje. Ludzie podchodzą, robią sobie zdjęcia, czasem widzę, że też z ukrycia. (Śmiech) Dużo jeżdżę komunikacją miejską, więc często zauważam, że ludzie się na mnie patrzą. Niby to miłe, ale też trochę krępujące, bo to nowa sytuacja dla mnie. Ja lubię towarzy-

stwo i rozmowy z innymi, ale nie jestem osobą, która chce celowo zwracać na siebie uwagę.

Będziesz się musiał do tego przyzwyczaić.

Pewnie teraz po programie to tak wygląda, a potem z czasem się uspokoi. Na pewno dużo zależy od tego, co dalej zrobię muzycznie i czy tych ludzi przy so-

bie zatrzymam. To dla mnie zadanie bojowe. Na pewno nie będę się koncentrował na tej mojej popularności, bo nie chodzi mi o to, żeby być gwiazdą. Rozpoznawalność powinna być wynikiem mojej pracy jako artysty, a nie celem samym w sobie. Ja powinienem mieć coś do przekazania – a jak ludzie na to zareagują, to już kwestia niezależna ode mnie. Oczywiście będzie mi miło, kiedy ten odbiór będzie szeroki, bo przecież każdy artysta chce mieć jak największą publiczność. Ale nie powinien tego chcieć ze względu na samą popularność, ale dlatego, że chce się dzielić z innymi swoją twórczością.

Jak świętowałeś zwycięstwo?

Mieliśmy bankiet w telewizji. Program skończył się dosyć późno i zanim udzieliliśmy wszystkich wywiadów na ścianie, to była chyba już trzecia nad ranem. Dopiero potem podczas rozmów miałem okazję, by wszystkim podziękować za współpracę. Bo myśm się bardzo zżyli przy tym programie. I to nie tylko z uczestnikami, ale też z produkcją. Ostatnie tygodnie to była bardzo intensywna praca – pojawialiśmy się codziennie w studiu, znaliśmy się więc ze wszystkimi, spędzaliśmy ze sobą nawet wolny czas między występami. Panowała świetna atmosfera.

Bukmacherzy i internauci niemal od początku typowali cię na zwycięzcę tej edycji. „Voice’a”. Byłeś pewny wygranej?

Wręcz przeciwnie: narzucało to pewną presję. Dziś jestem z siebie bardzo dumny, że ją wytrzymałem. A było to bardzo trudne. Kiedy jesteś faworytem i wszyscy o tym mówią, to chcąc nie chcąc, chcesz sprostać tym oczekiwaniom. Dlatego, choć docierały do mnie takie informacje, starałem się skupiać na tym, aby przede wszystkim dobrze zaśpiewać. Zdawałem sobie równocześnie sprawę, że „The Voice” to telewizyjne show i tu się może wszystko wydarzyć. Już nie raz tak bywało, że bukmacherzy się pomylili. (Śmiech) Brałem więc to pod uwagę. Skupiałem się na zadaniu i zostawiłem losowi, jak to się dalej ma potoczyć.

Wszyscy sądzili, że ostateczna walka rozegra się między tobą a Mateuszem Jagiełłą. Żałujesz, że tak się nie stało?

Każdy z nas reprezentował trochę inny styl, miał inną barwę głosu i osobowość sceniczną. Dlatego werdykty trenerów już na etapie „nokautów” były bardzo trudne. Ja sam bym się nie podjął decydowania o tym, kto przejdzie dalej, a kto odpadnie. I widziałem po trenerach, że ich też bardzo dużo kosztowało to emocjonalnie.

REKLAMA

0011450849

Wesołych Świąt

Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA ŻYCZYMY
PAŃSTWU SPOKOJNYCH, RADOSNYCH CHWIL ORAZ
DUŻO ZDROWIA
DZIEKUJEMY ZA ZAUFANIE I WYBÓR NASZYCH
INWESTYCJI. TO DZIĘKI PAŃSTWU MOŻEMY
ROZWIJAĆ PROJEKTY, KTÓRE ŁĄCZĄ JAKOŚĆ,
KOMFORT I DOBRĄ PRZESTRZEŃ DÓ ŻYCIA.
NIECH NOWY ROK PRZYNIESIE DOBRE DECYZJE,
NOWE MOŻLIWOŚCI I KOLEJNE UDANE
INWESTYCJE.

budnex

www.budnex.pl



FOT. MAT. PRAS. TVP

Jasiek Piwowarczyk: Przyszedłem do tego programu bez żadnych oczekiwań. Chciałem spróbować swych sił przed kamerami, wyjść ze swej strefy komfortu

Ostatecznie zdecydowali widzowie. Dlaczego postawili akurat na Ciebie?

Z tego, co wiem, to ludziom spodobało się, że starałem się być naturalny. Postawiłem bowiem w tym programie na to, że nie będę kreował siebie na kogoś, kim nie jestem. W ostatnich latach włożyłem wiele pracy w to, żeby być naturalnym na scenie. Bo wiadomo, że kiedy człowiek zaczyna występować, nie do końca jest sobą. Uwieramy wtedy jakieś maski sceniczne, choćby po to, by ukryć stres. A tymczasem autentyczność jest najważniejszą cechą artysty. Są oczywiście tacy artyści, którzy kreują na scenie jakieś persony - i nie mówię, że to jest złe. Ale ja się w tym nie odnajduję.

Wiesz już na co przeznaczysz 100 tys. zł, które wygrałeś?

To dla mnie bardzo abstrakcyjna sytuacja, bo nigdy nie byłem jakąś majątną osobą. O tym, że możemy wygrać aż 100 tys. zł, dowiedzieliśmy się dopiero dwa tygodnie przed finałem. Zgłaszając się do programu, nie miałem pojęcia, jaka będzie wysokość nagrody głównej, bo to się w ostatnich latach bardzo zmieniało. Tak wysokiej kwoty chyba jeszcze nie było. Tym bardziej jest mi miło, że padło akurat na mnie. (Śmiech) Bardzo mi się na pewno te pieniądze przydadzą. Poza wakacjami, których

teraz potrzebuję, będę chciał zaoszczędzić na przyszłość, żeby mieć z czego inwestować w muzykę.

Jak to się stało, że zgłosiłeś się do programu?

Oglądałem „The Voice” od dziecka i marzyłem, żeby w nim wystąpić. Bo to program, który każda osoba w Polsce, która jest zaangażowana muzycznie, gdzieś tam śledzi na którymś etapie swej kariery. Ja oglądałem go uważnie do któregoś sezonu, a później zerkałem tylko, kto jest w finale, tym bardziej że przewijało się tam trochę znajomych. W ostatnich latach poświęciłem się edukacji - najpierw dostałem się do Akademii Muzycznej w Katowicach, a potem do szkoły muzycznej II stopnia w Krakowie - i to mnie trochę pochłonęło. Nie miałem więc przestrzeni na udział w takim programie. Ale spróbowałem swych sił w zeszłym roku. Dostałem się i kiedy miałem wystąpić w przesłuchaniach w ciemno, stchórzyłem i uciekłem. (Śmiech) Żałowałem tego trochę potem, ale dziś myślę, że był w tym jakiś palec Boży, ponieważ nie byłem jeszcze wtedy na to gotowy. Wróciłem więc w tym roku i tym razem wszystko poszło jak trzeba.

Zaśpiewałeś w przesłuchaniach w ciemno nieoczywistą

piosenkę Luthera Vandrossa. Skąd taki pomysł?

W ostatnich latach zafascynowałem się „czarną” muzyką - jazzem, soulem, funkiem. Dlatego ten utwór był bardzo bliski mojemu sercu. To lata 80., czyli ten czas, który cenię najbardziej ze wszystkich muzycznych dekad. Luther Vandross jest dla mnie wielką inspiracją i czułem wielki zaszczyt, mogąc zaśpiewać ten utwór.

Odwrociły się wszystkie fotele, ale większe wrażenie na trenerach wywarła potem polska piosenka, którą wykonałeś - „Dziwny jest ten świat” Czesława Niemena.

No tak mówią. Nie spodziewałem się, że „Dziwny jest ten świat” odbije się tak szerokim echem. To było dla mnie wielkie zaskoczenie. Bo przyszedłem do tego programu bez żadnych oczekiwań. Po prostu chciałem spróbować swych sił przed kamerami, zmierzyć się z występowaniem w telewizji, wyjść ze swej strefy komfortu. „Dziwny jest ten świat” przyszedł mi do głowy bardzo spontanicznie. Wykonywałem ten utwór kilka razy na koncertach i kiedy w programie usłyszałem, że mam zaśpiewać jakąś polską piosenkę, pomyślałem, że może trzeba oddać hołd Czesławowi Niemenowi. I to była dobra decyzja.

Ciąg dalszy na str. 30

REKLAMA

0011450695

Z OKAZJI ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ ŚWIAT
BOŻEGO NARODZENIA
ORAZ NOWEGO ROKU ŻYCZYMY
SZCZĘŚCIA, SPOKOJU, SPĘDZENIA CZASU
W MIŁYM RODZINNYM GRONIE,
WYMARZONYCH PREZENTÓW
ORAZ NIEZAPOMNIANYCH
ATRAKCJI W SYLWESTROWĄ NOC!

METALPLAST

HYDRAULIKA | NARZĘDZIA | ELEKTRYKA | ELEMENTY ZŁĄCZNE | ZAWIASY
ELEMENTY OGRODZENIOWE | AUTOMATYKA DO BRAM | AKCESORIA MEBLOWE I DRZWIOWE

Gorzów Wlkp., ul. Garbary 9, +48 724 555 546 - Dział Metalowy, +48 724 555 538 - Dział Zamków i Klamek +48 724 555 537 - Dział Akcesoriów Meblowych
www.metalplastgorzow.pl, market@metalplastgorzow.pl, godziny otwarcia: 8⁰⁰-18⁰⁰; sob. 9⁰⁰-14⁰⁰

Dokończenie ze str. 29

Ze względu na blokady, które trenerzy zastosowali wobec siebie, byłeś zmuszony wybrać na swą trenerkę Margaret. Jak ci się z nią pracowało?

Z racji mojego wykształcenia najbliższą było mi oczywiście do Kuby Badacha. Zostałem jednak postawiony przed koniecznością wybrania Margaret. I dziś uważam, że to kolejny dar od losu w moim życiu. Współpraca z nią okazała się bowiem czymś niesamowitym. Margaret jest bardzo ciepłą osobą, wspierała artystyką i wielkim zaszczytem było dla mnie móc z nią pracować. Wiele się od niej nauczyłem. Już od początku otoczyła całą swą grupę niemal matczyną opieką, dzięki czemu wychodząc na scenę, wiedzieliśmy, że mamy w niej wielkie wsparcie. Kiedy z programu odpadła Lena Cichocka, Margaret obiecała, że pomoże jej nagrać singiel w swym studiu - i faktycznie tak się potem stało. Gosia jest więc prywatnie dokładnie taka, jak przed kamerami. Czyli miła, ciepła i bardzo wspierająca. Ma duże doświadczenie w show-biznesie, udzieliła nam więc wielu ciekawych rad. Miała też sensowny wpływ na to, jakie utwory śpiewaliśmy.

No właśnie: ty sięgałeś po potężne piosenki, jak „Bohemian Rhapsody” czy „Saving All My**Love For You”. Nie bałeś się mierzyć z Freddie Mercuryem czy z Whitney Houston?**

Bardzo się bałem. (Śmiech) Ale Margaret z odcinka na odcinek celowo podnosiła mi poprzeczkę. Nie po to jednak, żeby mi nie wyszło, ale żeby się rozwinął. Bo ja sam absolutnie nie wybrałbym sobie takich utworów. Zaczęło się od „Beautiful Things” Bensona Boone’a - w ogóle nie przyszłoby mi do głowy, żeby sięgnąć po taką piosenkę. Tam są bardzo wysokie dźwięki, zaśpiewanie ich na żywo było więc dla mnie wielkim wyzwaniem. Nigdy wcześniej nie mierzyłem się z takimi utworami. Potem, kiedy dowiedziałem się, że mam śpiewać w finale „Bohemian Rhapsody”, popukałem się w głowę, myśląc, że ktoś oszalał. Usłyszałem jednak: „Skoro zaśpiewałeś »Dziwny jest ten świat«, to »Bohemian Rhapsody« też dasz radę”.

Które ze swoich wykonani w programie oceniasz najlepiej?

Jestem bardzo krytyczny wobec siebie, co pewnie wynika z mojego perfekcjonizmu, daleki byłem więc od entuzjazmu, jaki można było obserwować w mediach wokół tych moich występów. Generalnie jestem jednak zadowolony z wszystkich, nawet z tych,

gdzie wydolnościowo było ciężko. Najtrudniejszym momentem był przedostatni odcinek na żywo, kiedy śpiewałem „Saving All My Love For You”. To bardzo trudny utwór technicznie, przy którym nie da się kombinować, tylko trzeba go zaprezentować jak hołd dla Whitney Houston. Jakby tego było mało, śpiewałem go zaraz po wykonaniu swego singla „Ushuaia”, w którym bardzo mocno używam głosu i czułem, że niedomagam wydolnościowo. Ostatecznie jednak dałem radę - i nawet z tego występu jestem zadowolony.

W porównaniu z twoimi wcześniejszymi wykonaniami duet z Margaret w „Kochanej” w finale był trochę mało efektowny.

Nie mam takiego wrażenia. Ten utwór miał być wzruszający - to nie miało być wielkie show. Skupiliśmy się przede wszystkim na treści i emocjach. Z racji tego, że wcześniej śpiewałem mocne piosenki, „Kochana” mogła robić trochę mniejsze wrażenie. Tam faktycznie nie było przestrzeni na to, by śpiewać wysokie dźwięki. Ale taka jest muzyka: nie zawsze im ktoś zaśpiewa wyżej i głośniejsze, to jest to lepsze. Czasem trzeba postawić na emocje i przekaz. Takie było nasze zamierzenie

i uważam, że tego rodzaju wykonania też są potrzebne.

Masz już własny singiel - efektowny utwór „Ushuaia”. Dobrze się w nim czujesz?

Na początku byłem przerażony, bo to trudna piosenka do zaśpiewania. Mieliśmy tak naprawdę tylko jeden dzień, żeby ją zrobić. To bardzo mało czasu. A wiadomo, jak się nagrywa w studiu - wszystko robi się partiami. Czyli ostatecznie fajnie to brzmi, ale w końcu trzeba piosenkę zaśpiewać w całości. Początkowo miałem więc z tym trochę problemów.

Niektórym nie spodobał się tekst „Ushuai” - po programie poszła w internecie wieść, że niby jest sprzeczny z chrześcijańskimi wartościami. Byłeś tym zaskoczony?

Tak. Dochodząc do finału programu, jesteście przygotowani, że spadnie na nas krytyka w internecie. Zresztą Madzia Chołuj spotkała się z nią jeszcze wcześniej, bo wylał się na nią niespodziewany hejt. Mnie oberwało się dopiero po programie. Początkowo się wystraszyłem, bo pomyślałem, że może trochę przesadziłem. Ale to była krótka chwila. „Zaraz. Stop. Przecież wiem, o czym pisałem ten tekst” - stwierdziłem. Zresztą to była praca wspólna i nad tym tekstem czuwało więcej ludzi.

Miałem więc pewność, że nie popełnilibyśmy jakichś karygodnych błędów. Dlatego postanowiłem napisać w internecie, co o tym sędzę. Oczywiście rozumiem, że ten tekst można tak zinterpretować. Ale nie dotyczy on mnie - tylko wymyślonego podmiotu lirycznego, który znalazł się w dramatycznej sytuacji, kiedy nie ma miłości ani do siebie, ani do drugiego człowieka. Prywatnie coś takiego jest mi obce i absolutnie nie zamierzam przechodzić na ciemną stronę mocy.

Wygrałeś kontrakt na wydanie debiutanckiego albumu. Masz już pomysł, jaki miałby on być?

Jeszcze nie wiem do końca, w którą stronę chciałbym muzycznie pójść. A to dlatego, że lubię bardzo różne gatunki. Mam nadzieję, że uda mi się napisać coś na pograniczu kilku stylów, wykorzystując środki wyrazu, które są przystępne dla szerszej publiczności. Tekstowo chciałbym, aby udało mi się zawrzeć na takiej płycie bliskie mi wartości.

A chciałbyś, żeby to były twoje autorskie piosenki?

Myślę, że tam, gdzie dam radę i znajdę przestrzeń, chciałbym odcisnąć swoje piętno na tej muzyce. Ale generalnie bardzo mi się podoba, kiedy teksty piszą profesjonalni autorzy. Kiedyś było to bardzo popularne,

dziś może trochę mniej. Podobają mi się też współpraca z innymi kompozytorami i producentami, bo jeśli coś tworzy kilka osób, efekt może być lepszy niż wtedy, kiedy odpowiada za to tylko jedna osoba. Ja wiem, jakie są moje mocne strony w procesie twórczym, fajnie więc będzie posiłkować się kimś, kto umie robić lepiej to, w czym ja akurat nie czuję się najsilniejszy. Nie chciałbym na pewno pisać tekstów, które bezpośrednio dotyczą mojej osoby i moich przeżyć. Wolałbym poruszać bardziej uniwersalne tematy, które zainteresują szersze grono odbiorców.

Śpiewasz właściwie od dziecka. To rodzice popchnęli cię w tę stronę?

Tak. Śpiewałem od najmłodszych lat, rodzice stwierdzili więc, że jestem uzdolniony muzycznie i zapisali mnie do Chóru Chłopięcego Filharmonii Krakowskiej. Poszedłem na przesłuchania, dostałem się i spędziłem w tym zespole następne dziesięć lat. To była bardzo dobra szkoła wokalna. Dorastałem w środowisku złożonym z uczniów szkół muzycznych u boku pani profesor Lidii Matynian, która prowadzi ten chór. Była to więc piękna, choć czasem trudna przygoda. Bo wiadomo - to wiek dorastania, nie zawsze więc chce się iść na próbę. Miałem jednak fanta-

REKLAMA

0011452213

**BUDOWA DOMÓW ENERGOOSZCZĘDNYCH**

Marzysz o własnym, przytulnym domu?
Szukasz idealnego projektu dla swojej rodziny?
Nie mogłeś lepiej trafić!

TYLKO Z FIRMĄ MAJ-HAUS CENTRUM BUDOWNICTWA PASYWNEGO WYBUDUJESZ DOM, KTÓRY SPEŁNI TWOJE OCZEKIWANIA

Umów się na niezobowiązujące spotkanie
Poznaj technologię budowy
Zapytaj o promocję dla Twojego domu

WYJĄTKOWE OFERTY CZEKAJĄ NA CIEBIE

📍 Rzepin, ul. Bolesława Prusa 20

☎ 506 119 419 lub 733 588 888

www.domy-majhaus.pl

styczne doświadczenie pracy ze wspaniałymi muzykami, wykonywaliśmy bowiem trudne i wymagające rzeczy - od „Credo” i „Pasji” Pendereckiego po koncerty jazzowe z Joachimem Menclem i „Mszę elektroniczną” Schaeffera. Te doświadczenia pomogły mi potem podjąć edukację jazzową.

Dlaczego nie poszedłeś w stronę klasyki?

Nigdy nie myślałem o tym. Kiedy byłem mały, podobała mi się tylko atmosfera przed koncertami w Filharmonii Krakowskiej. Fajnie było obserwować ekscytację muzyków i chóru, ten podniosły nastrój. Rodzice chcieli mnie zapisać do szkoły muzycznej, ale na pierwszych zajęciach rozplakałem się i powiedziałem, że nie chcę tu chodzić. W sumie nie wiem do dzisiaj dlaczego, bo nic tam niefajnego się nie działo. Rodzice stwierdzili jednak, że nie będą mnie na siłę męczyć. I dzisiaj myślę, że dobrze się stało, bo dzięki temu poszedłem w trochę inną stronę. W chórze miałem muzykę klasyczną, a w domu - rocka w stylu Pink Floyd czy Led Zeppelin. Byliśmy też z rodzicami zapalonymi słuchaczami Trójki, więc i radio bardzo ukształtowało mój gust.

To wszystko odbija się teraz w tym, co obecnie śpiewasz -

bo to soul z grupą The Ancimons, etno z Hulajdusza i poezja śpiewana Juliana Tuwima z Jasiem Piwowarczyk Group.

Po prostu kocham muzykę i słucham bardzo różnych rzeczy. Zarówno klasyki, jak i rozrywki, bardzo lubię też folklor. Nie jestem więc w stanie powiedzieć, co mnie najbardziej pociąga.

Masz też w swej biografii występy na scenach krakowskich teatrów - Słowackiego, Bakała-za i Opery.

Od dziecka udzielałem się w szkołach również aktorsko. Nawet przez pewien czas myślałem, że pójdę w stronę tego zawodu. Stąd przez dwa lata grałem w Teatrze im. J. Słowackiego w muzycznym spektaklu Jarosława Kiliana „Pacjent EGBDF”. To była pierwsza moja przygoda z dużą sceną. Potem wystąpiłem na benefisie Jacka Wójcickiego w Teatrze STU i z chórem filharmonii w Operze Krakowskiej. Wymyśliłem więc sobie autorską szkołę musicalową Macieja Pawłowskiego. Muzyka i teatr były przez pewien czas u mnie na równi. Ostatecznie jednak śpiewanie okazało się najważniejsze.

Czyli wszędzie cię pełno w artystycznym świątku Krakowa? (śmiech) Takie jest to miasto. Tutaj wszystko się ze sobą

przeplata. Choćby w takiej Piwnicy pod Baranami.

Tam też występowałeś?

Tak. Ale muzycznie, nie aktorsko. Śpiewałem podczas koncertów z muzyką Louisa Armstronga i Cheta Bakera.

W finale „The Voice” podziękowałeś swym wszystkim nauczycielom - i było to naprawdę niezwykle. Jedni pokazują nauczycielom środkowy palec, a inni dziękują. Jak to się dzieje?

Cała moja edukacja artystyczna nie odbyłaby się, gdyby nie moi wspaniali nauczyciele. Akurat mam to szczęście, że spotkałem naprawdę fantastycznych pedagogów. Z wieloma z nich jestem do dziś w kontakcie, zostaliśmy przyjaciółmi i nawet współpracujemy ze sobą artystycznie. Miałem kilku takich nauczycieli, którzy mnie wręcz pchali do przodu. Dzięki temu jestem teraz w tym miejscu, w którym jestem.

Bardzo wspierały cię na Facebooku podczas trwania programu siostry prezentki, w których liceum w Krakowie się uczyłeś. Masz dobre wspomnienia z tej szkoły?

Bardzo. To była wspaniała szkoła i świetny czas. Byłem wtedy nastolatkiem, a to bardzo trudny okres i ta szkoła

wydarzyła się w moim życiu w odpowiednim czasie. Trafiłem tam na wspaniałych nauczycieli, którzy tworzyli wręcz rodzinną atmosferę. Zależało im naprawdę na nas, dzięki temu łatwiej potem było nam wejść w dorosłe życie. To było prawdziwe błogosławieństwo, że spotkałem takich nauczycieli na swojej drodze.

Nie ukrywasz, że jesteś chrześcijaninem. Śpiewasz w zespole uwielbieniowym Bonoboco i występowałeś podczas rekolekcji Strefa Chwały. Można wyznawać swą wiarę śpiewem?

Absolutnie! To są wartości bardzo mi bliskie, w które mocno wierzę. A przecież za pomocą sztuki wyrażamy to, co w nas głęboko siedzi. Jeśli więc czymś żyję, to te treści muszą się znaleźć w moich piosenkach.

Świat show-biznesu często jest na bakier z ewangelicznymi wartościami. Nie boisz się doń wchodzić?

Nie mam z tym najmniejszego problemu. Funkcjonujemy w społeczeństwie, gdzie ludzie mają różne poglądy. Generalnie w Europie pewnie wszyscy wyznają podobne wartości, bo nasze prawo i kultura zbudowane są na judeochrześcijańskim fundamencie. Obracamy się jednak w różnych środowiskach. W show-biznesie są lu-

dzie wierzący i niewierzący, ateści i apostości. Oczywiście zdarzają się wśród chrześcijan opinie, że wchodząc do tego świata, pewnie zejść na złą drogę. Dla mnie to jednak absurdalne. Ja przede wszystkim patrzę na kogoś, kogo spotykam, jako na drugiego człowieka, a nie przez pryzmat tego, w co wierzy. Staram się wyznawać wartości chrześcijańskie swym życiem - i to jest dla mnie najważniejsze.

Na pewno głosowało na ciebie mnóstwo dziewczyn. Nie przeszkadza ci, że stałeś się obiektem westchnień setek nastolatek?

(śmiech) Ale ja nie wiem, czy tak się stało! Jeśli jednak byłoby tak naprawdę, to dla mnie bardzo miłe. Każde zainteresowanie jest dla artysty cenne.

Masz kogoś bliskiego sercu czy jesteś do wzięcia? (śmiech) Jestem do wzięcia.

Przed tobą Sylwester z Dwójką w Katowicach pod Spodkiem. Dasz sobie radę przed tak liczną publicznością?

Faktycznie - chyba jeszcze nie śpiewałem przed tak dużą widownią. Ale myślę sobie, że po występach na żywo w Telewizji Polskiej, które oglądało kilka milionów widzów, nic już dla mnie nie będzie straszne. (śmiech) Zobaczymy, jakie

będą emocje. Pokażę się przecież obok takich gwiazd, jak Maryla Rodowicz, Justyna Steczkowska czy Doda.

A potem festiwal w Opolu. To będzie spełnienie twoich marzeń?

Na pewno. Opolski amfiteatr to miejsce, o którym marzy chyba każdy wokalista i wokalistka w Polsce. To będzie dla mnie wielki zaszczyt stanąć na tej scenie, która jest stolicą polskiej piosenki.

A pojechałbyś na Eurowizję?

Pewnie! Kiedy byłem dzieckiem, oglądałem wszystkie edycje. To, co dzisiaj dzieje się na Eurowizji, jednak jakoś mniej mi odpowiada. Ten festiwal bardzo zmienił się pod kątem muzycznym. Mógłbym się pokazać w tym konkursie, ale nie naginając się pod obecnie dominujące w nim trendy, tylko na własnych zasadach. Na pewno musiałbym oczywiście włożyć w to wiele pracy.

Gdzie widzisz siebie za 10 lat?

Cieężko to stwierdzić. Teraz w tak krótkim czasie stało się tak wiele. Na pewno chciałbym być piosenkarzem, który wydał już kilka płyt, pokazał swoje muzyczne ja, wystąpił na ważnych festiwalach i scenach, ma wierne grono odbiorców i nie musi się martwić o przyszłość.

REKLAMA

0011444918



Każdy kto podpisze umowę rezerwacji w dniach od 05.12.2025 r. do 15.01.2026 r. **otrzyma GRATIS** szpachlowanie ścian i sufitów.

pbo
BUDOWNICTWO DEWELOPER

Osiedle Śląskie w Zielonej Górze

Nasze pozostałe inwestycje: Sady Batorego w Zielonej Górze, Osiedle Zielonogórskie w Nowej Soli, Domki jednorodzinne w Nowej Soli



Z okazji
Świąt
Bożego Narodzenia
i Nowego Roku

serdeczne życzenia
ciepła i spokoju w gronie rodzinnym
oraz pomyślności i sukcesów
w nadchodzącym 2026 roku
naszym klientom, kontrahentom
i współpracownikom

życzy
Zarząd i Pracownicy
Przedsiębiorstwa
Budownictwa Ogólnego sp. z o.o.
w Zielonej Górze

Biuro sprzedaży:
ul. Botaniczna 75

☎ 691 838 932 • ✉ mieszkania@pbozg.pl • deweloper.pbozg.pl • 📍 PBO Zielona Góra

MARCIN CHLEJE WODE Z STRUMIENIA

Lubię przypomnieć sobie dawne życie, ale po dwóch, trzech dniach tęskno mi do Beskidów – mówi pochodzący z Giszowca, a mieszkający na Jaszczurowej Marcin Urbaś, prowadzący blog „Chleję wodę ze strumienia”

Jacek Drost

Jak smakuje woda ze strumienia?

Woda z górskiego strumienia smakuje dobrze pod warunkiem, że pije się ją blisko źródła, bo już niżej pojawiają się zanieczyszczenia.

A pan na jakiej wysokości raczy się tą wodą?

Na wysokości 650 metrów. Mam takie szczęście, że w pobliżu mojej górskiej chatki, osady na Jaszczurowej w Beskidzie Małym, którą stworzyłem, jest kilka takich strumieni, gdzie mogę iść i tę wodę bezpiecznie chłać.

Od dawna ją pan sobie tak popija?

Ziemia jest w naszych rękach od ponad 20 lat. Natomiast w kwietniu będzie dokładnie 18 lat mojej „posługi” w tym miejscu.

Jak to się stało, że znalazł się pan w górach, na odludziu?

To była skomplikowana droga. Generalnie wywodzę się ze środowiska artystów, chodziłem na zajęcia kółka teatralnego do Pałacu Młodzieży w Katowicach, do reżysera Jerzego Połońskiego, który zaszczerpił we mnie miłość do sztuki i tam odkryłem swój talent aktorski. Niestety, przebrałem ten wstęp do świata teatru. Tata, górnik, strasznie naciskał, żebym też został górnikiem. Podjąłem to wyzwanie, ale ono mi się kompletnie nie podobało. Widziałem te wszystkie układy, układziki w spółkach Skarbu Państwa, nie podobała mi się taka niezdrowa konkurencja, więc podczas studiów postanowiłem wrócić do starej branży – miałem paroletni epizod w TVN, gdzie występowałem w różnego rodzaju produkcjach. Drażniła mnie jednak ta sztuczność na świecie, że ludzie pracujący w korporacjach muszą wstawać rano i zakładać maski, pięknie się uśmiechać. To męczące.

Nie chciał pan brać udziału w wyścigu szczurów i wyprowadził się na odludzie?

To jeszcze nie był ten moment. Planowałem w ogóle opuścić Polskę. Wyleciałem do Australii. Myślałem, że zostanę tam na stałe, ale właśnie tam dobitnie zobaczyłem ten wyścig szczurów, który do końca obrzydził mi wielkomiejskie życie. Jeszcze wtedy mój żyjący ojciec, który kupił tę ziemię ze starym, ponadstuletnim domem do generalnego remontu, który sam pochodził z takiego odludzia, strasznie mnie namawiał, żebym wrócił. Mówił, że będę miał tutaj fajne życie. W Australii przeszedłem taką przemianę duchową – widząc tę całą konsumpcję, ten cały kapitalizm, powiedziałem sobie, że ja nie chcę w tym uczestniczyć. Pamiętam, że jak przyjechałem tutaj w kwietniu, kiedy przyroda budziła się do życia, to w tym miejscu po prostu się zakochałem. Praktycznie nic nie było gotowe. Z moim niezłym ojcem razem robiliśmy wiele rzeczy, a później budowa osady była na moich barkach. Jednak to była taka miłość bezwarunkowa, miłość od pierwszego wejrzenia. Jestem już tutaj prawie dwie dekady i takiego stylu życia i bycia nie zamieniłbym na nic innego.

Co było do zrobienia?

Dużo ludzi obserwujących mój profil czy innych ludzi, którzy zdecydowali na taki styl życia, widzi tylko efekty – piękne zdjęcia, fajne widoki, ładne domki. Jednak za tym wszystkim kryje się druga strona medalu – ciężka praca, dużo wyrzeczeń i mnóstwo cierpliwości, czego ja także musiałem się nauczyć. Na przykład, kiedy jest zima, to muszę się liczyć z tym, że będę odcięty od świata. Przyzwyczałem się do tego, że bywa to bardzo ciężkie życie, wymagające dużo zaangażowania i pracy. Przez ten cały mój styl życia rozleciała mi się rodzina. Dzieci spędzają ze mną sporo czasu, nawet teraz mój syn siedzi w mojej chatce i gra w PlayStation. Ale życie małżeńskie się rozpadło, bo małżonka nie

wytrzymała tej presji – kobiety chcą raczej wygodnego życia, a tutaj ciężko się dostać, bo mam 2,5 km drogi do najbliższej cywilizacji, często byliśmy tygodniami odcięci od świata. Wielu ludziom doradzam w kwestii podjęcia takiej decyzji życiowej, więc mówię im, że trzeba mieć bardzo mocną psychikę, by w takim miejscu siedzieć.

Faktycznie, wielu ludzi marzy o życiu w takim miejscu, jawi się im ono jak jakaś Arkadia.

Dokładnie, ale to nie było tak, że miałem same zwycięstwa. Miałem bardzo dużo porażek, ale kluczem do sukcesu, żeby funkcjonować w takim miejscu – i musiałem się tego długo uczuć – jest przekonywanie porażek w sukcesy i wyciąganie z tego wszystkiego wniosków. Tutaj codziennie zdarzają się jakieś porażki, na przykład coś się popsuje – w zeszłym tygodniu mój quad prawie że się spalił, spaliła się w nim cała instalacja elektryczna, więc zostałem go w lesie, przesiedłem się do mojej terenówki, przejechałem kilometr i pękł

mi wał napędowy, więc w kilkanaście minut zostałem pozabawiony takiej sumy pieniędzy, że szkoda gadać. Tylko ja już się z tego śmieję. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu przejmować się rzeczami, na które nie mamy wpływu. Przyjmuję takie wypadki na klatę. Ja akurat jestem ekstrawertykiem, więc mi trochę trudno zamknąć się w tej samotni, ale mam bardzo fajną partnerkę, z którą się świetnie rozumiemy. Ona także kocha takie życie, lubimy chodzić po górach i wspiera mnie w wielu rzeczach, co jest bardzo ważne, jeśli decydujemy się na taką samotnię. Życie w pojedynkę w takim miejscu jest bardzo trudne, bardzo obciążające i bardzo ważne, żeby mieć osobę, która nas będzie wspierać i odwrotnie.

Kiedy doszedł pan do wniosku, że fajnie byłoby się podzielić swoim życiem w mediach społecznościowych?

Po rozwodzie przeszedłem bardzo poważną depresję. Myślę, że każdy, kto doświad-

czył rozpadu rodziny, małżeństwa, przeżywa to na swój sposób. Zawsze gdzieś w social mediach dzieliłem się swoim życiem, ale robiłem to na zasadzie takiej odskoczni, że coś sobie buduję w lesie. To spotykało się z przeciętnym odzewem. W pewnym momencie zacząłem pisać o tym, z czym boryka się dzisiaj bardzo wielu ludzi w moim wieku, czyli po „40”, a więc wypaleniem zawodowym, przejściami po rozwodach, zawodami życiowymi, problemami z dziećmi. Chciałem to pokazać z perspektywy człowieka, który mieszkając 20 lat w takim miejscu, tak dostał po d..., spadł na niego taki ciężar, którego wiele osób by nie udźwignęło, ale jednak mu się udało. Chce ludziom przekazać, że nie można się załamywać, poddawać i że czasem w życiu trzeba się rozsypać, żeby się na nowo poukładać. I jeśli już taki – za przeproszeniem – ciul z miasta Katowic, który był zawsze takim chuchrem najniższym i najsłabszym w klasie jak ja, potrafił się wszystkiego nauczyć, zmobilizować do na-

prawdę ciężkich działań i udało mu się osiągnąć cel, który sobie założył, to wydaje mi się, że każda osoba przeżywająca problem jest w stanie się zmobilizować, przejść przez różne zakręty życia, poukładać je. Cieszę się, że mnóstwo ludzi do mnie pisze, że to, co przekazuję, dobrze na nich działa. Odkryłem taki sens swojego życia, że oprócz tego, co robię na co dzień, to chciałbym ludziom pomagać, bo świat jest zepsuty, wielu ludzi dało się wciągnąć w system i stając się małym trybikiem czują się zagubieni, potrzebują wsparcia, resetu. Ich dobre słowo za to, co robię, że się dzięki mnie lepiej czują, jest dla mnie nieocenione.

Gdyby ktoś chciał zamieszkać na uboczu, to z czym powinien się liczyć?

Na początku musimy sprawdzić nasze zdrowie, bo bardzo dużo ludzi – nie mówię, że wszyscy – popełnia taki błąd, że biorą się za taki manewr w wieku 50 lat czy nawet później. Tylko część ludzi jest na to gotowa. Im wcześniej zdecydujemy się na taki krok, to mamy więcej siły i energii, bo życie na uboczu je wysysa. Najważniejsze jest to, czy jesteśmy w stanie zdecydować się na ciężką pracę, choćby w takiej sytuacji, że jak zasypie mnie śnieg, to czy jestem na tyle sprawny fizycznie, że go odśnieżę, czy jestem odporny na niedogodne warunki, na stres choćby w przypadku niemożliwości dojazdu do pracy czy jak przyjdzie niedźwiedź, to nie umrę ze strachu. Wszystko się rozbija o psychikę. Podejmując taką decyzję, wkraczamy w nowy świat, który może nas pozytywnie nastawić, ale może też nas rozczarować, wprowadzić w depresję. Poznałem takich ludzi, którzy po dwóch latach rzucali wszystko i wracali do miasta. Choćby taka prozaiczna z pozoru sprawa – wiecznie mam problem z internetem, co mnie chyba najbardziej frustruje.

Z czego pan żyje?

Jestem stolarzem, budowałem domy szkieletowe, ale z racji, że mam problemy z kręgosłupem, to zajmuję się sprzedażą domów do samodzielnego montażu, robię również projekty techniczne. Mam także domki pod wynajem dla ludzi szukających ciszy, spokoju, potrzebujących resetu.

Jak pan wraca do Katowic, pojawia się na Giszowcu, to co sobie myśli?

Czasami jeżdżę na Giszowiec, do Katowic, gdzie spędziłem 19 lat życia. Mam tam jeszcze znajomych. Łezka kręci się w oku. Lubię przypomnieć sobie dawne życie, ale po dwóch, trzech dniach tęskni mi się za Beskidami.



Marcin Urbaś na tarasie swojej chatki znajdującej się na Jaszczurowej w Beskidzie Małym. Mówi, że to jego miejsce na ziemi. Wymagające, ale pięknie się odwiedzające

FOT. ARC MARCINA URBASIA

PAD RES

**Święta Bożego Narodzenia to czas refleksji, bliskości
i patrzenia z nadzieją w przyszłość.**

**Z tej okazji składamy serdeczne życzenia spokoju, zdrowia
oraz dobrych chwil w gronie najbliższych.**

**Niech nowy rok przyniesie Państwu stabilność, rozwój
i energię do budowania lepszej przyszłości -
dla siebie, swoich bliskich i miejsc, w których żyjemy.**

**Szczególne życzenia kierujemy do mieszkańców gmin
Bledzew, Korzuchów, Strzelce Krajeńskie,
Świebodzin oraz Witnica.**

Dziękujemy za zaufanie i współpracę.

**Wesołych Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślności w Nowym Roku!**

Grupa PAD RES

*Grupa PAD RES to polski deweloper i inwestor
w odnawialne źródła energii, realizujący projekty
energetyczne w wielu regionach Polski.*

Czytał Pan „Opowieść wigilijską” Charlesa Dickensa? W jakim stopniu opisane w niej emocje są uniwersalne? Czy wartości z XIX wieku są nadal aktualne w obecnym stuleciu?

Trudno mi wyobrazić sobie Elona Muska, Marka Zuckerberga lub szwajcarskich, rosyjskich i chińskich miliarderów ogarniętych w Boże Narodzenie wyrzutami sumienia do tego stopnia, że rozdają część swojego majątku dziesiątkom milionów ubogich ludzi na całym świecie. Oni nie zachowują się tak jak bohater bajki Dickensa. Bill Gates jest jedynym wielkim szefem z branży nowych technologii, który dzieli się swoim majątkiem za pośrednictwem swojej fundacji – niezależnie od tego, czy jest Boże Narodzenie, czy nie. Należy pochwalić jego gest.

On jeden odpowiedział na apel Dickensa?

W przeciwieństwie do pana nie mam przekonania, czy Europejczycy na przełomie XIX i XX wieku mieli wyrzuty sumienia odnośnie tego, jak postępowali. Pomyślmy choćby o kolonizacji, która była wtedy w pełnym rozkwicie. Czy kolonizatorzy naprawdę mieli wyrzuty sumienia? Wątpię. W tamtych czasach część polityków potępiała ich działania, co jednak nie przeszkadzało w kontynuowaniu wyzysku skolonizowanych regionów.

Dickens napisał swoją powieść w szczytowym okresie rewolucji przemysłowej. Dzisiaj żyjemy w erze rewolucji cyfrowej. Czy możemy spodziewać się autora, który napisze „Opowieść wigilijską 2.0”?

Każda rewolucja społeczno-gospodarcza wywołuje wstrząs i głęboko zmienia dotknięte nim społeczeństwa. Rewolucja przemysłowa XIX wieku doprowadziła do zubożenia dziesiątek milionów ludzi. Większość z nich pochodziła ze wsi, ale rzeczywistość zmusiła ich do przenosin do miasta, gdzie pracowali w fabrykach po 10-15 godzin dziennie za gło-dowe wynagrodzenie.

Dzisiaj rewolucja cyfrowa doprowadza do tego, że głównie siedzimy w domach - gdzie przy laptopach i smartfonach też spędzamy po 10-15 godzin dziennie.

Zgadza się, tak to wygląda w krajach rozwiniętych. Ale już w Azji i Afryce nic się nie zmieniło, sytuacja przypomina tę, którą obserwowaliśmy w Europie w XIX wieku. Dzieje się to z korzyścią dla najbogatszych i tych, którzy są najbardziej zaawansowani w opanowywaniu nowych technologii. Korzystamy z tej taniej siły roboczej do produkcji komponentów elektronicznych niezbędnych do działania komputerów i sztucznej inteligencji. W tym sensie od czasów Dickensa nic

– Amerykańsko-rosyjskie negocjacje w sprawie losu Ukrainy przypominają spotkanie w Monachium z 1938 r., w czasie którego Wielka Brytania i Francja poświęciły Sudety w Czechosłowacji w nadziei zaspokojenia ambicji Hitlera – mówi Thierry Wolton, francuski eseista

Agaton Koziński

THIERRY WOLTON: JESTEŚMY ZNÓW W 1938 ROKU



FOT. EAST NEWS

Thierry Wolton: Putin stanowi dla Europy zagrożenie egzystencjalne, równie duże jak w swoim czasie Hitler. Na szczęście jest on starszy niż nazistowski przywódca, więc można mieć nadzieję, że nie zrealizuje w pełni swojego planu, jakim jest wywołanie konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Europą

się zasadniczo nie zmieniło – poza tym, że teraz wstrząsy rozgrywają się gdzie indziej.

Ta rewolucja oznacza dla Azji i Afryki tylko kryzys? A może też szansę?

Należy zaznaczyć, że tak krytykowana globalizacja znacznie zmniejszyła liczbę osób żyjących w skrajnym ubóstwie, czyli za mniej niż 2,5 dolara dziennie. W 1990 r. było to 36 proc. światowej populacji, w 2025 r. ten odsetek spadł do 9 proc. Widać więc zmianę na lepsze – choć nadal jest ona niewystarczająca.

Rozwarstwienia, do których doprowadziła rewolucja przemysłowa, sprawiły, że Europa przeżyła w XX wieku dwie wielkie wojny. Czy wnioski wyciągnięte z tych wojen straciły już na aktualności?

Niestety, dziś zaczynają się uwidaczniać podobieństwa. Proszę pamiętać o ważnym czynniku: gorące nacjonalistycznej. To ona odegrała kluczową rolę

w obu światowych konfliktach minionego stulecia. Obecnie mamy do czynienia z podobną sytuacją. Władimir Putin wyraźnie tęskni za Wielką Rosją, która została upokorzona wraz z upadkiem komunizmu. Z kolei Xi Jinping pragnie zemścić się na Zachodzie, który w pierwszej połowie XIX wieku – prowadząc wojnę opiumową – przyspieszył upadek ówczesnego chińskiego imperium.

Z tamtego upadku Chin zaczęły wychodzić dopiero pod koniec poprzedniego stulecia.

I po raz kolejny się potwierdza, że nacjonalizm jest najlepszym środkiem mobilizującym społeczeństwa – zwłaszcza w sytuacji, gdy znikają stałe punkty oparcia. Współczesny świat jest pogrążony w kryzysie gospodarczym, a także duchowym, a to wszystko sprzyja wojnie.

Kryzysów gospodarczych Zachód miał wiele po 1945 r. – ale żaden wojną się nie skończył.

Nic nie zastąpi dobrej wojny, aby ożywić gospodarkę, by ująć to brutalnie. Teraz zbiega się ze sobą kilka czynników w jednym momencie. Ponownie doświadczamy powolnego wzrostu gospodarczego w krajach rozwiniętych. Jednocześnie ludzie poszukują swojej drogi między wolnością, nowoczesnością, konserwatyzmem i bezpieczeństwem, w zależności od obozu i punktu widzenia. Wojna to też pewna forma eugeniki: przy ponad 7 miliardach ludzi żyjących na świecie, przy szybko rosnącej emigracji tak bardzo budzącej obawy wielu narodów, istnieje pokusa rozwiązania tych problemów w sposób ilościowy, czyli poprzez eliminację pewnej liczby ludzi.

Naprawdę Pan uważa, że takie procesy jak wojna są planowane?

Jest to skłonność bardziej nieświadoma niż świadoma. Trudno to przyznać, a jeszcze trudniej powiedzieć, ale nowa

Gazeta Lubuska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

globalna konfrontacja pozwoliłaby tymczasowo rozwiązać te egzystencjalne kwestie. Podkreślam, że rozważanie tego nie oznacza, że ja tej wojny pragnę. Po prostu widzę, jak różne czynniki zbiegają się ze sobą w jednym miejscu.

Rozmawiamy przy okazji wydania Pańskiej książki „Historia komunizmu na świecie. Współsprawcy”. Twierdzi Pan w niej, że narodziny komunizmu były reakcją na ogromne nierówności społeczne charakteryzujące Europę XIX i początki XX wieku. Dlaczego robotnicy dostrzegli w komunizmie swoją szansę?

W tamtym czasie komunizm postrzegano jako obietnicę emancypacji. Karol Marks twierdził, że walka klasowa położy kres wyzyskowi kapitalizmowi, a Włodzimierz Lenin mówił, że w systemie komunistycznym kucharka będzie rządzić państwem! Logiczne jest, że klasa robotnicza – a raczej część tej klasy, która uległa komunistycznej propagandzie – widziała w tych obietnicach szansę na swoje zbawienie. Jednak szybko nastąpiło rozczarowanie. Już w pierwszych miesiącach rządów bolszewików rosyjscy robotnicy zrozumieli, że nic się nie zmieni. Co gorsza, szybko zostali brutalnie uciszeni i nie mogli dochodzić swoich roszczeń. Tylko w Europie Zachodniej ślepotą pozwoliła na utrzymanie komunistycznych obietnic.

W Europie tradycyjnie obrońcą ubogich i wykluczonych był Kościół katolicki. Dlaczego więc robotnicy nagle zaczęli pokładać nadzieję w komunizmie, który od początku przedstawiał się jako przeciwnik Kościoła?

Siła przyciągania komunizmu wynika częściowo z tego, że plagiatował on przesłanie chrześcijańskie. Co obiecuje Kościół, jeśli nie to, że ostatni będą pierwszymi w niebie? To samo twierdziła doktryna komunistyczna w odniesieniu do dyktatury proletariatu.

Tyle że chcieli to robić bez Boga.

Właśnie. Prawdziwa różnica między chrześcijaństwem i komunizmem polega na weryfikacji obietnic. Nikt nie był w stanie sprawdzić, czy to, co głosi religia, jest prawdą, ponieważ nie wiadomo, co dzieje się po śmierci. Natomiast obietnice komunizmu rozbiły się o sposób, w jaki były one realizowane. Należy zauważyć, że pod rządami komunistycznymi Kościół był czasem schronieniem, a nawet bastionem oporu. Najlepszym tego przykładem jest Polska.

Opór polskiego Kościoła wobec komunizmu doprowadził do wyboru Jana Pawła II na papieża.

Polska stała na czele walki antykomunistycznej i jako pierwsza uwolniła się spod jarzma sowieckiego dzięki roli, jaką w tym odegrał Kościół katolicki. Kościół potrafił utrzymać wartości, które komuniści chcieli zniszczyć, tak jak udało im się uczynić w innych krajach, w których przejęli władzę po 1945 roku.

W jaki sposób komunizm, ideologia oparta na bardzo szlachetnych zasadach, przekształcił się w zbrodniczy totalitaryzm? Jak opisałby Pan ten mechanizm?

Nie mogło być inaczej, katastrofa tej doktryny była wpisana w nią samą. Po pierwsze, komunizm nie umiał zaakceptować żadnej innej ideologii poza własną. On dążył do tego, żeby w pełni zdominować umysły. To jest istota totalitaryzmu. Marks, mistrz teorii, powiedział, że walka klasowa jest motorem historii. Teoria ta, rozumiana dosłownie, oznacza, że aby posuwać się naprzód w historii, należy prowadzić walkę klasową. Dokładnie to robiły wszystkie kraje komunistyczne na świecie, łącznie było ich 26. Po przejęciu władzy one konsekwentnie niszczyły klasy społeczne, które uważały za szkodliwe: najpierw rolników, potem burżuazję, następnie intelektualistów, księży itp. Wszystko to w nadziei na postęp. Tylko co udało się osiągnąć w ten sposób? Jedynie zniszczono ludzi i doprowadzono do upadku systemu.

Dlaczego komunizm był tak długo akceptowany na świecie, pomimo swojego zbrodniczego charakteru?

Komunizm jest wierzeniem, starał się stać religią bez Boga. W rzeczywistości zamienił się w opium dla intelektualistów – jak go kiedyś określił filozof Raymond Aron. Wiara w komunistyczne idee skutecznie przesłaniała realne spojrzenie na rzeczywistość. Przecież przez dekady wielu zachodnich intelektualistów jeździło do Związku Radzieckiego lub maoistowskich Chin – ale tam nie widzieli niczego złego, ponieważ nie chcieli widzieć. Ten ich współudział przez długi czas pozwalał reżimom komunistycznym przetrwać, pomimo cierpienia, którym poddani byli obywatele komunistycznych krajów. I nikt o tym nie mówił – choć zawsze można było dowiedzieć się prawdy o komunizmie, jeśli ktoś tego chciał.

W swojej książce zwraca Pan uwagę, że zbrodnie komunistyczne nigdy nie zostały w pełni osądzone. Czego zabrakło?

Przed wszystkim brak woli politycznej. Na wszystkich poziomach. Ze strony państw demokratycznych górę wzięła szybka chęć zamknięcia tego rozdziału

i powrotu do normalności. Ze strony społeczeństw zachodnich - obojętność wobec nie-szczęść innych. Wszyscy chcieli spuścić tę zasłonę milczenia, bo każdy miał świadomość wszechstronnego współ-udziału w tym procesie. W krajach kapitalistycznych prawie wszyscy - od szefów koncer-nów przemysłowych, przez po-lityków po obywateli - byli współwinni, choćby poprzez milczenie lub zaniechanie.

Milcząca większość zwykłe rozstrzyga o procesach politycznych.

To zjawisko widzimy dziś po-nownie w przypadku współ-czesnych komunistycznych Chin. Wszyscy wiedzą, że ten reżim jest totalitarny, że uciska swój naród, zwłaszcza Ujgurów i Tybetańczyków, że stanowi zagrożenie dla swoich najbliż-szych sąsiadów, ale mimo to wielkie mocarstwa zabiegają o względy Xi Jinpinga. Nigdy nie docenia się wystarczająco roli chciwości, przekupstwa i egoizmu jako czynników po-wodujących obojętność wobec losu innych.

Ale Pan mówi o bieżącej poli-tyce - a ja zapytałem o prze-szłość. Dziś już jasno wia-domo, jak zbrodniczy był komu-nizm. Mimo to brakuje jednoznacznego rozliczenia tego systemu.

Osądzanie zbrodni komuni-zmu nie było łatwe pod koniec ubiegłego wieku i nie jest łatwe dzisiaj. Żadne państwo komu-nistyczne nie przegrało wojny. W przeciwieństwie do III Rze-szy. Naziści ponieśli porażkę, więc zwycięzcy mogli narzucić swoje prawo w Norymberdze. A jak ma osądzać komunizm, skoro główni oprawcy już nie żyją? Lenin, Stalin, Mao, Castro, Pol Pot, Ceausescu i wielu in-nych już dawno odeszli z tego świata. Wszystko to sprawia, że komunizm stopniowo znika z pamięci, w przeciwieństwie do nazizmu, który na szczęście został wykluczony z ludzkości. Ponadto różnorodność ofiar tych reżimów utrudnia osąd. W przypadku nazizmu było to prostsze, jeśli tak można po-wiedzieć, ponieważ głównymi byli Żydzi. W przypadku komu-nizmu ofiarą była ludzkość w całej swojej różnorodności, co moim zdaniem jest wymia-rem trudnym do ogarnięcia w ramach jednej oceny. I jest jeszcze jedna trudność.

Jaka?
Opór ideologiczny i moralny - to on sprawia, że tak wiele osób nie jest gotowych jednoznacznie potępić komunizm, a jego zbrodni uznać za zbrodnie przeciwko ludzkości.

Historia zatacza koło, dziś nie-równości społeczne na świecie

ponownie gwałtownie rosna - jak w XIX wieku. Według szacunków Rezerwy Federalnej 0,1 proc. najbogatszych Ame-rykanów posiada 14 proc. pry-watnego majątku zgromadzo-nego w Stanach Zjednoczo-nych, podczas gdy jeszcze 15 lat temu posiadali oni jedynie 10 proc. Czy zapowiada się nowa era komunizmu? Kto będzie dziś bronił wykluczonych i naj-biedniejszych?

Era komunizmu dobiegła końca. Ta ideologia powstała w XIX wieku, a została wpro-wadzona w życie w XX wieku - co zresztą okazało się jedną z przyczyn jej porażki i ogrom-nych szkód przez nią spowodo-wanych. Komunizm towarzy-szył, jeśli można tak to określić, rewolucji przemysłowej. Ale od tamtej pory świat poszedł naprzód. Na razie nie widać żadnej teorii ani doktryny, która mogłaby zastąpić marksizm-le-ninizm. Czy należy się tym martwić, skoro z doświadcze-nia wiemy, jak śmiertelne mogą być idee?

Polska przez komunizm prze-szła - i trudno znaleźć tych, którzy się martwią faktem, że to czas przeszły.

Właśnie. Oczywiście, należy zmniejszać nierówności, potę-piać wyzysk, nieść pomoc naj-biedniejszym. Ale jestem na tyle naiwny, by wierzyć, że - jak powiedział Winston Chur-

chill w swoim słynnym stwier-dzeniu - demokracja to bez wątplenia najgorszy system, z wyjątkiem wszystkich in-nych. Odrobina socjaldemo-kracji w tym systemie może sprawić, że stwierdzenie Chur-chilla stanie się jeszcze bar-dziej prawdziwe.

Mówi Pan, że era komunizmu już minęła. Byłem w listopadzie w Lyon i w kiosku zna-lazłem gazetę „Lutte Ouvrière”, tygodnik z sierpniem i młotem w logo. Zakładam, że ktoś ku-puje te gazety, skoro są sprze-dawane.

Nie twierdzę, że komunizm zo-stał całkowicie wyeliminowa-ny. Po pierwsze, nadal ist-nieją kraje, które wyznają marksizm-leninizm. Korea Pół-nocna, Chiny, Wietnam, Laos, Kuba, Erytrea to najbardziej ja-skrawe przykłady. Po drugie, ideologia cały czas się tli. Jej nieliczni zwolennicy, garstka nostalgików podsycą ten mały ogień.

Nie zawsze ogień da się kontro-lować, w każdej chwili może się wymknąć spod kontroli. Takie gazety jak „Lutte Ouvrière” ła-two się od niego zajmą.

Moim zdaniem nie ma takiego ryzyka, żeby zaczęła płonąć cała równina - by trawestować powiedzenie Mao Zedonga. Są też tacy zwolennicy tej ideolo-gii, którzy twierdzą, że praw-

dziwy komunizm nigdy tak na-prawdę nie powstał - i są pewni, że to właśnie im uda się to osiągnąć.

Zohran Mamdani, polityk od-wołujący się otwarcie do tej ideologii, został niedawno bur-mistrzem Nowego Jorku.

Dla mnie argument o tym, że prawdziwego komunizmu ni-gdy nie było, nie jest zbyt wia-rygodny. Reżimy, które wyzna-wały tę ideologię w ubiegłym stuleciu, zakończyły się kata-strofą, niezależnie od ich histo-rii, kultury, położenia geogra-ficznego itp. Te próby nigdzie się nie sprawdziły. Gdzie więc wprowadzić „prawdziwy” ko-munizm? Na Księżycu?

Przejęcie władzy przez komu-nistów na początku XX wieku zbiegło się w czasie z wybu-chem pierwszej wojny świato-wej. Dziś wojna szaleje na Ukrainie. Rozmawialiśmy rok temu i wtedy bardzo Pan obawiał się wybuchu trzeciej wojny światowej. Czy cofnęli-smy się do 1913 roku?

Raczej do 1938 roku! Przecież amerykańsko-rosyjskie nego-cjacje w sprawie losu Ukrainy przypominają spotkanie w Mo-nachium z 1938 roku, w czasie którego Wielka Brytania i Fran-cja poświęciły Sudety w Cze-chosłowacji w nadziei zaspoko-żenia ambicji Hitlera i złagodze-nia zagrożenia, jakie stanowił

on dla Europy. To właśnie po konferencji w Monachium Churchill zwrócił się do ówczesnego brytyjskiego premiera Neville'a Chamberlaina nastę-pującymi słowami: „Chciałeś uniknąć wojny za cenę hańby. Masz hańbę i będziesz miał wojnę”.

I teraz historia się powtarza? Mamy nowe pokolenie Cham-berlainów?

Nie sądzę, żeby historia się po-wtarzała. Ale faktem jest, że zachowania ludzi w obliczu wydarzeń są często takie same. Uważam, że Putin sta-nowi dla Europy zagrożenie egzystencjalne, równie duże jak w swoim czasie Hitler. Na szczęście jest on starszy niż nazistowski przywódca w mo-mencie podpisania układu monachijskiego, więc można mieć nadzieję, że nie zreali-zuje w pełni swojego planu, jakim jest wywołanie kon-fliktu między Stanami Zjedno-czonymi a Europą, a następnie finlandyzacja Starego Konty-nentu z korzyścią dla Rosji. Ale w najbliższej przyszłości należy się niestety obawiać, że Ukraina - pod presją Stanów Zjednoczonych i przy bezsil-ności Europy - straci swoją su-werenność, tak jak niegdyś Czechosłowacja. Wtedy my (demokracje zachodnie) ponieśliemy hańbę, nie będąc w stanie zapobiec wojnie!

MATERIAŁ INFORMACYJNY URZĘDU MARSZAŁKOWSKIEGO WOJEWÓDZTWA LUBUSKIEGO

0011438221

Województwo lubuskie stawia na nowoczesną edukację i odpowiedzialność ekologiczną.

Lubuska Edukacja Ekologiczno-Klimatyczna „NAUKA” - Zielona inwestycja w przyszłość!

Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji w Drzonkowie oraz Gorzowski Ośrodek Technolo-giczny w Gorzowie Wielkopolskim przy współpracy z Areną Gorzów stały się centrum ekolo-gicznej edukacji młodzieży z całego województwa. Projekt ma na celu podniesienie świadomości ekologicznej wśród dzie-ci i młodzieży oraz kształtowa-nie odpowiedzialnych postaw wobec zmian klimatycznych.

Edukacja przez doświadczenie

W ramach projektu organizo-wane są: warsztaty, prelekcje, zajęcia terenowe i eksperymen-ty naukowe, które przybliżają uczestnikom najważniejsze za-gadnienia związane z ochro-ną środowiska, odnawialnymi źródłami energii, gospodaro-waniem odpadami, bioróżnorod-nością czy wpływem człowieka na zmiany klimatu. Dzieci i mło-

dzież uczą się poprzez działanie - budują modele ekologicznych instalacji, prowadzą pomiary ja-kości powietrza, badają lokal-ne ekosystemy i uczą się, jak na co dzień podejmować odpo-wiedzialne decyzje, które będą służyły środowisku.

Współpraca i nowoczesne podejście

Projekt „Lubuska Edukacja Ekologiczno-Klimatyczna (NAUKA)” wyróżnia się innowacyj-nym podejściem do edukacji - łączy teorię z praktyką, wyko-rzystuje nowoczesne narzędzia dydaktyczne, a także aktywnie włącza uczestników do działań badawczych. Dzięki zaangażo-waniu ekspertów z dziedziny nauk przyrodniczych, edukato-rów i pracowników naukowych, młodzi Lubuszanie mają okazję uczyć się od najlepszych.

- Chcemy, by młodzież nie tyl-ko zrozumiała mechanizmy rzą-dzące środowiskiem i klimatem, ale także poczuła, że ma realny wpływ na otaczający świat - mówi Marszałek Województwa Lubuskiego Sebastian Ciemno-czołowski. - Projekt „Lubuska



Edukacja Ekologiczno-Klima-tyczna (NAUKA)” to inwestycja w świadomość i odpowiedzial-ność przyszłych pokoleń.

Województwo Lubuskie - zielone serce edukacji

WOSiR w Drzonkowie i Arena Gorzów w Gorzowie Wielkopolskim, wybór tych miejsc do re-



alizacji projektu był strzałem w „10”. Otoczone lasami ośrodki w naturalny sposób sprzy-jają pracy w terenie i obserwa-cji przyrody. Filia w Gorzowie, działając równolegle z centrum w Zielonej Górze, umożliwia sy-nergiczne połączenie działań edukacyjnych, wzmacniając cały region i zwiększając jego

konkurencyjność edukacyjną. Oba ośrodki wspierają rozwój kluczowych kompetencji uczy-niów i nauczycieli, zwiększając efektywność realizowanych dzia-łań. Obiekty Centrum Edukacji Ekologicznej zostały dostoso-wane do potrzeb edukacyjnych - powstały tam m.in. eko-klasy, ścieżki edukacyjne oraz punkty obserwacyjne. Dzięki wyposaże-niu Centrów w sprzęt do nauki metodą eksperymentu możli-we jest zwiększenie zaangażo-wania uczniów w proces nauki, przybliżenie nauczycielom ko-rzyści wynikających z kształce-nia interdyscyplinarnego, a tak-że przyczynienie się do rozwoju kompetencji emocjonalno-spo-tecznych, umiejętności i kom-petencji kluczowych, przekrojowych, przyszłości i zawodowych niezbędnych na rynku pracy, w tym kompetencji cyfrowych, zielonych oraz rozwijających ta-lenty i zainteresowania uczniów.

Przyszłość to edukacja

Projekt „Lubuska Edukacja Eko-logiczno-Klimatyczna (NAUKA)” to odpowiedź na jedno z naj-większych wyzwań XXI wieku -

konieczność przeciwdziałania zmianom klimatycznym poprzez rozwój edukacji ekologicznej. Lu-buskie pokazuje, że nawet regio-nalne inicjatywy mogą mieć wiel-ki wpływ na przyszłość planety. Zainteresowanie projektem jest ogromne - już 95 szkół i 1866 uczniów z całego województwa wzięło udział w warsztatach, a projekt zakłada docelowo udział 150 szkół, 4660 uczniów i 300 nauczycieli. Czas realizacji projektu to 31 grudnia 2026 r. Czekamy na kolejne zaintereso-wane jednostki.

„Edukacja ekologiczna to nie moda, to konieczność. Dzięki projektowi młodzi Lubuszanie uczą się nie tylko jak chronić przyrodę, ale także jak być jej ambasadorami w swoich lokal-nych społecznościach. Zapra-szam wszystkie szkoły w terenie województwa lubuskiego, które dotychczas nie wzięły udziału w projekcie do zgłoszenia swoje-go uczestnictwa”. (mówi Marsza-łek Województwa Lubuskiego - Sebastian Ciemnoczołowski) Szczegóły pod linkiem: <https://lubuskie.pl/cms/417/> kontakt_educacja_ekologiczna



Fundusze Europejskie
dla Lubuskiego



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



Lubuskie
Warte zachodu

BOŻONARODZENIOWE CRIME STORY

Okres świąt to nie tylko czas radości, ale i wielkich dramatów. Zbrodnie dokonane w Boże Narodzenie są dość charakterystyczne. Stoją za nimi emocje: nienawiść, gniew, duma, zazdrość, uraza skrywana przez lata.

Ofiary giną najczęściej z rąk bliskich sobie osób lub przynajmniej znajomych. Często przy świątecznym stole

Dorota Kowalska

Lbliża się Boże Narodzenie. Senior rodu Simeon Lee do swej rezydencji zaprasza rodzinę. Spotkanie jest nietypowe, gdyż Lee niemal nie utrzymywał z dziećmi kontaktów. Mało przyjemnej atmosfery nie poprawia pojawienie się uchodzącego za czarną owcę syna, a tym bardziej wnuczki, którą rodzina widzi po raz pierwszy. W ponurych nastrojach podsycanych pragnieniem odziedziczenia jak największego spadku zebrani dowiadują się

o zabójstwie złośliwego milionera. Do akcji wkracza niezastąpiony Herkules Poirot. Przed dektetywem trudna zagadka – okazuje się bowiem, że z sypialni Simeona zniknęły diamenty, nie wszyscy goście ujawnili prawdziwą tożsamość, a zamordowany miał niejednego wroga” – to zapowiedź książki pt. „Morderstwo w Boże Narodzenie” autorstwa niezawodnej Agathy Christie. Herkules Poirot oczywiście rozwiąże zagadkę śmierci Simeona Lee, podobnie jak nieksiążkowi śledczy rozwią-

zują w rzeczywistym świecie tajemnice morderstw dokonanych w czasie, który powinien nas łączyć, nie dzielić.

Zmowa milczenia

Najbardziej znany świąteczny dramat to zbrodnia związana ze wsią Zrębin, okrzyknięta mianem zbrodni połańieckiej. Zrębin: niewielka wieś pod Połańcem leży dzisiaj w woj. świętokrzyskim. Niemal pięćdziesiąt lat temu wiodła tędy droga, wzdłuż której stało kilkadziesiąt gospodarstw, sklep, remiza,

a wokół lasy i pola. W Zrębinie mieszkali trzy spokrewnione ze sobą rodziny: Sojdów, Adasiów i Kalitów. Te dwie pierwsze nie miały najlepszych relacji z tą trzecią: właśnie, konflikty doprowadziły do tragedii, potwornego mordu, o którym mówiła i pisała cała Polska.

W Wigilię 1976 roku w kościele w Połańcu odbywała się pasterka, przyszedł na nią mieszkańcy okolicznych wiosek, także ci ze Zrębina. Na mszy nie zabrakło młodego małżeństwa Łukaszów – 25-letniego Stani-

slawa i jego ciężarnej 19-letniej żony Krystyny, był też brat Krystyny – 12-letni Mieczysław Kalita. Ale ta trójka nie dotrwała do końca pasterki, w pewnym momencie do młodych podeszła cioteczna kuzynka Kalitów i przekazała, że ojciec Krystyny urządził w domu awanturę i muszą jak najszybciej wrócić do Zrębina. Stanisław, Krystyna i Mieczysław ruszyli pieszo do swojej wsi.

W tym samym czasie na drodze pojawiły się trzy pojazdy: fiat i dwa autobusy pełne rozwe-

selonych pasażerów wracających z alkoholowej imprezy. Był wśród nich Jan Sojda z zięciami. W pewnym momencie jeden z nich, Jan, kierujący samochodem osobowym potrącił Mietka Kalitę.

Krystyna i Stanisław rzucili się mu na ratunek, a wtedy z autobusów wyskoczyli Józef Adaś i Jan Sojda. Stanisława pobili 3-kilogramowym kluczem do odkręcania kół. Kiedy skończyli, ruszyli za uciekającą Krystyną. Kobieta była w 5. miesiącu ciąży. Dopadli ją i zaczęli bić. Rozpaczliwie krzyczała: „Wujku, nie zabijaj mnie, wujku, zabrałeś mi męża i brata, zostaw chociaż mnie matkę”. Nie słuchali, zatłukli Krystynę na śmierć. Potem rozebrali, pozorując gwałt. Na koniec przejechali fiatem po ciele Mietka, który jeszcze żył i przeraźliwie jęczał.

Jak potem ustalono w śledztwie, pośród pasażerów byli partyjni aktywiści, sołtys, a nawet członek ORMÓ (Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej).

Niektórzy próbowali wybiec z autobusu, ale w drzwiach stanął zięć Sojdy – Stanisław Kulpiński. Groził, że jeśli ktoś ucieknie, spotka go los „Kalitowych dzieci”.

Wsiadli więc do autobusu i pojechali na pasterkę. W drodze do Połańca Sojda kazał wszystkim pasażerom uklęknąć i przyrzekać, że nikomu nie powiedzą o tym, co widzieli. Każ-

REKLAMA

0011448099

Dziękujemy za wsparcie

Hospicjum Św. Kamila w Gorzowie Wlkp. ponad 30 lat działa dla chorych dzieci i dorosłych.

Specjalistyczne wsparcie, które otrzymują Pacjenci, jest możliwe dzięki darowiznom rzeczowym i pieniężnym od wspaniałych ludzi dobrej woli.

Dziękujemy Darczyńcom i Wolontariuszom za to, że ufają naszej instytucji i nieustannie wyciągają do nas pomocną dłoń.

Życzymy Wszystkim zdrowia, niegasnącej nadziei i dużo dobra oraz spokoju i radości w Święta Bożego Narodzenia i w Nowym Roku.

Dyrektor, Zarząd i pracownicy Hospicjum Św. Kamila



Hospicjum Św. Kamila
ul. Stilonowa 21, Gorzów Wielkopolski
Tel. 787 956 313
www.hospicjum-gorzow.pl

Hospicjum Św. Kamila jest organizacją pozarządową pożytku publicznego. Udzielamy pomocy w ramach: Hospicjum Stacjonarnego, Hospicjum Domowego dla Dorosłych i Dzieci, Działu Pobytu Dziennego dla Seniorów i Pacjentów z chorobą Alzheimera, Działu Fizjoterapii, Świetlicy Jaskółka – dla dzieci osieroconych, bezpłatnej Wypożyczalni Sprzętu.

1,5%
KRS
0000026814



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Paradoksalnie w Boże Narodzenie policja ma sporo pracy

demu dawał krzyżyk do całowania, nakłuwał palec agraftą, świadkowie mieli zostawić ślad własnej krwi na kartce papieru, swoistą pieczęć, przyrzeczenie milczenia.

W kościele pasażerowie autobusów wmieszali się w tłum. Jak gdyby nigdy nic śpiewali koledzy, cieszyli się z nadejścia Chrystusa.

No dobrze, ale wróćmy do źródeł sąsiedzkiego konfliktu. Ten trwał latami. Dziadek Krystyny miał kiedyś pomagać w zatrzymaniu Jana Sojdy, podejrzanego o dokonanie gwałtu; później Sojda został skazany na 8 miesięcy więzienia. Kilka lat po wyjściu z zakładu karnego na podwórku Jana Sojdy w dziwnych okolicznościach zginął syn dziadka Kalitów.

Broń, z której zabito kilkunastoletniego chłopca, należała do Sojdy, ale jak ustaliło milicyjne śledztwo, strzelał znajomy Jana. Podobno mężczyzna celował w psa, jednak kula trafiła w dziecko. Śmierć z wykrwawienia nastąpiła w ciągu 5 minut. Za nieumyślne spowodowanie śmierci sprawca odsiedział wyrok, po wyjściu na wolność zginął w wypadku.

Przez lata konflikt pomiędzy Kalitami oraz Sojdami narastał. Momentem przełomowym stało się wesele Krystyny i Staszka, na które zaproszono

Sojdów, obie rodziny były jednak spokrewnione. Siostra Sojdy, Helena, piekła nawet ciasta na weselny stół, inni też pomagali jak mogli. Tyle tylko, że któryś z biesiadników zauważył, jak Hela Sojda wynosi wesełną kiełbasę i część wypożyczonej zastawy stołowej. Na drugi dzień cała wieś mówiła tylko o tym. To był skandal, Jan Sojda nie mógł znieść takiej zniewagi. Poprzysiągł zemstę i dotrzymał słowa.

Jeszcze tej samej nocy na miejscu tragedii pojawili się funkcjonariusze MO w Staszowie. Byli przekonani, że doszło do nieszczęśliwego wypadku drogowego, ale z czasem narastały wątpliwości, które doprowadziły ich do najbogatszego gospodarza w okolicy - Jana Sojdy, zwanego też „królem Zrębina”. Bo Sojda to był bogacz, miał ciągnik i telefon, nie miał ich nawet miejscowy sołtys. Był przed laty ławnikiem w sądzie, miał znajomości, dobrze trzymał z lokalną władzą.

Tyle że do śledczych docierało coraz więcej niepokojących informacji. Usłyszeli, że chłopiec wracając z pasterki wykrzykiwał pod oknami Sojdów: „Zabiliście tyłu ludzi, zabiliście mojego kolegę!”. Milicjanci przesłuchali 14-letniego Stasia S., który zeznał, że widział Józefa Adasia w wigilijną noc przy zwłokach ofiar. Rok później Adaś został aresztowany pod zarzutem spowodowania

wypadku ze skutkiem śmiertelnym.

Inni mieszkańcy Zrębina też zaczęli wspominać wigilijną noc 1976 roku, bo dokładnie wiedzieli, co się stało na drodze do Połańca. Jan Sojda wciąż próbował kupić milczenie sąsiadów, organizował potajemne spotkania ze świadkami, przekonywał, że mają siedzieć cicho. Tym, którzy się wahali, przystawiał nóż do gardła, groził śmiercią. Część świadków zgłosiła się jednak na milicję.

W maju 1977 roku Jan Sojda został aresztowany, potem do aresztu trafili również jego zięciowie. W listopadzie 1978 roku rozpoczął się proces morderców trójki młodych ludzi.

W czasie procesu rodziny oskarżonych nadal zastraszały świadków. Skutecznie. 38 osób wezwanych przed oblicze sądu milczało bądź odwoływało wcześniejsze zeznania. Ich stałą formułą wygłaszaną przed sądem było: „Nie oświadczam się”. Dopiero zarządzone przez sąd kary pieniężne i areszty skłoniły tych ludzi do zeznań. Sami oskarżeni nie przyznawali się do winy. Utrzymywali, że w noc wigilijną nie wychodzili z domów. 10 listopada 1979 roku Sąd Wojewódzki w Tarnobrzegu skazał wszystkich czterech oskarżonych na karę śmierci. obrońcy skazanych złożyli

Ciąg dalszy na str. 38

REKLAMA

0011445588



Wiśniowa Clinic



ODDZIAŁY, PORADNIE I PRACOWNIE

- ODDZIAŁ CHIRURGII JEDNEGO DNIA
UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
- ODDZIAŁ UROLOGII JEDNEGO DNIA
UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
- ODDZIAŁ UROLOGII DZIECIĘCEJ JEDNEGO DNIA
UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
- ODDZIAŁ OKULISTYCZNY JEDNEGO DNIA
/leczenie operacyjne zaćmy, program lekowy AMD/
UMOWA Z NFZ
- ODDZIAŁ CHIRURGII PLASTYCZNEJ
JEDNEGO DNIA ZABIEGI PRYWATNE
- ODDZIAŁ LARYNGOLOGII JEDNEGO DNIA
UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
- PORADNIA GASTROENTEROLOGII
UMOWA Z NFZ
- PORADNIA CHIRURGICZNA UMOWA Z NFZ
- PORADNIA UROLOGICZNA DLA DOROSŁYCH
UMOWA Z NFZ
- PORADNIA UROLOGICZNA DLA DZIECI
UMOWA Z NFZ
- PRACOWNIA ENDOSKOPOWA PRZEWODU
POKARMOWEGO /kolonoskopia, gastroskopia
UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
- PRACOWNIA ESWL UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
/kruszenie kamieni nerkowo-moczowodowych/
- PRACOWNIA URODYNAMICZNA
UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
- PRACOWNIA USG UMOWA Z NFZ / ZABIEGI PRYWATNE
- PORADNIA CHOROÓB PŁUC UMOWA Z NFZ
- PORADNIA LARYNGOLOGICZNA UMOWA Z NFZ
- PORADNIA OKULISTYCZNA UMOWA Z NFZ
- PORADNIA LEKARZA POZ UMOWA Z NFZ
- PORADNIA KARDIOLOGICZNA UMOWA Z NFZ
- PORADNIA ORTOPEDYCZNA UMOWA Z NFZ
(ul. Wyszyńskiego 99, I p., pokój 102)

GABINETY PRYWATNE

- GABINET KARDIOLOGICZNY
- GABINET KARDIOLOGICZNY -DZIECIĘCY
- GABINET GINEKOLOGICZNO-POŁOŻNICZY
- GABINET GINEKOLOGICZNO-ONKOLOGICZNY
- GABINET UROLOGICZNY
- GABINET UROLOGII I CHIRURGII DZIECIĘCEJ
- GABINET CHIRURGII OGÓLNEJ I ONKOL.
- GABINET PEDIATRYCZNY
- GABINET NEUROLOGICZNY
- GABINET NEUROLOGII DZIECIĘCEJ
- GABINET ORTOPEDYCZNY
- GABINET NEUROCHIRURGICZNY
- GABINET CHIRURGII NACZYNIOWEJ
- GABINET DERMATOLOGII I MEDYCYNY
ESTETYCZNEJ
- GABINET HEMATOLOGICZNY
- GABINET PSYCHOLOGICZNO-
TERAPEUTYCZNY
- GABINET LARYNGOLOGICZNY
- FIZJOTERAPEUTA

CELOWANA FUZYJNA BIOPSJA PROSTATY

dr n.med.
ADAM HALIŃSKI
tel. 666 454 508

REJESTRACJA

PORADNIE I PRACOWNIE
tel. 601 689 667
tel. 68 454 64 45-46

REJESTRACJA OKULISTYCZ.
tel. 604 275 558

ODDZIAŁY JEDNODNIOWE
tel. 666 45 45 08
600 98 36 27

GABINETY PRYWATNE
tel. 693 44 06 44

ul. Anieli Krzywoń 2
Zielona Góra
www.urolog.zgora.pl
www.WisniowaClinic.pl

W tym wyjątkowym, świątecznym czasie pragniemy życzyć Państwu chwili wytchnienia, zdrowia oraz harmonii.
Niech Święta przyniosą radość, a Nowy Rok otworzy nowe możliwości i obdarzy Państwa wszelkim dobrem.

Klinika Wiśniowa

Dokończenie ze str. 37

wniosek o rewizję wyroku do Sądu Najwyższego.

W lutym 1982 roku Sąd Najwyższy uznał, że nie wszyscy skazani przez sąd I instancji byli w równym stopniu winni popełnionej zbrodni. Jerzemu S. i Stanisławowi K. zamieniono wyroki śmierci na kary - odpowiednio 25 i 15 lat więzienia. W przypadku Jana Sojdy i Józefa Adasia wyrok został utrzymany w mocy. Wyroki śmierci wykonano poprzez powieszenie.

Ktoś bliski

Śledczy podkreślają, że zbrodnie dokonane w Boże Narodzenie, w ogóle w święta, to zbrodnie dość charakterystyczne. Stoją za nimi ogromne emocje: nienawiść, gniew, duma, zazdrość. Ofiary giną najczęściej z rąk bliskich sobie osób, lub przynajmniej znajomych, jak Krystyna, Stanisław i Mietek Kalita.

Morderstwo w Sławie Wielkopolskiej w powiecie wągrowieckim zszokowało nawet zadowolonych śledczych. Wszystko wydarzyło się 24 grudnia 2008 roku, kiedy w wigilijną noc większość mieszkańców szła na pasterkę. 15-letnia Natalia od wielu lat знаła się ze starszym od siebie o dwa lata Adamem. 17-latek mieszkał sam. Wyniósł się z domu, bo ponoć nie mógł w nim wy-



FOT. AKTA SPRAWY

Najbardziej znany świąteczny dramat to zbrodnia związana ze wsią Zrębin, okrzyknięta mianem zbrodni połanieckiej. Na zdjęciu wizja lokalna

trzymać. Natalia zaproponowała, by spędzić Wigilię razem z nią i jej bliskimi. Chłopak odmówił. Po rodzinnym spotkaniu 15-latek poszedł do niego z opłatkiem. U Adama trwała imieninowa impreza. Młodzi ludzie pili na niej alkohol. Kiedy goście postanowili pójść na pasterkę, 17-latek i Natalia zostali sami.

Wtedy Adam rzucił się na Natalię. Chciał namówić ją na seks. Dziewczyna odmawiała, miała chłopaka, Adama traktowała jak dobrego kolegę. Chłopak chwycił za nóż i pięciokrotnie dźgnął nim koleżankę. 15-latek zmarła.

Bliscy nastolatki, zaniepokojeni jej długą nieobecnością, usiłowali dozwonić się do Natalii na komórkę. Telefon nie odpo-

wiadał. Rodzina na własną rękę rozpoczęła poszukiwania. Poszli też do mieszkania Adama. Wyważyli drzwi, Natalia leżała pokonnie, wszędzie była krew.

17-latek sam zgłosił się na policję. Kilka miesięcy później, w maju 2009 roku stanął przed sądem. Na sali rozpraw zwrócił się do bliskich Natalii, przeprosił. Chłopak został ska-

zany na maksymalną karę, 25 lat więzienia.

Trzy lata wcześniej 23-letni Szymon dowiedział się o tym, że będzie ojcem, jego partnerka była w zaawansowanej ciąży. W Wigilię Bożego Narodzenia para spacerowała nad brzegiem Warty w Poznaniu i wtedy 24-letnia wówczas Dorota, powiedziała mężczyźnie, że nie chce, by miał jakikolwiek kontakt z dzieckiem. Szymon zadał jej 20 ciosów nożem, potem wsadził zwłoki kobiety do bagażnika swojego samochodu i wywiózł w okolice Rogoźna, kilkadziesiąt kilometrów od Poznania. Ciało ukrył na działce swojej ciotki. Przesłuchiwany, wielokrotnie zmieniał zeznania, ale kiedy policjanci znaleźli w bagażniku jego auta ślady krwi, przyznał się do zabójstwa.

- Sam nie jestem w stanie odpowiedzieć, dlaczego to się stało (...) Dwójka młodych ludzi, którzy kochali się, mieli problemy finansowe, religijne, w końcu znienawidzili się - mówił, płacząc przed sądem, oskarżony.

Został skazany za podwójne zabójstwo na dożywocie.

Rok temu w Gostyninie na Mazowszu podczas kolacji wigilijnej 35-letni mężczyzna zaatakował swoją 64-letnią matkę i 63-letniego ojca. Kobieta zmarła, mężczyzna trafił do szpitala.

Tego samego roku w Wigilię Bożego Narodzenia Piotr odwie-

dził swojego starszego brata Pawła. Wszyscy mieszkali w Bogdanie. Świętowali, pili alkohol. Może dlatego szybko doszło do kłótni. Piotr zaatakował brata, bił go po całym ciele jakimś tępym narzędziem. Tej samej nocy poszedł do domu, ale następnego dnia wrócił na miejsce zbrodni. Gdy zobaczył, co zrobił, zadzwonił na numer alarmowy. Na ratunek było już jednak za późno.

Wciąż nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że gdy ostatni raz widział brata, ten był jeszcze żywy, ale przeczą temu dowody.

Trudny czas

W święta spotkamy się z rodziną, przyjaciółmi, bliskimi.

- To czas trudny dla wielu rodzin, bo te dni pokazują, jaka jest wewnętrzna komunikacja w rodzinie, jakie są w niej napięcia i wciąż nierozwiązane konflikty - tłumaczyła w Polskim Radiu 24 Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska, psycholog i psychoterapeuta.

Spotykamy się przy świątecznym stole, na małej przestrzeni i często bardzo szybko okazuje się, że nie potrafimy ze sobą rozmawiać. Babcie zadają pytania o odkładany ślub, o to, kiedy wreszcie zdecydujemy się na dzieci, wujostwo pyta, jak idzie nam w pracy, a czasami idzie średnio. Odzywają się stare urazy, konflikty sprzed lat. Jak twierdzi Małgorzata Czyżew-

REKLAMA

0011452194

Drodzy Kibice, Sponsorzy i Przyjaciele Klubu,

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia pragniemy złożyć Państwu serdeczne życzenia.

Niech ten czas będzie pełen radości, spokoju i rodzinnej atmosfery.

Życzymy, aby nadchodzący rok przyniósł wiele satysfakcji zarówno w życiu prywatnym, jak i na żuźlowej arenie.

Mamy nadzieję, że determinacja i pasja, które wszyscy wkładamy w rozwój klubu będą prowadzić Stal Gorzów do sportowych sukcesów na miarę oczekiwań naszych Kibiców.

*Zdrowych i pogodnych Świąt
oraz Szczęśliwego Nowego Roku*

życzą

Zarząd i pracownicy Stali Gorzów Wielkopolski S.A.



ska-Kleczkowska, sytuacja jest ciężka, zwłaszcza kiedy jedziemy do domów rodzinnych na tak zwanej prowincji, a od lat żyjemy w dużych aglomeracjach. Tam zmienia się nasze spojrzenie na świat, mamy inną hierarchię potrzeb niż rodzice czy dalsza rodzina.

- Trzeba nauczyć się rozmawiać z rodzicami, potrafić im powiedzieć: „Tak wiem, że chcielibyście mieć wnuki, ale to dla mnie delikatna sprawa, a ja nie przyjechałam do was, aby o tym teraz rozmawiać podczas świąt, tylko aby cieszyć się waszą obecnością” - tłumaczy Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska.

Psycholog, dr Bartosz Zalewski ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, jest podobnego zdania i wymienia różne powody konfliktów, do których może dochodzić przy świątecznym stole. Pewne napięcia mogą się wiązać z etapem, w jakim jest dana rodzina, z tym, że dzieci są chociażby w okresie budowania swojej tożsamości i negowania tego, czego rodzice od nich oczekują, czy z tym, że rodzina nie jest zadowolona z wyborów podejmowanych przez dzieci.

Innym powodem konfliktów może być to, że podczas spotkań, zwłaszcza w dużym gronie, nie każdy z każdym się lubi. Atmosfera gęstnieje, jeśli przebywamy w towarzystwie osób, z którymi rzadziej się widzujemy.

W takich relacjach nie musimy mieć jeszcze wypracowanych sposobów wspólnego rozładowywania napięcia.

- Warto dać sobie trochę czasu - radzi psycholog. I dodaje, że można samemu pójść na spacer czy zaaranżować sobie chwilę w samotności.

Poza tym, jak zaznacza dr Zalewski, konflikty pojawiają się, kiedy puszczają hamulce po alkoholu, bo w Polsce w święta tego prawie nie brakuje.

Napięcie może wynikać też z oczekiwania, że święta mają być idealne. Jedni chcą, by cały czas było przyjemnie i miło, inni uważają, że to trudny i sztuczny czas.

- Jak człowiek jest jeden, to przeżywa w środku oba te podejścia. A jak jest więcej osób, rozkłada się to między nimi - mówi psycholog. Wyjaśnia, że podobny mechanizm może działać również w przypadku innych złożonych spraw, które zdarzają się w relacjach. Warto sobie zatem uświadomić, że to, co mówi dana osoba, jest nie tylko wyrażeniem jej własnych poglądów, ale również pewnej tendencji obecnej w rodzinie czy relacji.

Dr Zalewski opowiada też o innym mechanizmie, który może prowadzić do konfliktów.

- Bywa tak, że jakaś część rodziny jest stawiana w roli tych, którzy sprawiają kłopoty, dzięki czemu cała reszta rodziny może

czuć, że osiąga sukcesy. W czasie świąt taki mechanizm może się nasilać - mówi. Wyjaśnia, że spokój w rodzinie bywa przywracany przez koncentrowanie się na tych słabszych osobach, omawianie ich problemów, krytykowanie ich lub radzenie im.

- Tak też jest trochę na poziomie społecznym: nierzadko potrzebna jest jakaś grupa, która będzie tą trudną, tą gorszą. Przez to pozostała część społeczeństwa czuje się dobra, odpowiednia - dodaje psycholog.

Osoby, które stosują tę strategię, nie zawsze są jej świadome.

- Warto się zastanowić, czy na pewno jest tak, że w rodzinie dane osoby zawsze sobie radzą, a inne zawsze sobie nie radzą - mówi dr Zalewski. Przyznaje, że dla osób, które są stawiane w roli tych „gorszych”, taka sytuacja jest trudna. A wcale nie jest łatwo przekonać rodzinę, że nie jest się tym gorszym. Wtedy można poszukać wsparcia w tych członkach rodziny, którzy negocjują, starają się rozumieć różne strony.

- Chyba że chcemy konfrontacji. Wtedy wiadomo, do kogo się zwrócić, do tego, który u szczytu stołu rozdziela role rodzinne - mówi psycholog. - Większość rodzin ma sposoby rozwiązywania sytuacji konfliktowych. W okresie świątecznym siłą jest to, że jest więcej osób i zwykle ktoś podejmuje się łagodzenia konfliktów - dodaje.

Pewnie, że tak. W końcu trudne momenty w czasie świąt zdarzają się w wielu rodzinach i nie dochodzi w nich do zbrodni. Ale, jak podkreślają psychologowie, to czas, który - paradoksalnie - uwypukla także to, co nas dzieli.

Śmierć na oczach dzieci

Nie tylko w Polsce 24 grudnia dochodzi do brutalnych morderstw.

W 2017 roku 45-letni internetowy celebryta Anthony Milan Ross zabił w Phoenix w Boże Narodzenie swoją 38-letnią żonę Iris, z którą był w separacji, i dwójkę swoich dzieci: 11-let-

niego Nigela oraz 10-miesięczną Anorę.

Do tragedii doszło półtorej godziny po tym, jak Ross udostępnił w mediach społecznościowych nagranie, na którym wraz z synem Nigelem śpiewa kolędę.

Szwagierka oskarżonego, Mary Wogas, w bożonarodzeniowe popołudnie otrzymała od Rossa dwie wiadomości.

- Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak - relacjonowała kobieta.

„Zabiłem Iris i dzieci” - brzmiał pierwszy SMS. W drugim Ross miał wyznać, że zrobił to z użyciem broni palnej.

- Wiedziałam, że był niestabilny i miał mroczną stronę, ale nie sądziłam, że aż tak - skomentowała Wogas.

Sąsiedzi, świadkowie zdarzenia, zobaczyli, jak Ross strzela do żony, kiedy ta próbowała uciec z domu. Mieli wtedy zapytać mężczyznę, czy z jego żoną wszystko w porządku, na co ten wycełował do nich i powiedział: „Nie”. Potem odwrócił się i wszedł mieszkania, w którym były dzieci.

Mężczyzna uchodził za internetowego celebrytę. Popularność zdobył dzięki metamorfizie, którą przeszedł będąc na wegańskiej diecie. Ross dzielił się w mediach społecznościowych zdjęciami, które pokazywały, jak zrzucił około stu kilogramów wagi. Zdrowy styl życia

łączył z karierą mówcy motywacyjnego.

Ross usłyszał zarzut potrójnego morderstwa pierwszego stopnia, napaści na policjantów i użycia broni palnej.

Dwa lata później w Wigilię Bożego Narodzenia w mieście Lakeland na Florydzie, podczas kolacji wigilijnej sąsiedzi małżeństwa z czwórką dzieci usłyszeli strzały i wezwali policję. Kiedy mundurowi dotarli na miejsce, we wskazanym mieszkaniu znaleźli ciała trojga dorosłych. W domu było również czworo dzieci, wszystkie miały mniej niż 10 lat. Żyły.

- Wszystkie dzieci były tam, kiedy to się stało. Widziały wszystko. Widziały, jak ich matka i ojciec umierają. Ta mała dziewczynka mówiła: „Weszłam w krew mojego tatusia” - relacjonował potem jeden z sąsiadów, Sun Malkowski.

Zabójcą był 30-letni Leighton Josephs. Zastrzelił 30-letnią kobietę i 27-letniego mężczyznę, po czym popełnił samobójstwo. Był znajomym ofiar.

Zbrodnie zdarzają się każdego dnia, dochodzi do nich w szkołach, w domach, na ulicach miast. Zabójcy często nie znają swoich ofiar. Ale święta to czas, kiedy najbardziej niebezpieczni są dla nas ci, których dobrze znamy.

Współpraca: Justyna Piasecka-Gabryel, PAP

REKLAMA

0011444482



Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Z okazji
świąt Bożego Narodzenia
oraz zbliżającego się
Nowego 2026 Roku,
składamy Państwu
najserdeczniejsze życzenia zdrowia i pogody ducha.
Aby ten świąteczny czas był pełen ciepła, odpoczynku od codziennego
zabiegania oraz okazją do zadumy i refleksji.
Niech będzie wypełniony ciepłem rodzinnych spotkań i życzliwych rozmów.
A Nowy Rok niech przyniesie ze sobą szczęście, pomyślność oraz realizację
planów i zamierzeń.

Dyrekcja Lubuskiego Oddziału Regionalnego
Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Przemysław Osiński		
Katarzyna Wojciechowska	Dyrektor	Krzysztof Malinowski
Zastępca Dyrektora		Zastępca Dyrektora

Są takie historie, które rodzą się z miłości – najprostszej, najbardziej cichej, a jednocześnie najsilniejszej. Historie, których nikt nie planuje, a które potrafią odmienić całe życie. Tak właśnie zaczęła się nasza droga – moja i mojej córeczki Róży.

Między nadzieją a wyrokiem

Kiedy zobaczyłam Arka po raz pierwszy, miałam 21 lat. Spodobał mi się, od razu między nami zaistniało. Kilka lat później byliśmy już małżeństwem, pełni marzeń i pięknych planów. Chcieliśmy być razem, wychowywać dzieci. Wszystko układało się cudownie: mieliśmy dobrą pracę, zaczęliśmy się starać o dziecko. Udało się. Ciąża była wspaniała, poród poszedł dobrze, na świat przyszedł nasz syn. Byliśmy szczęśliwi tak bardzo, że wydawało nam się, że nic złego nie może nas spotkać. A ponieważ marzyliśmy o dużej rodzinie, szybko pomyśleliśmy o drugim dziecku – może tym razem o dziewczynce. Ten plan również się powiódł.

W 12. tygodniu ciąży lekarz, robiąc USG, powiedział, że dziecko ma nieodkryte powłoki brzuszne. Uspokoili nas jednak, że do 15. tygodnia wszystko może się jeszcze samo naprawić. Zaproponowano mi amniopunkcję, ale odmówiłam.

GDY LEKARZE MÓWILI: „NIE MA SZANS”, MY UCZYLIŚMY SIĘ KOCHAĆ JĄ JESZCZE MOCNIEJ

Nawet gdy usłyszałam, że moje dziecko może nie przeżyć, nie potrafiłam zrezygnować z nadziei. Róża przyszła na świat wbrew przewidywaniom lekarzy i od pierwszej chwili uczy nas, czym jest prawdziwa siła, odwaga i wartość życia.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Wiedziałam, że jej wynik nie zmieni mojej decyzji – chciałam urodzić to dziecko. Bałam się też, że badanie może mu zaszkodzić.

Około 15. tygodnia trafiliśmy do świetnego specjalisty. Powie-

dział, że nasze dziecko ma wytrzewienie jelit, ale rokowania są dobre, przeżywalność wysoka, że mamy być spokojni. Wtedy Arek zapytał go o rączki i nóżki naszej córeczki. Ich uło-

żenie wydało mu się dziwne, zbyt wyprostowane. Lekarz stwierdził, że to naturalne, że dzieci w brzuchu mają różne pozycje, i że nie widzi żadnych innych wad.

Dwa dni później mieliśmy wizytę w szpitalu. Pani doktor długo mnie badała, czułam, jak zaczyna we mnie rosnąć lęk. A potem odłożyła głowicę, spojrzała na mnie i powiedziała, że nie ma dobrych wieści. Dziecko ma nie tylko wytrzewienie, ale także wady rąk i nóg. Wspomniała, że to postępujące wielowadzie i że prawdopodobnie nasze dziecko nie przeżyje. A potem dodała, że do 24. tygodnia mogę dokonać terminacji.

Po raz pierwszy usłyszałam słowo „terminacja”. Brzmiało jak „eksterminacja”, jak coś okrutnego, nieludzkiego. Zapytałam, dlaczego miałabym „terminować” ciążę? Lekarka zaoferowała, że zawiąże kierowniczkę oddziału, żeby porozmawiać ze mną o aborcji. Wstałam. Powiedziałam, że to niemożliwe, przecież dopiero co dowiedziałam się, że coś jest nie tak, a teraz mam decydować o zabiciu własnego dziecka? Nigdy się na to nie godzę. Wysłałam i zadzwoniłam do męża. Powiedziałam, że musimy szukać kolejnej opinii. Nie mogło być tak, że dwa dni wcześniej słyszmy o prawie zdrowym dziecku, a dziś o tym, że nie przeżyje.

Pojechałam do Warszawy, do znakomitego patologa ciąży. Powiedział, że najprawdopodobniej jakiś wirus w pierwszych tygodniach uszkodził rozwijające się małeństwo. A potem padło zdanie, którego nigdy nie za-

pomnę: „Daję pani stuprocentową gwarancję, że urodzi pani ekstremalnie chore dziecko. Ja bym tej ciąży nie kontynuował”.

Wtedy poczułam, jakby zgasło światło, jakby zawalił się świat.

Co dwa tygodnie jeździliśmy na kontrolę – wytrzewienie wymagało ciągłego monitorowania. I za każdym razem słyszeliśmy to samo: że mamy jeszcze czas, by legalnie przerwać ciążę. Nikt nie przyjmował do wiadomości, że my nie chcemy jej zakończyć. Chcieliśmy urodzić to dziecko. Jeśli miałoby umrzeć – chcieliśmy je pochować z godnością. Gdyby jednak przeżyło – chcieliśmy mu dać dom pełen miłości.

Tymczasem nawet bliscy mówili, że skazujemy siebie i rodzinę na cierpienie, że to nieodpowiedzialne, egoistyczne. Brakowało mi choć jednej osoby, która powiedziałaby: robisz dobrze, to właściwa decyzja.

Jedna lekarka powiedziała nam, że jeśli teraz dokonamy aborcji, za trzy miesiące możemy starać się o zdrowe dziecko. To zabrzmiało dla mnie okrutnie. Zapytałam, czy gdyby jej synek uległ wypadkowi i stał się niepełnosprawny, zdecydowałaby się na jego eutanazję? Czym różni się dziecko, które już się urodziło, od tego, które jeszcze jest pod sercem?

Nie chciałam decydować o życiu drugiego człowieka. A jednocześnie czułam, jakby

REKLAMA

0011455406



Drodzy Lubuszanie!

***Niech ten wyjątkowy czas
Świąt Bożego Narodzenia***

***będzie dla Was radością z bycia razem.
Życzę Wam zdrowych i spokojnych Świąt,
z najbliższymi przy wspólnym stole, gdzie słychać gwar
roześmianej, kochającej się rodziny.***

A w Nowym 2026 Roku niech spełniają się marzenia!

*Elżbieta Anna Polak
Posłanka na Sejm RP*

każdy chciał wymusić na mnie decyzję o terminacji, bo skoro chore, to najlepiej usunąć. Mimo wszystko miałam w sobie isierkę nadziei, że może jednak będzie dobrze.

Wiara zamiast lęku

Wtedy usłyszałam o pasku świętego Dominika - dla kobiet, które starają się o dziecko albo noszą pod sercem chore maleństwo. Pojechałam do siostr dominikanek. Jedna z nich zapytała, jaki mamy problem, i powiedziała, że cały zakon będzie modlił się za naszą córkę. Dała mi różaniec z drzewa różanego i powiedziała, że Pan Bóg ma zawsze swój plan, a my powinniśmy się cieszyć, że możemy być jego częścią. I że na pewno nie zostawi nas samych.

Tak zaczęła się nasza piękna, choć trudna droga wiary przez ten najcięższy okres naszego życia.

Lekarze powtarzali, że nie wiadomo, czy dziecko w ogóle się urodzi, a jeśli tak, to pewnie umrze zaraz po porodzie, bo Róża nie poruszała ani nóżkami, ani rączkami tylko lekko tułowiem. A ja wciąż miałam w sobie tę maleńką isierkę, która nie pozwalała mi się poddać. Myślałam, że może jednak będzie lepiej, może lekarze się mylą.

Około 28. tygodnia ciąży, na kolejnym badaniu USG, zobaczyliśmy, jak Róża poruszyła dużym palcem u stopy. To był dro-

biazg, ledwie ruch, ale dla nas - cud. Ucieszyliśmy się, bo skoro rusza palcem, to znaczy, że nie jest sparaliżowana. Że jest czucie. Że jest nadzieja.

W 36. tygodniu nagle przestałam czuć jej ruchy. Zrobiło mi się zimno ze strachu, wiedziałam, że coś jest nie tak. Pojechałam do szpitala, zabrano mnie na USG. Okazało się, że rozwija się stan zapalny, zanikały oznaki życia mojej córeczki i trzeba było natychmiast wykonać cesarskie cięcie.

Zadzwoiłam do Arka, prosząc, żeby przyjechał. Usłyszała to pani doktor i powiedziała: „Po co mąż ma przyjeżdżać? Przecież nie wiadomo, co się urodzi. Nie ma potrzeby, żeby przy tym był”.

To zdanie, że nie wiadomo, co się urodzi, prawie odebrało mi oddech, a wraz z nim całą nadzieję...

Kiedy lekarz wykonał cesarskie cięcie, spojrział na naszą córeczkę i rzucił: „Och, jakie dystroficzne dziecko!”. Zabolało tak, jakby ktoś wbijał we mnie kolejne igły.

Róża została od razu przewieziona do dziecięcego szpitala uniwersyteckiego, gdzie wspinali chirurdzy jeszcze tego samego wieczoru zaopatrzyli jej jelita. I uratowali życie.

Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, wyglądała zupełnie normalnie. Tylko rączki i nóżki miała charakterystycznie wyprostowane.



FOT. WOJCIECH MATYSIK

Nic z tego, co mówili lekarze, się nie sprawdziło. 14-letnia dziś Róża nie jest „ekstremalnie chora”. Świetnie się rozwija.

Dowiedzieliśmy się, że oprócz wytrzewienia jelit Róża cierpi na nieuleczalną chorobę - artrogrypozę. Jej mięśnie się nie wykształciły i stawy wtórnie zeszywniały, dlatego miała przeprosty.

Zaczęliśmy szukać pomocy na całym świecie. Byliśmy w Niemczech, konsultowaliśmy ją ze specjalistami z Włoch, Chin, Izraela, Stanów Zjedno-

zonych. Ale wszędzie trafialiśmy na mur.

Od walki do radości

Po trzech latach dotarło do nas, że artrogrypoza naprawdę jest nieuleczalna. W Prokocimiu trafiliśmy jednak na fantastycznego lekarza, który specjalizuje się w tej chorobie. Powiedział, że takie dzieci jak Róża są niezwykle inteligentne, i że

wszystko może iść w dobrą stronę.

Początki były trudne: gipsowanie stóp, kilka operacji, które Róża musiała przejść, żeby kiedyś móc chodzić.

Jeden z lekarzy powiedział nam, że najlepszą terapią dla naszej córki będzie rodzeństwo. I rzeczywiście - ma dziś dwie młodsze, zdrowe siostry, cudowne i pełne miłości. To one ją

motywowały, zachęcały, ciągnęły do zabawy, do ruchu, do stawiania na nogi.

Przełom nastąpił, gdy Róża trafiła na basen. Znaleźliśmy trenera, który uczy pływać dzieci z niepełnosprawnościami. Nie-samowity człowiek z ogromną pasją. Róża z rehabilitacji wodnej przeszła na pływanie sportowe. Zaczęła trenować coraz częściej i startować w zawodach ogólnopolskich, zdobywając medale.

Nic z tego, co mówili lekarze, się nie sprawdziło. 14-letnia dziś Róża nie jest „ekstremalnie chora”. Świetnie się rozwija. Jest tak inteligentna, tak bystra, że czasem nie możemy wyjść z podziwu. Czuję, że to zaszczyt móc iść razem z nią tą niezwykłą drogą. Cieszymy się z każdego jej małego kroku. Dosłownie i w przenośni.

Gdybyśmy dziś jeszcze raz stanęli przed decyzją: usunąć czy urodzić nasze dziecko, nie zawahalibyśmy się ani przez chwilę. Podjęlibyśmy dokładnie tę samą decyzję, z tą samą wiarą i zaufaniem. Jesteśmy szczęśliwi, że mamy taką córkę - wyjątkową, mądrą, dzielną. I nie zmienilibyśmy w naszym życiu absolutnie nic.

Róża pokazała nam, czym naprawdę jest piękno życia. Nauczyła nas radości z rzeczy najprostszych i odkryła przed nami prawdziwą wartość każdego dnia.

REKLAMA

0011449644

**Niech Święta Bożego Narodzenia przyniosą państwu spokój ducha i pozwolą na nowo odkryć piękno prostych chwil.
Życzę Państwu wraz z członkami Lubuskiej Koalicji Obywatelskiej, aby zawsze znajdowali Państwo czas na to, co naprawdę ważne, i cieszyli się każdą chwilą spędzoną z bliskimi.
Niech magia świąt przypomni Wam o wartości miłości, nadziei, pokoju, życzliwości.
Życzymy Państwu także, abyście zawsze mieli przy sobie ludzi, którzy Was kochają, cenią i inspirują do działania i osiągania upragnionych celów.**

Wesołych Świąt

Profesor Waldemar Sługocki
Poseł na Sejm RP
Przewodniczący Lubuskiej Koalicji Obywatelskiej



– Nie chodzi o to, żeby przestać się bać, tylko żeby mimo lęku wejść w to, co ważne. To, co nieznane, prawie zawsze uruchamia lęk, więc kurczowo trzymamy się tego, co znamy, bo to daje nam poczucie bezpieczeństwa. Wyjście poza tę granicę bywa prezentem, jaki możesz zrobić sama sobie – mówi słynna francuska wokalistka Zaz

Anita Czapryn

ZAZ: PRZEZ MOMENT TO BYŁO PIEKŁO. OCALELIŚMY MIMO WSZYSTKO

„Cali i zdrowi” (Sains et saufs) – tak po polsku brzmi tytuł Twojej najnowszej płyty. Co dla Ciebie znaczy ten tytuł?

To znaczy: ocaleliśmy mimo wszystko, mimo tego, przez co musieliśmy przejść. A momentami to było piekło. Kiedy patrzę na to, co dzieje się na świecie, na to, czego doświadczamy, co obserwujemy, to chciałam też pokazać, że istnieją miejsca, do których nic, co obce, nie ma wstępu. Każdy ma w sobie przynajmniej jedno takie miejsce. To jest nasze światło. Od nas zależy, czy je w sobie karmimy i pozwalamy mu rosnąć, czy je przygaszamy. Chciałam też powiedzieć, że warto otaczać się ludźmi, których kochamy i lubimy, ale też takimi, którzy odnoszą się do nas z takim samym szacunkiem, z jakim my odnosimy się do nich. To, co sobie dajemy, promieniuje dalej. To nie jest tylko ładne hasło. To jest odpowiedzialność. Bo dzięki temu stajemy się naprawdę szczęśliwsi. I jeszcze jedno: nie musimy tkwić w roli ofiary. Nawet jeśli przez jakiś czas nią byliśmy, w każdym momencie możemy powiedzieć „dość”. To jest świadoma decyzja.

Kiedy ostatnio pomyślałaś: wyszliśmy z tego cała? Jaka to była sytuacja?

Właściwie cały czas mam takie poczucie. Nieustannie jestem między światłem a emocjami, które nie zawsze są przyjemne. Mam wrażenie, że życie wciąż gra tę samą sztukę: przychodzą uczucia, a ja uczę się je przyjmować. I wiem z doświadczenia, że koniec nadejdzie. I zawsze jest zmiana. Nawet szczęście podlega tej zasadzie. To część doświadczenia, które nazwywamy życiem.

Jeśli Twoja płyta miałaby kogoś uratować, to przed czym?

Gdyby mogła uratować kogośkolwiek przed czymkolwiek, to przekroczyłoby to moje oczekiwania. Bardzo tego sobie i innym życzę. Myślę o kimś, kto wraca do własnej mocy: do tożsamości, świadomości, sprawczości. Kto wreszcie daje sobie szansę realizować własne sny. Kto otwiera drzwi na to, co świat zewnętrzny może mu dać: wsparcie, obecność, towarzyszenie. Nie chodzi o to, żeby przestać się bać, tylko żeby mimo lęku wejść w to, co ważne. Sama właśnie tak żyję: czuję obawy, czuję strach, a jednak robię to, co robię. To bardzo ludzkie. To, co nieznane, prawie zawsze uruchamia lęk, więc kurczowo trzymamy się tego, co znamy, bo to daje nam poczucie bezpieczeństwa. Tyle że wyjście poza tę granicę bywa prezentem, jaki możesz zrobić sama sobie. Ale są też osoby, które wybierają trwanie w stanie zawieszenia, pustki.

Już po tytułach piosenek wiadać, że Twoja płyta jest bardzo osobista. I o tych piosenkach chciałabym porozmawiać. W utworze „Je pardonne” śpiewasz: „Wybaczam, ale pamiętam wszystko”. Co więc zostaje w Twoim sercu? Czego już nie niesiesz ze sobą? Komu przebaczyłaś w tym roku i jak Cię to zmieniło?

Przed wszystkim: są rzeczy z mojego dzieciństwa, z którymi musiałam się rozprawić. I są też relacje z dorosłego życia, z którymi musiałam sobie poradzić, również związki, z których wychodziłam już jako dorosła. Oczywiście, w każdym przypadku z innych powodów, ale mechanizm czę-



Zaz: Czuję obawy, strach, a jednak robię to, co robię

sto jest ten sam. W gruncie rzeczy chodzi o to, że trzeba przestać oczekiwać, że druga strona spełni nasze wyobrażenia. Że będzie taka, jakiej chcemy, żeby była, skoro nie jest. Innymi słowy: trzeba przestać dokarmiać relację, która robi się toksyczna. Bo jeśli ktoś nie chce, nie potrafi, nie jest w stanie, to dlaczego trwamy w tej niemożliwości? A potem jeszcze wypominamy tej osobie, że

nie jest taka, jakiej chcemy... Tyle że samo wypominanie jedynie podtrzymuje ten stan, zasila toksyczność sytuacji. A ja potrzebuję wolności. Wiem, to łatwo powiedzieć. Ale nie jest proste. Czasem zmianę da się zrobić w głowie, ale żeby była prawdziwa, musi przejść przez ciało, przez doświadczenie, przez czas. Przez to, co jest w nas bardzo głęboko osadzone.

W jakim języku najłatwiej przebaczasz, po francusku czy po hiszpańsku?

Chyba jednak po hiszpańsku.

Co najmocniej kojarzy Ci się z hiszpańskim dzieciństwem, jaka to jedna rzecz, jedna scena?

Ludzie. Pamiętam domy, do których chodziłam jako dziecko. Była tam babcia, która potrafiła na mnie krzyknąć, ale nie jak na dziecko, tylko jak na człowieka. To był jeden z pierwszych momentów, kiedy poczułam, że jestem traktowana poważnie właśnie jako ja: nie dlatego, że jestem mała, tylko dlatego, że jestem sobą. W tej relacji była też miłość i była intensywność oraz to szczególne uznanie drugiego człowieka, nawet jeśli jest dzieckiem. I może dlatego tak lubię język hiszpański: jest w nim coś z tej energii. Choć oczywiście nie tylko o to chodzi.

Można powiedzieć, że wtedy narodziła się Twoja świadomość?

Myślę, że moja świadomość pojawiła się bardzo wcześnie. Bardzo szybko miałam w sobie tę jasność: kim jestem, dlaczego jestem na Ziemi, z kim i jak chcę być i co mam robić.

Kolejna piosenka, która mnie zatrzymała, to „Au pays des merveilles”, co znaczy – w krainie cudów. Jaka dziś jest Twoja prywatna kraina cudów, już bez iluzji, które dają różne używki?

No właśnie, śpiewam o krainie cudów, która była iluzją. To utwór o uzależnieniach: o alkoholu, narkotykach, o różnych odmianach ucieczki. Ale podjęłam decyzję, że chcę wyłodo-

wać na Ziemi. Chcę naprawdę być sobą tu, w realnym życiu. I z tego wynika, że nie szukam już mocnych sensacji w tych wszystkich substytutach. Szukam ich w sobie. A magię znajduję w rzeczywistości, bo ona jest o wiele bardziej magiczna niż świat, w którym wtedy żyłam. Tu jest więcej miłości, więcej świadomości, więcej poczucia więzi z innymi ludźmi. Na każdym kroku jest to wygrana. Wyznaczam też granice: pilnuję i kontroluję to, co kiedyś wymykało się spod mojej kontroli. To ma ogromny wpływ na moje życie, teraz, dzisiaj.

Kiedy słuchałam piosenki „Mon cœur tu es fou” (Moje serce, ty jesteś szalone), to zaskakiwało mnie, kiedy Twoje serce ostatnio zwariowało, w tym dobrym sensie?

Niedawno. Przeszłam przez trudne, złożone doświadczenie i zrozumiałam coś ważnego: nawet jeśli jest miłość, nie mogę zapominać o sobie. Mogę czuć smutek i cierpienie, ale najważniejsze jest, żebym pozostała spójna ze sobą. Żeby mi miała oczy otwarte na to, co mi służy, co pozwala mi dojrzywać i rosnąć. To są słowa z wiersza irańskiej poetki, która zmarła w latach sześćdziesiątych. Wtedy była uznawana za kontrowersyjną, bo mówiła o pragnieniach kobiety, a to wielu ludzi drażniło. Dla mnie ten wiersz jest zaskakująco bliiski: opowiada o mojej historii, o tym, co przeżyłam. I mimo tego wszystkiego, mimo okropności, które się w moim życiu wydarzały, ja wciąż mam otwarte serce. Wciąż czuję. Mam w sobie coś, co można nazwać wiarą, ale nie w sensie Ciąg dalszy na str. 44



Wesołych Świąt!

Zdrowych, spokojnych, pełnych rodzinnego ciepła i pachnących
Wypasionymi wypiekami Świąt Bożego Narodzenia.
Niech Nowy 2026 Rok przyniesie wiele sukcesów w życiu
prywatnym i zawodowym życzy

Dariusz Szpiński

Prezes Zarządu Grupy
MLEKOVITA



www.mlekovita.com.pl

Dokończenie ze str. 42

religijnym: raczej jako nadzieję, oczekiwanie, zdolność tworzenia.

Ja też mocno czuję to, o czym mówisz.

Myszę, że wiele osób czuje podobnie. Dojrzewamy i widzimy, że społeczeństwo przechodzi ogromny wstrząs: na powierzchnię wychodzą wspomnienia, nawyki, to, czym nasiąkliśmy w rodzinach i kulturze. To wszystko domaga się uwolnienia i ułożenia, ale to nie dzieje się w jednej chwili. I od naszych indywidualnych reakcji zależy, czy ta zmiana zostanie z nami na dłużej, czy będzie tylko krótkim przeblyskiem. Jesteśmy częścią wspólnoty, ale każdy przeżywa to bardzo osobiście i albo wchodzimy w rezonans z tym, co się dzieje, albo nie.

Zwykły uśmiech uratował Ci kiedyś trudny dzień? Pamiętasz taki moment?

Tak. Jak wiesz, w Paryżu jest wielu migrantów. Teraz robi się zimno i wilgotno i to jest przejmujące, kiedy widzisz, gdzie oni śpią i jak bardzo nic nie mają. Ja wracam do domu, biorę prysznic, kładę się w ciepłym łóżku; to są dla mnie rzeczy podstawowe, a dla nich nieosiągalne. Mijamy się często, już się rozpoznajemy, choć oni nie wiedzą, kim jestem. Pamiętam pierwszy raz: jeden z nich spojrzał na mnie. Nie miałam przy sobie ani gotówki, ani drobnych, żeby mu dać. Po prostu więc uśmiechnęłam się do niego. Odpowiedział uśmiechem, takim od ucha do ucha i posłał mi całusa. I wtedy pomyślałam, że to on zrobił mi więcej dobrego niż ja jemu.

Skoro nie wierzysz w religijnym sensie, to z kim rozmawiasz w piosence „Mój Boże”?

W tej piosence to Ziemia rozmawia z Bogiem. Spodobała mi się ta perspektywa. Tyle że w pierwotnej wersji tekstu Ziemia mówiła: „Dlaczego mnie opuściłeś?”. I ja, rozmawiając z autorem tekstu, zaprotestowałam: nie, Ziemia nie może tego powiedzieć. W piosence pojawia się też zdanie: „Czekam, aż mój syn wróci”. I wtedy pomyślałam o Chrystusie jako o świetle. Tylko że to światło nie ma do kogo „wrócić”. To człowiek ma je ucielesniać, każdy z nas. To nie jest czas czekania, aż przyjdzie ktoś z zewnątrz. To jest czas, żeby stać się tym, kim chcemy być. Jeśli chcesz czynić dobro. W piosence Ziemia mówi „żegnaj”, ale tak naprawdę zastanówmy się, kto ją opuścił? Ludzie. Ci ludzie, którzy dokonali określonych wyborów. Jesteśmy odpowiedzialni za swoje wybory. Jeśli nie zgadzamy się na wojnę, jeśli mamy dość tych, którzy się rozpychają,

żeby miażdżyć innych, to naszą odpowiedzialnością jest wejść w swoją sprawczość, w swoją moc. I o tym jest ta piosenka: Ziemia krzyczy z miłości i jednocześnie mówi nam: wróćcie do swojej siły. Ta zmiana dzieje się na naszych oczach. Gdybyśmy naprawdę się postarali, ona mogłaby wydarzyć się szybciej, niż nam się wydaje. Nie doceniamy ciężaru naszej zdolności tworzenia. Nie da się zmienić drugiego człowieka, ale można świadomie wybrać, kim chce się być. I to właśnie zmienia świat.

Co dziś robisz po swojemu, choć kiedyś nie miałaś na to odwagi?

Wiele rzeczy. Na przykład: kiedyś nie miałam odwagi, żeby przestać pić. Albo rzucić papierosów. Albo nawet, żeby przestać pić kawę. Może to brzmi śmiesznie, ale byłam od niej uzależniona i to chyba było dla mnie najtrudniejsze do odstawienia. Myszę, że czasem uciekamy od rzeczy, z którymi nie umiemy się zmierzyć. Dlatego śpiewam też o tym, że przychodzi moment, kiedy trzeba przestać się związać w kłębek po tym, co nas spotkało i wrócić do życia. Zaryzykować. Żyć naprawdę. Wracając do twojego pytania, to robię dziś wiele rzeczy, których wcześniej nie umiałam. Uczę się przebaczać. Przestaję bić się za sprawy, które mnie nie dotyczą. Mniej się tłumaczę. I próbuję nie być wobec siebie zbyt surowa, choć nie zawsze mi wychodzi. Bo kiedy przesadam z wymaganiami wobec siebie, to czuję, jakbym raniła samą siebie. Uczę się też przyjmować emocje i to, co przynosi życie.

W piosence „Dziecko na zawsze” pytasz o to, co w Tobie z dziecka i co zostanie. Co byś odpowiedziała?

Wciąż jestem dzieckiem, czasem nastolatką, czasem dorosłą, czasem starą panną. Nasza kultura uczy nas, że mamy do odegrania różne role. A chodzi o coś innego: żeby żyć w harmonii ze sobą. W każdym wieku odkrywam w sobie coś, czego wcześniej nie znałam, ale dla mnie fundamentalne jest zachowanie w sobie tej dziecięcej części. Ta piosenka dotyka też pewnego zjawiska: gdy rodzic nie przeżyje żałoby po zmarłym dziecku, a potem rodzi się kolejne i dostaje nawet to samo imię. To wtedy takie dziecko nigdy nie zajmie swojego miejsca. Zostaje wciągnięte w rolę tamtego zmarłego dziecka. Dla mnie to utwór o zdrowieniu, o domknięciu żałoby w imieniu rodziców. Wiele dzieci umierało w mojej rodzinie, wielu moich bliskich tego doświadczyło. Dlatego ta piosenka jest dla mnie ważna. Była ważna, kiedy ją pisałam i wykonywałam po raz pierwszy i taka nadal pozostaje.

Jaki dźwięk z dzieciństwa wraca do Ciebie najczęściej?

Dźwięk grającego świerszcza. Pamiętam go bardzo konkretnie. W moim ogrodzie była taka mała górką, a w niej dziurka. Uwielbiałam tam chodzić, grzebać delikatnie palcem w ziemi tylko po to, żeby go wywabić i zobaczyć. Miał mały czarny pyszczek, czułki... i ten jego dźwięk jakby śpiew do dziś słyszę w sobie.

Jak pamiętasz ten moment, kiedy ktoś po raz pierwszy powiedział, że masz piękny głos i naprawdę uwierzył w Twoje śpiewanie?

Śpiewałam właściwie bez przerwy. I kiedy miałam siedem lat, wzięłam udział w radiowym konkursie w jednej z miejscowości w Bretanii, gdzie mam rodzinę. Zająłam wtedy dwunaste miejsce. Ale ważniejsze było co innego: ludzie przyszli posłuchać, a w trakcie mojego występu zaczęli płakać. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: „O rany. To jest mocne”.

Jaką kołędę albo świąteczną piosenkę śpiewasz przy wigilijnym stole?

Szczerze? Raczej nie śpiewam w święta. Na co dzień śpiewam tak dużo, zawodowo, że w prywatnym życiu mam na to mniejszą potrzebę. Ale kiedyś miałam jedną ukochaną kołysankę, o małym chłopcu, o gwiazdach, o dzwoneczkach. Wraca do mnie jak ciepły kadr z dzieciństwa.

Jaki obraz świąt z dzieciństwa najmocniej w Tobie siedzi?

Pamiętam, że jako dziecko bardzo chciałam dawać prezenty. Moi rodzice mieli pieniądze, ale ja nie. I wtedy zaczęłam robić prezenty po swojemu: tworzyłam mnóstwo paczuszek, a do środka wkładałam karteczkę z krótkim przekazem. Trochę jak w ciasteczku z wróżbą. Tylko tyle; chodziło o samą radość otwierania, o ten moment. Potem pod choinką roilo się od paczek, a ja byłam szczęśliwa. Czy inni też? Tego już nie wiem, ale dla mnie to był genialny pomysł.

Jakie więzi chronisz nawet kosztem własnej kariery?

Wszystkie, które mam. Ludzie, z którymi jeżdżę w trasę koncertowe, są mi naprawdę bliscy; bardzo ich lubię. Jestem wymagająca, więc czasem śmieją się, że bywam Brutusem. Zdarza mi się palnąć coś bez namysłu. Ale potrafiąmy to potem normalnie rozbroić

i poukładać. I to działa, bo ja patrzę na ludzi przez pryzmat ich własnych wartości: szanuję je. A jednocześnie nie udajemy, że wszystko jest zawsze idealne. Mówimy sobie prawdę. Rodzina, przyjaciele, ludzie, z którymi pracuję, to jest mój krąg. Moje plemię. Nie umiem mieć relacji na pół gwizdka. Jeśli już, to na sto procent. Nie robię rzeczy powierzchownie.

Wróć do płyty, bo jest też na niej piosenka „Bleu de la nuit”, kiedy więc noc ma u Ciebie kolor niebieski?

To ten granat, który pojawia się na niebie, kiedy słońce zachodzi: jeszcze jest dzień, ale już wchodzi ciemność. Ten moment trwa krótko i właśnie o tym jest ta piosenka: korzystaj z niego, dopóki jest. To też metafora. Gdzieś trwa wojna. I nagle rozumiesz, jak łatwo jest nie docenić tego, co mamy na co dzień: wolności, spokoju, zwykłych rzeczy, które wydają się normalne. Dopóki coś jest dostępne, często nawet tego nie widzimy. Dopiero kiedy to tracimy, przychodzi myśl: „Kurczę, nie umiałam tego docenić, kiedy było”. Więc doceniajmy to, co mamy, takie, jakie jest.

Chciałabym zapytać o Twojego tatę. Czy zostało w Tobie jakieś ważne zdanie, gest, przedmiot, coś, co do dziśosisz po nim?

Moja relacja z tatą była bardzo, bardzo skomplikowana. Toksyczna. A jednocześnie on był niezwykle wrażliwy. I chyba właśnie dlatego to było takie trudne. Był alkoholiczkiem, często był zły, jakby miał w sobie kilka wersji siebie. Miał też dużo mroku w sobie. Przez długi czas niewiele widziałam z tego, kim on naprawdę jest. Tak naprawdę zaczęłam go poznać dopiero jakieś trzy lata przed jego śmiercią. Trafił wtedy do ośrodka, do szpitala, musiał się dostosować, przestać pić. I wtedy najmocniej wyszło z niego dobro: to, że lubił się dzielić. Lubiał ludzi. Lubiał dawać.

Co powiedziałabyś mu dzisiaj, gdyby żył?

Powiedziałabym: szkoda, że nie mogliśmy naprawdę się poznać. Szkoda, że nie stanąłeś do walki ze swoimi demonami. Że nie chciałeś przyjąć pomocy. Że nie umiałeś się zastrzymać i choć raz uczciwie spojrzeć na siebie, zamiast

Gazeta Lubuska
Wtorek-piątek, 23-26.12.2025

wciąż widzieć winę po stronie innych. Odizolował się. Został sam. I na końcu zniszczył wszystko wokół siebie. A przecież nie da się pomóc komuś, kto nie chce pomóc sam sobie.

Jesteś w Polsce, bo promujesz swoją płytę. Co polska publiczność najszybciej chwytą na Twoich koncertach?

Myszę, że łapią przede wszystkim moją energię. I chyba to, że jest w tym miłość do francuskiej piosenki, ale podana w nowoczesnym sznycie. Ważne są też wartości, które niosą moje teksty; one tu dobrze rezonują. W końcu wszyscy jako ludzie przechodzimy przez podobne emocje. A kiedy czujemy je razem, dzieje się coś prawdziwego: ludzie rozpoznają w moich piosenkach kawałek siebie. I dlatego do nich wracają.

Jest taki koncert w Polsce albo jedna chwila tutaj, którą zawsze będziesz pamiętać?

Jest ich wiele. Zostają mi w głowie kwiaty, które dostawałam, ale jeszcze bardziej są to twarze ludzi: radosne, zaangażowane, czułe na muzykę. Pamiętam też pierogi w małej, zupełnie nieturystycznej knajpcie; poprosiłam, żeby nas tam zaprowadzono, chciałam zobaczyć zwyczajne miejsce. I pamiętam Utę, tłumaczkę, z którą pracowałam od początku, ma niesamowitą energię i charakter. Dla mnie Polska to przede wszystkim ludzie: silni, z wielkim sercem, tacy, którzy kiedy trzeba, wchodzą w działanie bez wahania. A jednocześnie jest w was kruchość: piękna wrażliwość, emocjonalność.

Kiedy dziś myślisz: „Wracam do domu”, to dokąd idziesz?

Dom to dla mnie moje psy, mój mąż, moi przyjaciele, ludzie, których kocham. Mam dom w Paryżu i w Pirenejach. Ale prawda jest taka, że czuję się u siebie we wszystkich górach. W Hiszpanii też się czuję jak w domu, tak samo w Ameryce Łacińskiej. Najbardziej u siebie jestem wtedy, kiedy jestem z ludźmi, z którymi płynie ten sam prąd, to samo porozumienie bez słów.

Czego potrzebujesz, żeby na co dzień czuć się naprawdę do brze?

Ruchu i medytacji. Kiedy mówię „ruch”, to może być wszystko: joga, bieganie, intensywny trening, wędrówki po górach. Muszę się wysunąć, wydać energię. Daje mi to scena, bo śpiew to również jest wysiłek. Potrzebuję też dobrze zjeść. I być z ludźmi, których lubię; najlepiej z takimi, którzy są czymś zafascynowani, bo pasja jest zaraźliwa. Jest jeszcze malarstwo. I w ogóle sztuka, ale nie tylko ta w ramie. Jest też sztuka bycia z innymi ludźmi.

Tworzenia. Odkrywania z nimi nowych rzeczy.

Czego sobie życzysz na te najbliższe święta? Tak konkretnie.

Żebyśmy byli razem, rodzinie. Żebyśmy dzielili dobre chwile: gotowali, śmiali się. Ale też żebyśmy umieli rozmawiać o rzeczach łatwych i o tych trudnych. I żebyśmy sobie po prostu towarzyszyli. Tylko tyle i aż tyle.

Za co dziś jesteś najbardziej wdzięczna?

Za mnóstwo rzeczy. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy: za mamę. Zrobiła, co mogła, tymi narzędziami, które miała. Nawet jeśli nie wszystko wychodziło jej idealnie, zrobiła bardzo dużo rzeczy dobrze. I gdybym od niej tego nie dostała, nie byłabym tu, gdzie jestem. Jestem wdzięczna również za spotkania: także te bolesne, choć oczywiście szczególnie za te wyjątkowe. Jestem wdzięczna samej sobie za odwagę, żeby działać i wierzyć. Za męża, który znosi mnie na co dzień. I za wiele innych rzeczy: przeżyłam sporo trudnych doświadczeń, a jednocześnie byłam świadkiem mniejszych i większych cudów.

To moje ostatnie pytanie: wierzysz w cuda? Jakie cuda wydarzyły się w Twoim życiu?

Nie mogę opowiedzieć wszystkiego, bo ktoś mógłby uznać mnie za szaloną. Ale właściwie... co z tego. Dla mnie już samo to, że istnieję, jest cudem, w tym sensie, że wiele razy umierałam i rodziłam się na nowo. Cuda nazywamy cudami często tylko dlatego, że nie umiemy ich wyjaśnić. Brakuje nam percepcji, żeby je zobaczyć do końca. A jednak wszystko da się jakoś wytłumaczyć. Można też uznać, że wszystko jest magią: jesteśmy przecież na małej kuli pędzącej przez kosmos; gdyby zabrakło choćby jednego elementu równowagi, wszystko by się rozsypało. Kiedy byłam dzieckiem, miałam wizje, które potem się spełniały. Tylko nigdy nie będę wiedziała, czy je przeczułam, czy sama je jakoś stworzyłam. I myśle, że widzę rzeczy, których inni nie widzą, ale to nie jest nic wyjątkowego: każdy z nas ma inną wrażliwość, inną antenę ustawioną na coś innego. W życiu jest trochę tak, jak w starych radiach z pokrętelem częstotliwości: kiedy ustawisz się na jakąś falę, wydarza się jedno, a kiedy trafisz na inną, dzieje się coś zupełnie innego. Kiedy byłam nastolatką, miałam wrażenie, że słyszę wszystko naraz, cały ten zakres i robił się z tego chaos. Ale przecież każdy ma jakieś doznania, intuicje, przeżucia. Nie ma sensu od razu nazywać tego szaleństwem.



Posel RP JERZY MATERNA



Święta Bożego Narodzenia to czas szczególny – czas, w którym warto na chwilę się zatrzymać i zwrócić uwagę na drugiego człowieka.

W ostatnich latach coraz częściej ulegamy pośpiechowi i komercjalizacji świąt. Łatwo wtedy zapomnieć o tym, co naprawdę ważne: o bliskości, życzliwości, rozmowie i wzajemnym szacunku. Z okazji nadchodzących Świąt życzę Państwu spokoju, zdrowia oraz wrażliwości na potrzeby innych.

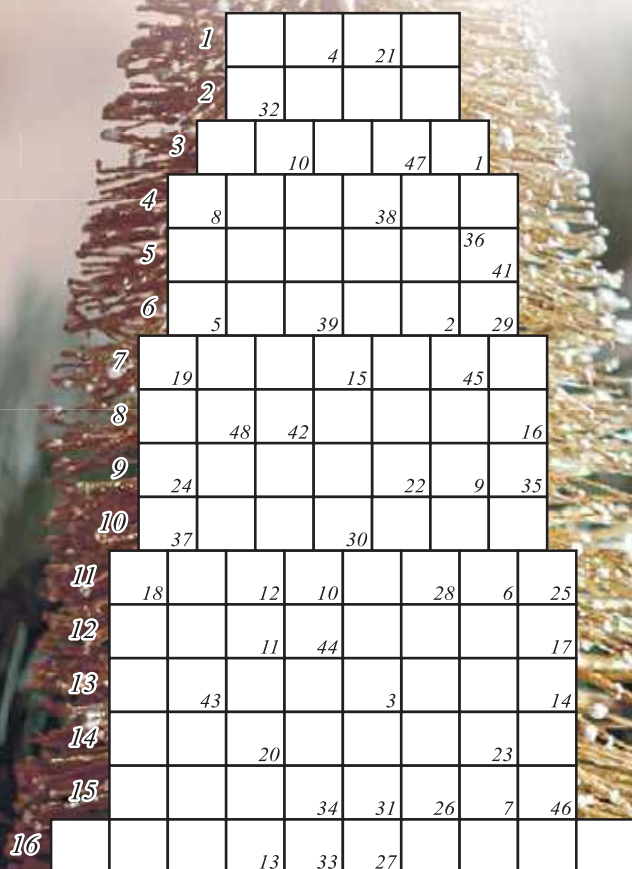
Niech ten czas będzie okazją do spotkań, odbudowy relacji i umocnienia więzi – bo to one mają największą wartość, znacznie większą niż najdroższe prezenty.

Czasem wystarczy telefon do kogoś samotnego albo spokojna rozmowa przy wigilijnym stole. Życzę, abyśmy potrafili dostrzegać w sobie nawzajem dobro i człowieczeństwo, ponad wszelkimi podziałami.

Jerzy Materna

Jerzy Materna

Posel, mieszkaniec regionu, ojciec, dziadek



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31			
32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48

Krzyżówka Bożonarodzeniowa

Rozwiąż krzyżówkę i odczytaj hasło wpisując w odpowiednie rubryki oznaczone litery.

1. Tradycyjna wigilijna ryba.
2. „Kołyska” małego Jezusa.
3. Pod obrusem podczas wieczery wigilijnej.
4. Obok jodły najczęściej wybierane drzewko na choinkę bożonarodzeniową.
5. Religijne pieśni bożonarodzeniowe.
6. Poranna msza św. odprawiana w okresie adwentu.
7. Chleb, którym dzielimy się na początku wieczery wigilijnej, symbol pojednania i przebaczenia.
8. Z nim w dłoni podążamy na roraty.
9. Z uszkami na wigilijnym stole.
10. Dziadek Jezusa.
11. Pod choinką w Wigilię.
12. Uroczysta Msza odprawiana w nocy (najczęściej o północy) z 24 na 25 grudnia.
13. Tradycyjne ciasto bożonarodzeniowe przekładane masą ze zmielonego maku, cukru i bakalii.
14. Miejscowość narodzin Jezusa.
15. Jeden z Trzech Króli, obok Kacpra i Baltazara.
16. Wielkorządca Syrii podczas pierwszego spisu ludności, na który wyruszył Józef z brzemenną Marią.

Rebus dla dzieci

Rozwiąż Rebus i odczytaj hasło.



Hasło: _____

1. Rozwiąż Rebus.
2. Odczytaj Hasło.
3. Dowolną techniką plastyczną stwórz pracę na temat związany z hasłem z rebusu.

SERNIK MAMY ZAWSZE BĘDZIE NR 1

Pochodząca z Poznania i mierząca 2 metry Agnieszka Korneluk jest kapitanem kadry siatkarek, trzykrotną medalistką Ligi Narodów i świeżo upieczoną zdobywczynią Superpucharu Turcji

Radosław Patroniak

Agnieszka Korneluk to wychowanka Enei Energetyka. Czterokrotna mistrzyni Polski nazywana jest królową bloku. Właśnie blokiem 31-latkka zdobyła decydujący punkt w meczu o Superpuchar Turcji w barwach klubu Fenerbahce. Do klubu ze Stambułu przeszła kilka miesięcy temu. 31-latkka zarabia w nim co najmniej 1,5 mln zł za sezon. Nam opowiedziała o tym, co ją spotkało nad Bosforem i co chciałaby osiągnąć ze swoją nową drużyną.

Jak się Pani czuje w nowym klubie? Czy Panią zaskoczyło coś na plus i na minus, i jak znosi Pani ogromne zainteresowanie ze strony fanów?

Dla mnie jest to spora zmiana, bo ostatni raz za granicą, we włoskiej Serie A, grałam pięć lat temu. Na samopoczucie jednak nie narzekam. Odkąd ruszyła Liga Mistrzyń, gramy co trzy dni, ale na razie intensyfikacja meczów dobrze mi służy. Jakie są moje pierwsze wrażenia? Pierwszy raz gram w takiej lidze, gdzie prawie połowa klubów jest z jednego miasta, czyli ze Stambułu. Druga kwestia to popularność Fenerbahce. Nawet jak gramy na wyjeździe, to czujemy się jak u siebie, bo część kibiców przychodzi w klubowych koszulkach i wspiera nas, a nie miejscową drużynę. Kibice są specyficzni, bo czasami potrafią zamęczyć zawodnika. Zagraniczne siatkarki mają względny spokój, ale pamiętam, że legenda tureckiej siatkówki, наша kapitanka, Eda Erdem nie była kiedyś w stanie wypić kawy na lotnisku w Stambule.

Co Pani może powiedzieć o sile ligi tureckiej? Ostatnio wszyscy przecierali oczy ze zdumienia, że czwarta drużyna ligi tureckiej miała na widelcu we Włoszech wielkie Conegliano...

Liga turecka jest tak samo mocna jak liga włoska. My w Lidze z ekipą z Ankary wygrałyśmy dość pewnie 3:0, więc dla nas było zaskoczeniem, że Zeren Spor tak się postawił Conegliano. Wcześniej miałyśmy swój mecz z Benfiką Lizbona i chciałam się po nim szybciej położyć spać, ale dziewczyny z drużyny wysyłały SMS-y, że szykuje się sensacja we Włoszech, więc też włączyłam relację. Poziom



Agnieszka Korneluk cieszy się z kolejnego punktu po kolejnym udanym bloku w finale Ligi Narodów w łódzkiej Atlas Arenie



Nasza bohaterka w koszulce Fenerbahce z Superpucharem

siatkówki w Turcji na pewno rośnie, bo i inne zespoły robią postępy i potrafią grać z nami jak równy z równym. Hale podczas meczów są pełne, ale nie wiem tak do końca, czy to efekt zainteresowania siatkówką czy raczej ogólnokrajowej popularności Fenerbahce.

Po zdobyciu Superpucharu Turcji czuje się już pewnie Pani królową bloków?

Bez przesady, ale rzeczywiście miło zdobyć punkt na wagę złota w bardzo zaciętym spotkaniu o wysoką stawkę. Rzeczywiście blok jest moją mocną stroną, w czym pomaga mi oczywiście wzrost. Nad tym

elementem trzeba jednak pracować całe życie i dwóch trenerów zrobiło w tej kwestii więcej. Mam na myśli Norwega Tore Aleksandersena, który pracował ze mną w Volley Wrocław i Stefano Lavariniego, czyli obecnego selekcjonera naszej reprezentacji. Włoch poprawił detale i powiększył mój potencjał w bloku. A co do Superpucharu, to traktuję go jak przedsmak tego, co możemy osiągnąć w sezonie. Już mamy wysokie skrzydła, a będziemy jeszcze mocniejsi, jak wróci do nas po kontuzji Brazylijka Ana Cristina. Jestem przekonana, że za kilka miesięcy możemy grać jeszcze lepiej.



... i z szefem Enei Energetyka, Robertem Rakowskim

W tym roku po raz pierwszy nominowana została Pani do Plebiscytu Przeglądu Sportowego. Czy szykuje już Pani suknię balową i co Pani sądzi o plebiscytach?

Suknię balową chętnie bym przygotowała, tylko gala plebiscytu jest 10 stycznia, a wtedy już będę w Turcji. Zawsze oglądałam wybory najlepszych sportowców. Spotkać się z tymi, których na co dzień ogląda się w telewizji, to zawsze wielka sprawa i wyjątkowa okazja. Już jednak wiem, że i tym razem obejrzę galę w laptopie. Na grody plebiscytowe miałam już okazję odbierać w przeszłości we Wrocławiu i Szczecinie.

Wiem, że od zawsze śledzi Pani wyniki Enei Energetyka Poznania. Po spadku dziewczyny do II ligi na pewno Pani serce krwawiło. Poza kilkoma sezonami siatkówki żeńska w Poznaniu w ostatnich 30 latach nigdy nie mogła się przebić na najwyższy poziom. Dlaczego?

W Enei Energetyku uczyłam się siatkówki, więc ten klub zawsze będzie mi bliski, tak samo zresztą jak Poznań, w którym mieszka moja rodzina. Spotykałam się z opinią, że w stolicy Wielkopolski przestrzeń do rozwoju innym klubom zabiera Lech Poznań, ale ja myślę, że to jest tylko dobra wymówka.

Wszystko rozbija się o brak sponsora i brak hali z prawdziwego zdarzenia. To największa bolączka mojego rodzinnego, półmilionowego miasta.

A jak właśnie wygląda baza treningowa w Fenerbahce?

Trenujemy we wspólnym, ogromnym ośrodku z piłkarzami, piłkarkami, koszykarzami i siatkarzami. Mecze rozgrywamy w hali oddalonej o 5 km, nie należącej do klubu. Jest w planach budowa typowo siatkarskiego obiektu, ale to dopiero melodia przyszłości.

Czy miała Pani już okazję zwiedzić Stambuł?

Nie widziałam jeszcze wszystkiego, ale byłam już zobaczyć Błękitny Meczet czy Galatę Tower. Znalazłam też czas na odwiedzenie rodaków w wiosce Adamopol pod Stambułem. Polska kolonia jest tam coraz mniejsza, ale niektórzy wciąż kontynuują polskie tradycje. Miałam okazję też skosztować naszych specjałów w karczmie prowadzonej przez polskie małżeństwo.

W jednej drużynie gra Pani z Rosjanką Anną Fiedorowcewą. Czy poruszacie kwestie dotyczące wojny na Ukrainie?

Ona nie wzniciła tej wojny i to nie jej wina, że giną ludzie na Ukrainie. Mam z nią normalne relacje i mam nadzieję, że to się nie zmieni.

Jak Pani zamierza spędzić Święta Bożego Narodzenia i czy jest coś w nich dla Pani niepowtarzalnego?

Święta jak zwykle spędzę z najbliższymi. Za bardzo się nimi nie nacieszę, bo wstępny plan jest taki, że dostaniemy cztery dni wolnego. Może ten urlop się wydłuży, jeśli przed 21 grudnia będziemy wyżej w tabeli od Vankıbanku... Uwielbiam ten czas, zawsze tęsknię za Polską i tym, co polskie. Sernik mamy zawsze pozostanie dla mnie nr 1.

Czego Pani sobie życzy na nowy rok? Jakie są Pani marzenia i postanowienia?

Nie mam postanowień noworocznych, mam za to postanowienie adwentowe. W czasie Adwentu postanowiłam całkowicie zrezygnować ze słodczy. A co do sportowych marzeń, to wiadomo, że chciałabym, żeby omijały mnie kontuzje i żebyśmy wspólnie z koleżankami wygrały Ligę Mistrzyń i ligę turecką.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?

Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25
czynne pon.-pt. 8.00-15.00
tel. 510 026 976
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.)
czynne pon.-pt. 8.00-16.00
tel. 510 026 986
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl

SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1
czynne pon.-pt. 8.30-16.30
tel. 95 75 80 760
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI

- mieszkania - sprzedam
- mieszkania - kupię
- mieszkania - do wynajęcia
- mieszkania - wynajmę
- mieszkania - zamienię
- domy - sprzedam
- domy - kupię
- domy - do wynajęcia
- domy - wynajmę
- domy - zamienię
- lokale użytkowe - sprzedam
- lokale użytkowe - kupię

- lokale użytkowe - do wynajęcia
- lokale użytkowe - wynajmę
- lokale użytkowe - zamienię
- działki, grunty - sprzedam
- działki, grunty - kupię
- gospodarstwa
- garaże
- pośrednictwo
- inne
- bank stancji

HANDLOWE

- AGD
- RTV

- elektronika, komputery
- telefony
- car audio
- antyki
- kolekcjonerstwo, sztuka
- jubilerstwo
- filmy, muzyka
- foto, książki
- instrumenty muzyczne
- lombardy
- sport i rekreacja
- maszyny urządzenia
- materiały budowlane
- materiały opałowe

TEKSTYLIA, ODZIEŻ

- dla dziecka
- meble
- inne

MOTORYZACJA

- samochody osobowe
- ciężarowe, dostawcze
- busy autobusy
- rolnicze
- przyczepy, naczepy
- sport i rekreacja
- zabytkowe
- uszkodzone, rozbite
- motocykle
- części i akcesoria

- zamienię
- motofinanse
- motousługi
- inne

FINANSE BIZNES

- kredyty, pożyczki
- usługi finansowe
- usługi prawne
- biura rachunkowe
- ubezpieczenia
- oferty
- inne

NAUKA

- szkoły
- kursy/szkolenia

- języki obce
- korepetycje
- inne

PRACA

- zatrudnię
- urzędy pracy
- szukam pracy
- inne

ZDROWIE

- apteki
- pomoc całodobowa
- chirurgia
- ginekologia
- interna
- neurologia

- pediatria
- psychologia
- psychiatria
- stomatologia
- urologia
- inne specjalizacje
- przychodnie, kliniki
- laboratoria
- zabiegi
- opieka
- sprzęt medyczny
- uroda
- inne

USŁUGI

- agd rtv foto
- budowlano-remontowe

- instalacyjne
- biurowo - projektowe
- komputerowe
- krawiectwo
- montażowe
- ogrodnicze
- porządkowe
- przeprowadzki
- reklamowe
- stolarskie
- radio taxi
- transportowe
- rozrywka
- uroczystości
- zabezpieczające
- inne

TURYSTYKA

- agroturystyka
- kraj
- świat
- biura podróży
- obozy i kolonie
- wycieczki
- przewozy
- inne

ZWIERZĘTA

- lecznicze
- usługi
- inne

MATRYMONIALNE

ROŻNE

KOMUNIKATY

ŻYCZENIA/PODZIĘKOWANIA

GASTRONOMIA

- dania na telefon
- usługi
- inne

ROLNICZE

- maszyny rolnicze
- ogrodnictwo
- płody rolne
- zwierzęta hodowlane
- inne

TOWARZYSKIE

USŁUGI KAMIENIARSKIE

USŁUGI POGRZEBOWE

REKLAMA

0011455033



Wójt Gminy Nowa Sól

na podstawie art. 37 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 1145, 1222, 1717 i 1881 oraz z 2025 r. poz. 1077 i poz. 1080) podaje do publicznej wiadomości informacje o umieszczeniu na stronach internetowych Urzędu Gminy Nowa Sól oraz w siedzibie Urzędu przy ul. Moniuszki 3a w Nowej Soli, na okres 30 dni ogłoszenia **przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż prawa własności lokalu mieszkalnego nr 1 wraz z pomieszczeniami przynależnymi o łącznej powierzchni użytkowej 98,40 m² położonego w budynku nr 65 w miejscowości Chelmek.**

REKLAMA

0011455128

Dyrektor Ośrodka Sportu i Rekreacji w Gorzowie Wielkopolskim

ogłasza

przetarg ustny nieograniczony

na najem na czas oznaczony do 31.12.2026 r. lokali stanowiących własność Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, położonych przy ul. Składowej 11 w Gorzowie Wielkopolskim:

- pow. 772,00 m² - wywoławcza stawka czynszu netto (zł/m²) – 23,00 zł wadium wynosi 17.760,00 zł
- pow. 40,00 m² - wywoławcza stawka czynszu netto (zł/m²) – 12,00 zł wadium wynosi 480,00 zł
- pow. 2.000,00 m² - wywoławcza stawka czynszu netto (zł/m²) – 1,40 zł wadium wynosi 2.800,00 zł
- pow. 220,44 m² - wywoławcza stawka czynszu netto (zł/m²) – 9,00 zł wadium wynosi 1.990,00 zł
- pow. 43,00 m² - wywoławcza stawka czynszu netto (zł/m²) – 12,00 zł wadium wynosi 520,00 zł
- pow. 65,00 m² - wywoławcza stawka czynszu netto (zł/m²) – 12,00 zł wadium wynosi 780,00 zł

Przetarg odbędzie się w dniu **20 stycznia 2026 r. o godz. 10:00** w siedzibie Ośrodka Sportu i Rekreacji w Gorzowie Wielkopolskim przy ul. Słowiańskiej 10
Pełna treść ogłoszenia wraz z wykazem lokali znajduje się na stronie internetowej www.bip.osir.gorzow.pl oraz na tablicy ogłoszeń na I piętrze w siedzibie OSiR.

REKLAMA

0011439607

INFORMATOR POGRZEBOWY

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY Zielona Góra, Masarska 13,
tel. **68-3202235, 68-3202232**, przewóz zwłok, kompleksowa obsługa pogrzebów **601798365** całą dobę.

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19, tel. **693 424 440; 68-3230509** oraz Polkowice ul. Spokojna 1; Legnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

AD PATRES (J. Mądry) przewóz zmarłych całą dobę, bezgotówkowa organizacja pogrzebów, Zielona Góra, ul. Wrocławska 68,
tel. **68-3208517, 601760685**.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. **95-7810083**
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.

SŁOWNIK: ANSA, IKAT, LIDO, MARAIS, MATELOT, ROTATOR, STOLA.

ROZWIĄZANIE: AUTOROW SĄDZA ICH DZIEŁA.

Kacper Tomasiak najwyżej wśród Polaków na liście płac w Pucharze Świata

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. Po 10 z 35 zawodów numerem 1 na liście płac jest lider Pucharu Świata Domen Prevc.

Kacper Tomasiak po udanym weekendzie w Szwajcarii, gdzie zajął 13. miejsce w sobotę i piąte w niedzielę, awansował w zestawieniu zarobków na 13. lokatę. Na jego koncie jest ponad 28 tysięcy euro, czyli około 120 tys. zł.

Domen Prevc, który w sobotę był pierwszy i wygrał piąty raz z rzędu w sezonie, a w niedzielę musiał uznać wyższość jedynie Japończyka Ryoyu Kobayashiego, zarobił już 134 775 euro, czyli 566 tys. zł.

Zwycięzca klasyfikacji generalnej Pucharu Świata i lider płac w minionym sezonie, Austriak Daniel Tschofenig, jest obecnie ósmy na liście zarobków (54 650 euro), po tym jak w Engelbergu nie zdołał w niedzielę zakwalifikować się do drugiej serii.

Po raz pierwszy w historii FIS nagrody finansowe wypłaca nie

we frankach szwajcarskich, lecz w euro. Za pierwsze miejsce w konkursie indywidualnym płaci się 15 tys. euro, a za zwycięstwo w kwalifikacjach 3175 euro. Nagrodę finansową otrzymuje każdy skoczek, który wystąpił w drugiej serii. Za 30. pozycję jest to 500 euro. Za pierwsze miejsce w konkursie drużynowym i mistrzów każdy z uczestników dostaje 8500 euro.

Oficjalne premie nie są jedynymi dochodami skoczków narciarskich. Zawodnicy ze światowej czołówki mają podpisane prywatne kontrakty sponsorskie i reklamowe, których wysokość jest objęta tajemnicą. ©

LISTA PŁAC PUCHARU ŚWIATA (kwoty w euro i złotych)

1. Domen Prevc (Słowenia) 134 775 (566 000).
2. Ryoyu Kobayashi (Japonia) 103 075 (432 900).
3. Philipp Raimund (Niemcy) 76 175 (319 900).
-
13. Kacper Tomasiak (Polska) 28 450 (119 500).
23. Kamil Stoch (Polska) 16 325 (68 600).
24. Piotr Żyła (Polska) 13 200 (55 400).
32. Paweł Wąsek (Polska) 6 450 (27 200).
36. Dawid Kubacki (Polska) 5 100 (21 400).
37. Maciej Kot (Polska) 4 200 (17 600).



Osiemnastoletni Kacper Tomasiak w tym sezonie Pucharu Świata zarobił dotychczas najwięcej spośród Polaków

„Lewy” wrócił do gry. Asysty Zalewskiego i Piotrowskiego

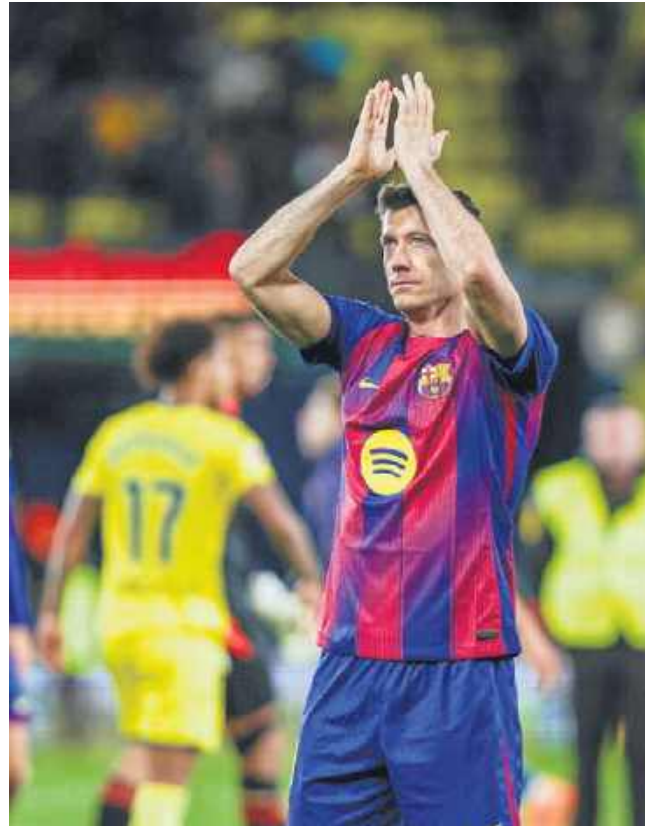
Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. To był kolejny niezbyt udany weekend reprezentantów Polski. Żaden nie strzelił gola, a asysty zaliczyli tylko Nicola Zalewski i Jakub Piotrowski. Do gry wrócił Robert Lewandowski.

Prawy obrońca Aston Villi Matty Cash zaliczył kosztowny błąd przy golu rywala w meczu z Manchesterem United - wdał się w drybling pod własnym polem karnym, stracił piłkę i w kosekwencji „The Villans” bramkę. Na szczęście strata gola nie przeszkodziła w wygranej. Kolejny występ zaliczył w Bundeslidze 18-letni środkowy obrońca FSV Mainz 05 Kacper Potulski.

Atalanta Bergamo męczyła się cały mecz w niedzielę z Genoa. Już w 3. minucie czerwoną kartką ukarany został bramkarz Genui Nicola Leali. Mimo mniejszej liczby zawodników, gospodarze dzielnie się bronili i niemal do ostatniego gwizdka utrzymali bezbramkowy remis. Na ławce rezerwowych aż do 69. minuty siedział Nicola Zalewski. Gdy wszedł na murawę, szybko dostał żółtą kartkę. Mimo gry w przewadze, Atalanta nie umiała strzelić gola, aż do ostatniej akcji meczu. W 94. minucie Zalewski został jedynym z bohaterów, bowiem popisał się perfekcyjnym dośrodkowaniem z rzutu różnego w pole karne, gdzie szwedzki obrońca Isak Hien precyzyjnym uderzeniem dał zwycięstwo Atalancie.

Przed wejściem na boisko trener Palladino poprosił mnie, żebym robił to, co zwykle, czyli dawał z siebie wszystko w obronie, rywalizując z Nortone-Cuffym, żebym naciśkał, aby trzymać go nisko. Je-



Robert Lewandowski wrócił do gry w Barcelonie, ale tym razem nie zdobył bramki w meczu z Villarrealem

steśmy bardzo szczęśliwi, że udało nam się wygrać, niezależnie od tego, kto strzelił czy zaliczył asystę. Potrzebowaliśmy tych punktów - przyznał Zalewski.

Asystę zaliczył też niepowoływany ostatnio Jakub Piotrowski. Pomocnik Udinese, 66. minucie zagrał piętą w środku pola do Oumara Soleta. Francuz popędził w kierunku bramki gospodarzy i potężnym uderzeniem zza pola karnego nie dał bramkarzowi rywala żadnych szans. Była to jednak asysta na otarcie łez, bo Udinese uległo ostatniej w tabeli Serie A Fiorentinie aż 1:5.

Na murawę, po kilku meczach przerwy, wrócił w FC

Barcelonie Robert Lewandowski. „Blaugrana” wygrała 2:0 z Villarrealem, ale „Lewy” nie był w stanie wywrzeć jakiegokolwiek niesamowitej presji pod bramką gospodarzy. Cieszy, że porównywalnie w pierwszej połowie zagrał Ferran Torres, a można rzec, że Lewandowski był w niedzielę lepszy od Hiszpana.

WEEKEND KADROWICZÓW

• Bramkarze:

Bartłomiej Drągowski (Panathinaikos) - na ławce rezerwowych w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem.
Kamil Grabara (VfL Wolfsburg) - 90 minut w przegranym 3:4 meczu z Freiburgiem.
Kacper Tobiasz (Legia Warszawa) - na ławce w przegranym 4:1 meczu z Lincoln.

Mateusz Kochalski (Karabach Agdam) - na ławce w wygranym 2:1 meczu z Gabalą.

• Obrońcy:

Jan Bednarek (Porto) - mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia, ale nie zagrał z powodu nadmiaru kartek.
Matty Cash (Aston Villa) - 90 minut i błąd w wygranym 2:1 meczu z Manchesterem United.
Tomasz Kędziora (PAOK) - 90 minut w wygranym 2:0 meczu z Panathinaikosem.
Jakub Kiwior (Porto) - mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia.
Kryspin Szczesniak (Górník Zabrze) - runda jesienna zakończona.
Przemysław Wiśniewski (Spezia) - 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Frosinone.
Paweł Wszołek (Legia Warszawa) - runda jesienna zakończona.
Jan Ziółkowski (AS Roma) - 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Juventusem.
Kacper Potulski - reprezentant Polski U21 (Mainz) - 90. minut w zremisowanym 0:0 meczu z St. Pauli.

• Pomocnicy:

Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin) - runda jesienna zakończona.
Jakub Kamiński (FC Köln) - 86. minut w przegranym 0:1 meczu z Unionem Berlin.
Bartosz Kapustka (Legia Warszawa) - runda jesienna zakończona.
Kacper Kozłowski (Gaziantep FK) - mecz odbył się wczoraj.
Filip Różga (Sturm Graz) - 17 minut w przegranym 1:3 meczu z Austrią Wiedeń.
Michał Skórka (Gent) - pauza za czerwoną kartkę.
Bartosz Slisz (Atlanta United) - zakończył sezon.
Sebastian Szmarziński (Fenerbahce) - 9 minut w wygranym 3:0 meczu z Eyupsporem.
Nicola Zalewski (Atalanta Bergamo) - 21 minut i asysta w wygranym 1:0 meczu z Genoa.
Piotr Zieliński (Inter Mediolan) - 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Bolognią.
Jakub Piotrowski (Udinese) - 90. minut i asysta w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.
• Napastnicy:
Adam Buzka (Udinese) - 26. minut w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.
Robert Lewandowski (FC Barcelona) - 29 minut w wygranym 2:0 meczu z Villarrealem.
Karol Świderski (Panathinaikos) - 66 minut i żółta kartka w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem. ©

Czy Barcelona powinna zostawić Lewandowskiego? Za i przeciw

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Robert Lewandowski młodszy już nie będzie. W przyszłym roku skończy 38 lat, a jego kontrakt z FC Barceloną obowiązuje tylko do końca obecnego sezonu.

Pojawia się więc pytanie, czy mistrzowie Hiszpanii zdecydują się na jego przedłużenie. Oto argumenty za i przeciw.

W kulisach coraz częściej słychać, że może to być ostatnia

kampania kapitana reprezentacji Polski w barwach Barcelony. Tym bardziej że po Lewandowskiego ustawiła się już kolejka chętnych - wśród nich wymienią się kluby z Arabii Saudyjskiej, amerykańskie Chicago Fire oraz włoski AC Milan. Te zespoły mogą zaproponować Polakowi znacznie lepsze warunki finansowe niż te, które może zaoferować Barcelona.

W tym sezonie Lewandowski radzi sobie gorzej. Strzelił 8 goli w La Liga, a w Lidze Mistrzów wciąż czeka na premiarowe trafienie w trwającej kam-

panii. Jego licznik zatrzymał się na 105 trafieniach.

Argumenty „za”

Gwarantuje 15+ goli w roku - trudno sobie wyobrazić, by Robert Lewandowski miał zejść poniżej pewnego poziomu. Nawet gdy zaczyna mecze na ławce rezerwowych, jak w ostatnich występach Barcelony, wciąż potrafi trafić do siatki. Znaleźć innego środkowego napastnika w jego wieku, który w ciągu jednego roku kalendarzowego zdobyłby aż 27 bramek, graniczy z cudem. Na-

wet Cristiano Ronaldo czy Lionel Messi dziś funkcjonują raczej na peryferiach wielkiej piłki i nie odgrywają już kluczowych ról w europejskim futbolu.

Doświadczenie i leadership - Lewandowski w Barcelonie to nie tylko superstrzelec, ale przede wszystkim mentor i lider młodszych zawodników, takich jak Gavi, Pedri, Lamine Yamal czy Fermín López. Jego ogromne doświadczenie i obyczaje na europejskich boiskach bez wątpienia wpływają na postawę całej drużyny.

Argumenty „przeciw”

Wiek i perspektywy na przyszłość - Robert ma ponad 36 lat, a to oznacza u niego naturalny spadek dynamiki i wydolności, co może być coraz bardziej widoczne. Mogliśmy to obserwować w ostatnich meczach, w których zaczynał na ławce rezerwowych i ewentualnie podnosił się z niej w drugiej połowie rywalizacji.

Koszty kontraktu - jeśli Barcelona zdecyduje się przedłużyć umowę z „Lewym”, na pewno nie będzie to na obecnych warunkach, a sam

piłkarz będzie musiał liczyć się ze znaczną obniżką wynagrodzenia.

Coraz częstsze kontuzje utrudniające mu regularną grę i strzelanie goli.

Co zrobi Laporta?

Prezes Barcelony Joan Laporta przed podjęciem decyzji powinien powyższe „za” i „przeciw” wziąć pod uwagę, a także kogo z rynku i za jaką kwotę mógłby ściągnąć jako „9” na następcę polskiego goleadora. Dopiero te wytyczne dadzą właściwą odpowiedź. ©

Stal Gorzów otworzy sklep z gadżetami w Niemczech?

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl

ŻUŻEL. W przyszłym roku Stal Gorzów chce otworzyć punkt z gadżetami we Frankfurcie nad Odrą. W jednym z centrów handlowych ma zostać otwarty showroom lub sklep.

O tym, że Stal Gorzów wchodzi na niemiecki rynek, by stamtąd pozyskać pieniądze od sponsorów, pisaliśmy już kilka razy. Jeszcze przed sezonem 2024 gorzowski klub podpisał umowę m.in. z BVMW e.V (Federalnym Stowarzyszeniem Małych i Średnich Przedsiębiorstw - Niemieckim Stowarzyszeniem Przedsiębiorców). Efektem tej współpracy była powołana w 2025 roku Polsko-Niemiecka Nagroda Gospodarcza, czyli konkurs dla przedsiębiorców z obu stron Odry. Poza tym gościem na stadionie im. Edwarda Jancarza w Gorzowie bywa też Axel Strasseer, nowy nadburmistrz Frankfurtu nad Odrą. Z kolei w październiku Stal uczestniczyła w targach zawodowych i współorganizowała konferencję dla przedsiębiorców.

W przyszłym roku gorzowski klub chce pójść jeszcze dalej. - Planujemy otworzyć sklep z gadżetami, ewentualnie showroom, we Frankfurcie nad Odrą. Rozmawiamy o tym, które z tych dwóch roz-



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

Niemieccy kibice często przyjeżdżają na zawody organizowane przez Stal Gorzów

wiązań zastosować. Miałby on znajdować się w jednym z centrów handlowych - mówił nam Michał Wasilewski, rzecznik Stali. Od kilku lat odpowiada on także za kontakty klubu z niemieckimi partnerami. Przy okazji wyjaśnia, że showroom to miejsce, w którym prezentowane są towary do nabycia. Niemcy mogliby więc zapoznać się w nim z ofertą, a później zrobić zakupy przez internet.

- Mamy w Niemczech dużo kibiców. Na gorzowskie rundy

Grand Prix w ostatnich latach przyjeżdżało zza Odry do trzech tysięcy kibiców - powiedział „Gazecie Lubuskiej” Michał Wasilewski.

Sport motorowy jest w Brandenburgii bardzo popularny. Ma na tyle wielu miłośników, że władze Frankfurtu nad Odrą nie wykluczają budowy we własnym mieście toru żużlowego.

Otwarcie sklepu Stali we Frankfurcie byłoby też ciekawym zabiegiem marketingowym.

- Byłby to pierwszy w Niemczech sklep jakiegokolwiek polskiego zespołu - stwierdził Michał Wasilewski.

Punkt z gadżetami oraz możliwością zakupu biletów to tylko jeden z elementów związanych z wykorzystywaniem przez Stal przygranicznego położenia Gorzowa.

- W styczniu zaprezentujemy dwóch naszych sponsorów z Niemiec. Będziemy też robić różne projekty z Frankfurtu nad Odrą - dodał rzecznik Stali Gorzów. ©©

KRÓTKO

PIŁKA WODNA

Gorzowskie „Wilki” przegrały mecz na szczycie w Warszawie

W ekstraklasie waterpolistów spotkały się w Warszawie dwie czołowe drużyny. Miejscowy Nekera AZS Uniwersytet Warszawski pokonał In-In Tanie Ubezpieczenia Alfę Gorzów 12:8 (4:2, 4:1, 2:3, 2:2). Bramki dla gości zdobyli: Kryuchkov 4, O. Bańkowski 2 oraz Brończyk, Błoch i I. Bańkowski po 1. „Wilki” utrzymały prowadzenie w tabeli z dorobkiem 19 pkt. i bramkowym bilansem 135:89, lecz akademicy ze stolicy tracą do nich już tylko trzy „oczka” i mają rozegrane dwa mecze mniej.

KOSZYKÓWKA

Rezerwy gorzowianek też lepsze od polonistek ze stolicy

W 11. serii spotkań w Krajowej Lidze Koszykówki kobiet Enea AZS AJP II Gorzów pokonała na swoim boisku SKK Polonię II Warszawa 73:58. Gorzowianki zajmują 4. Pozycję w tabeli z dorobkiem 18 pkt. i bilansem małych „oczek” 823:813.

KOSZYKÓWKA

Przed świętami „Kangury” na plus, a zastalowcy na minus

Zespoły grupy D II ligi mężczyzn rozegrały 15. kolejną meczów. Wyniki Lubuszan: EIG CEZiB Kangoo Basket Gorzów - Pyra AZS Szkoła Gortata Poznań 90:70, REWE digitalPoland SKM Zastal Zielona Góra - U&R Calor Twierdza Kłodzko 71:81. W tabeli „Kangury” plasują się na 6. miejscu - 24 pkt. (małe „oczka” 1211:1197), zaś zast-

lowcy na 14. - 19 pkt. (1158:1273).

SIATKÓWKA

Z czterech lubuskich drugoligowców wygrała tylko Olimpia

W przedświąteczną sobotę zespoły II ligi mężczyzn rozegrały 13. serię spotkań. Rezultaty Lubuszan: grupa I - SPS Cargill Słupca - Olimpia Sulęcina 2:3, PGE Akademia Siatkówki Stilon Gorzów - Tarnovia Volleyball Tarnowo Podgórne 1:3. W tabeli Olimpia jest 7. - 17 pkt. (sety 25:28), a PGE AS stilon 10. - 11 pkt. (17:33). Grupa III: IM Rekord Volley Jelcz-Laskowice - MLKS ABO Energy Gubin 3:0, BS Żagań WKS Sobieski Żagań - WKS Wieluń 0:3. Gubinianie plasują się na 4. pozycji - 17 pkt. (22:24), zaś żaganiań na 5. - 16 pkt. (24:25).

FUTSAL

GKP Kłodawa triumfatorą halowego Zina Cup 2025

PUKS Maksymilian Gorzów zorganizował w przedświąteczną sobotę halowy turniej Zina Cup 2025. Wzięło w nim udział osiem lubuskich zespołów. Wygrał GKP Kłodawa, wyprzedzając PUKS Maksymiliana i Łuczniaka Strzelce Krajeńskie.

UNIHOKEJ

Zwycięstwo Lokomotivu w ostatnim meczu w roku

Pierwszoligowy Lokomotiv Czerwieńsk w ostatnim domowym meczu 2025 roku pokonał WSU Wierchow 8:3. Był to rewanż za pierwszy mecz sezonu, który Lubuszanie przegrali 2:3. (rg)

MOIM ZDANIEM

Andrzej Flügel



W przedświąteczną niedzielę chciałem obejrzeć jakiś mecz w ekstraklasie koszykarzy. Zajrzałem w terminarz i spostrzegłem, że tego dnia liga nie gra. Co dziwne, jedno spotkanie odbyło się w czwartek, kolejne w piątek i aż pięć w sobotę, a ostatnie tej kolejki, czyli pojedynek Zastalu Zielona Góra

z Anwil-em Włocławek zaplanowano na poniedziałek.

Czy ktoś mógłby sensownie wytłumaczyć, dlaczego Zastal gra w poniedziałek, a nie w niedzielę mimo, że każdy termin weekendowy jest lepszy dla kibiców niż ten w dniu powszednim? Przypuszczam, że nie, bo terminarz ekstraklasy w tym sezonie, o czym już wspominałem, układał jakiś wesoły gość.

OBFITOŚĆ WIGILIJNEGO STOŁU

I tyle. Zastal fajnie wyglądał ostatnio jako zespół i mam nadzieję, że tak zostanie nie tylko w ostatnich dniach 2025 roku, ale także w następnym.

Przedświąteczny czas obfituje w wigilie organizowane przez firmy, stowarzyszenia, środowiska i korporacje. Także przez niektóre kluby sportowe. W tych ostatnich ta akcja chyba jakby odradzała się na nowo. Kiedyś podobne imprezy były na porządku dziennym. Także w klubach, w których brakowało pieniędzy na wszystko, ale na suto zastawiony stół nigdy. Bywało na bogato nawet tam, gdzie czasem brakowało kasy na wyjazd zespołu

na mecz. Do tego wódeczka odpowiednio schłodzona, a na stole wszystko to, co powinno się znaleźć, żeby odpowiednio i godnie przegryźć. Były przemówienia, toasty, życzenia przeplatane z narzekaniem na brak forsy i pomocy ze strony tych, którzy powinni pomagać. Byłem na kilku takich spotkaniach i zawsze dziwiłem się, ile działacze mogą zjeść i wypić oraz jak wiele okrągłych i oklepianych zdań wypowiedzieć.

Ostatnio jakby nie słysząc o takich imprezach. To chyba dobrze. Albo uznano, że można lepiej wydać pieniądze i może nie nagłaśniać takich imprez.

Ewentualnie kolejne pokolenie działaczy nie ma już takiej smykałki do organizowania i co prawdopodobne, zbyt słabe głowy, żeby wlać w siebie schłodzonej tyle, ile ich poprzednicy.

Skończył się serial pod tytułem trener Marek Papszun idzie do Legii. Od kilku dni jest trenerem warszawskiego zespołu. Jako wieloletni i wierny kibic Legii wierzę, że weźmie się za to towarzystwo. Odstrzeli leniuchów, tchnie życie w zrezygnowanych, odbuduje upadłe morale ekipy. Miejsce Legii nie jest w strefie spadkowej. Ale jak mówią niektórzy, do miejsca gwarantującego

udział w europejskich pucharach warszawianom brakuje tylko dziesięć punktów, a do lidera o jeden więcej, a jeszcze szesnaście spotkań do rozegrania. Nie ma to jak optymiści. Nawet ci szaleni...

Lubuscy piłkarze odpoczywają. Większość dostała rozpiśki dotyczące indywidualnego treningu i zalecenia, by w święta wiedzieć, co i ile zjeść, po to, by z początkiem stycznia i podjęciu treningów nie zacząć od zbijania wagi. Biorąc pod uwagę obfitość naszych wigilijnych i świątecznych stołów to trudna sprawa, ale wierzę że się uda.

Czego Wam wszystkim życzę. ©©

GAZETA LUBUSKA

www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktora naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 6832 48 600, 6832 48 805
fax 6832 48 872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**

Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



SPORT

www.sportowy24.pl

KOSZYKÓWKA

W przedświąteczny wtorek gorzowskie koszykarki rozegrają mecz 12. serii spotkań Orlen Basket Ligi, który rozpocznie rundę rewanżową sezonu zasadniczego. KSSSE Enea AJP Gorzów w roli lidera rozgrywek podejmie beniaminka Contimax MOSiR Bochnia. Przypomnijmy, że gorzowianki niespodziewanie przegrały w Bochni. W rewanżu będą zdecydowanymi faworytkami. Mecz w Arenie Gorzów rozpocznie się o godz. 18.00.



FOT. JAROSŁAW MIKOWSKI

KOSZYKÓWKA

Tuż po świętach, w sobotę, koszykarze Zastalu Zielona Góra rozegrają we własnej hali mecz 13. kolejki spotkań Orlen Basket Ligi. Ich rywalem będzie Miasto Szkła Krosno. Spotkanie zaplanowano na godz. 20.00.

Znakomita jesień piłkarzy Lechii Zielona Góra. Wiosną powalczą o upragniony awans

Paweł Górski
pgorski@gazetalubuska.pl

PIŁKA NOŻNA. Lubuscy kibice z utęsknieniem wspominają czasy, gdy nasze drużyny potrafiły grać na wyższych poziomach rozgrywek niż III liga. Od lat nie mamy swojego przedstawiciela w trzech najwyższych ligach, ale w obecnym sezonie stara się to zmienić Lechia Zielona Góra, która zimę spędza jako lider 3 grupy w III lidze.

Liczby, które robią wrażenie

To była zdecydowanie najlepsza runda odkąd zielonogórski klub wrócił do nazwy Lechia, a i kilka lat wstecz przed tą zmianą próżno szukać tak dobrej postawy na szczycie III ligi. 39 punktów w 18 meczach, 11 zwycięstw, sześć remisów i zaledwie jedna porażka - te liczby dały podopiecznym trenera Sebastiana Mordala nieformalny tytuł mistrza jesieni.

A skoro już przy liczbach jesteśmy to nie sposób nie wspomnieć o dwóch innych - 47 oraz 10. To odpowiednio strzelone oraz stracone bramki. Lechia ma drugi najlepszy atak w 3 grupie, zaraz za rezerwami Zagłębia Lubin, które zdobyły o jednego gola więcej. Jednocześnie pod względem defensywy zielonogórzanie są najlepszym



FOT. FACEBOOK/LECHIA ZIELONA GÓRA/KRZYCHA FOTKI

Kamil Olek w jesiennych meczach ligowych zdobył 14 bramek dla Lechii Zielona Góra

tylko w lidze, ale także... spośród wszystkich drużyn szczególnie centralnego! Na czterech najwyższych poziomach rozgrywkowych w Polsce nie ma zespołu, który straciłby mniej goli niż Lechia. Drugie miejsce w tej wirtualnej klasyfikacji zajmuje obecny lider PKO BP Ekstraklasy, Wisła Płock, której licznik zatrzymał się na 12.

A jaki był klucz do rozegrania tak udanej rundy? Zdradza

to prezes Lechii, Maciej Murawski: - Mamy najmocniejszą kadrę [względem ubiegłych lat - red.]. Mamy też bardzo dobrze zbudowany sztab trenerski, który pracuje bardzo profesjonalnie. Myślę, że te dwie rzeczy różnią nas od tego co było wcześniej - mówił zarządca klubu. - Nigdy nie mieliśmy tak silnego zespołu, takich indywidualności. Mieli-

śmy bardzo dobrych trenerów, natomiast myślę, że nie mieliśmy aż tak dobrze grających piłkarzy indywidualnie. To są ciągle młodzi zawodnicy, ale naprawdę o dużych umiejętnościach jak na III ligę. Myślę, że to na pewno miało duży wpływ. Poza tym Sebastian zbudował profesjonalny sztab trenerski, to już jest ich drugi sezon i można powiedzieć, że oni już pewnie rzeczy robią au-

tomatycznie. To wszystko ma wpływ na to, że zespół gra dużo lepiej i dodatkowo jeszcze punktuje na dobrym poziomie.

Transfery już można ocenić na piątkę

Trenerzy czy prezesi klubów bardzo często nie lubią w połowie sezonu oceniać dokonanych transferów, mówiąc że tę kwestię należy poruszyć po rozegraniu ostatniej kolejki. Nie da się jednak ukryć, że zawodnicy, których Lechia ściągnęła latem, zrobili tej jesieni dużą różnicę.

Na pierwszy rzut oka wyróżnia się chociażby Kamil Olek, którego - jako napastnika - łatwo ocenić po liczbie strzelonych goli. Tych zdobył w lidze 14, co daje mu fotel lidera klasyfikacji strzelców 3 grupy III ligi. Pozostali nowi gracze również stanowili trzon zespołu - czy to etatowi defensorzy Paweł Flis i Bartosz Rutkowski, czy będący filarami pomocy Wiktor Nahrebecki, Przemysław Bargiel i Dominik Więcek.

Nieco mniejszą rolę odegrał „nowy-stary” zawodnik Lechii, Mateusz Lisowski, który po miesiącu spędzonym w drugoligowej Chojniczance Chojnice postanowił wrócić do Zielonej Góry, ale w przeciwieństwie do poprzedniego sezonu musiał pogodzić się z rolą rezerwowego.

Wiosna zapowiada się niezwykle ciekawie

Lechia spędza zimę na fotelu lidera, co oznacza, że przed nią niełatwe zadanie obronienia tej pozycji wiosną. Oprócz zielonogórzan w grze o awans z pewnością pozostaną: rewelacyjny beniaminek Sparta Katowice, prowadzony przez trenera Andrzeja Sawickiego Górnik Polkowice oraz nieobliczalne rezerwy Zagłębia Lubin. W kontakcie z czołówką jest również piąty obecnie w tabeli KS Panattoni Goczałkowice-Zdrój, ale dużą niewiadomą jest postawa tego zespołu na wiosnę po „pozostawieniu” przez Łukasza Piszczka, który pod koniec rundy objął pierwszoligowy GKS Tychy.

Co ciekawe, w ostatnich dziewięciu sezonach (czyli od ostatniej reformy III ligi) tylko dwa razy mistrz jesieni nie awansował po zakończeniu kampanii do II ligi. Było to w sezonach 2021/2022 i 2022/2023, gdy wiosną pozycję lidera straciły odpowiednio: LKS Goczałkowice-Zdrój i Raków II Częstochowa. Historia opowiada się zatem za Lechią, ale na wiosnę zielonogórzanie będą musieli napisać nowy rozdział na jej kartach.

Inaugurację piłkarskiej wiosny w III lidze zaplanowano na weekend 28 lutego-1 marca. Zielonogórzanie mają wtedy w terminarzu derbowy mecz ze Stalą Jasień. Dojdzie więc do spotkania najlepszej drużyny rozgrywek z najsłabszą. ©

ŻUŻLOWE SZKIEŁKO

Rafał Darżynkiewicz



Bywały czasy, że stół był większy. Zasiadało przy nim nawet dziesięć klubów. Mimo wielu dyskusji i prób dostawienia kilku krzeseł od lat jest kame-ralnie. Jest bogato, a co za tym idzie ekskluzywnie. Przy suto zastawionym stole raz do roku

zasiadają najznamienitsi goście i planują podróże na kolejny rok. Być może to przypadek, może tak chce los, a może to już wypalenie zawodowe, że goście podróżują najczęściej odbywają w tym samym kierunku i w tym samym czasie. W Polskę ruszą tydzień po Świętach Wielkanoc-

ZAWSZE TAK SAMO?

nych. Zerwanie z tradycją żużlowego Lanego Poniedziałku nastąpiło już jakiś czas temu. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. W ten świąteczny dzień wszyscy spotkają się w Opolu i będą ścigać się o Złoty Kask. Stawka zawodników, a przede wszystkim ranga najwyższa z najwyższych. Kilka dni później inauguracja. Gorzowian czeka wyprawa do Grudziądza, a zielonogórzanie do Wrocławia. Względem minionego sezonu idziemy ząbek w górę i jedziemy, bo chwilę po-

tem GKM wpadnie do Zielonej Góry, a z kolei Sparta zawita do Gorzowa. I tak, aż do derbowego spotkania Lubuszanie zgodnie, albo w delegacji, albo u siebie. Terminarz to także prognoza pogody. Pierwszy mecz sezonu zawita do Lublina. Mecz otwarcia z mistrzem Polski z Torunia już wywołuje emocje. Wiosna na wschodzie przyjdzie wcześniej. Synoptycy już to wiedzą. Inauguracja planowana jest bowiem w Rzeszowie - to nawet tydzień wcześniej, a także i w Krośnie. Taka wiosenna pro-

gnoza długoterminowa. Z prognoz kto, kiedy i z kim zdobędzie pierwsze punkty wynika, że po czterech rundach w czubie tabeli będzie beniaminek z Leszna. W dole pałętać się będą drużyny z lubuskiego. Liga przygotowała test, który tak Stal, jak i Falubaz oblały przed rokiem. Błędów z zasadniczego egzaminu sezonu 2025 powtórzyć nie można. Tu powinna nastąpić zmiana, a jeśli nastąpi to liga będzie ciekawsza. Tyle terminarz, tyle papierowa siła drużyn z perspektywy grudnia.

W Zielonej Górze i Gorzowie, wzorem naszych klubowych drużyn piłkarskich, formę trzeba przygotować na start sezonu. Takie lubuskie żużlowe eliminacje europejskich pucharów. Warto jednak pamiętać, a zawsze jest tak samo. Przede wszystkim siedem meczów u siebie i siedem spotkań z tymi samymi drużynami na wyjeździe. Podobieństwo do Wigilii, która jakoś tak zawsze wypada 24 grudnia nie jest przypadkowe. I tu, i tu trzeba być odpowiednio przygotowanym. Gotowi? ©